

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/284

1971



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Sł. MROŻEK :

SZCZĘLIWE WYDARZENIE

KORAB :

OKO DAJANA

J. KOWALSKI :

WOKÓŁ MINIONEGO KONKURSU

M. BROŃSKI

SZOK PRZYSZŁOŚCI

SPIS RZECZY

Sławomir Mrozek:	<i>Szczęśliwe wydarzenie</i>	3
Korab:	<i>Oko Dajana</i>	38
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	81
Maria Czymbura:	<i>Departament Stanu U.S. o Wschodniej Europie</i>	89
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
O. Dolan - J. Lewandowski:	<i>„Listy”</i>	97
K R A J		
Aleksander Matejko:	<i>Historia naturalna polskiego naukowca</i>	100
—	<i>Amerykańskie Zw. Zawodowe a polski Grudzień</i>	106
SPRAWY I TROSKI		
Alicja Zawadzka-Wetz:	<i>Nowa emigracja</i>	109
—	<i>Tragiczna śmierć Marka Orłańskiego</i> ..	115
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
—	<i>Kościół i Państwo</i>	118
POLEMIKI		
Henryk Skolimowski:	<i>Polacy nie gęsi i swój marksizm mają</i>	120
KRONIKA KULTURALNA		
Jerzy Kowalski:	<i>Wokół minionego Konkursu</i>	128
—	<i>Komunikaty:</i>	
	a) <i>Konkurs na powieść</i>	133
	b) <i>Kluby Przyjaciół „Kultury”</i> ..	134
K S I Ą Ż K I		
M. Broński:	<i>Szok przyszłości</i>	137
M. Kubiak-Zytomirska:	<i>„Uzupełniony” Poradnik Bibliograficzny</i> ..	147
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	149
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	151
◆		
P. Jankowski, St. Korboński, L. Mirski, St. W. Woj- stomski:	<i>Listy do Redakcji</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj-Mai

1971

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mieczysław Błaszkwicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz dziesiąty	F. 55,00
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwunasty	F. 110,00
Jan Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 81,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz dziesiąty	F. 50,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), po raz piąty	F. 38,50

DZIĘKUJEMY!

Amerykańska pisarka, Patricia BLAKE, w związku z opracowywaną biografią Aleksandra Sołżenicyna, pragnie nawiązać kontakt z osobami, które w latach 1947-1953 były więzione w niżej wymienionych obozach koncentracyjnych w Związku Sowieckim, lub znajdowały się w pobliżu tych obozów: *Pieszczanyj Łagier* w KARŁAG i *Dżezkazgan* w KARŁAG. Równocześnie chciałaby nawiązać kontakt z osobami więzionymi w latach 1950-1953 w *Ekibastuzie* w Kazachstanie. Idzie jej specjalnie o szczegóły dotyczące warunków życia i warunków klimatycznych w tych obozach.

Listy w językach polskim, rosyjskim lub angielskim prosimy kierować na adres:

Patricia BLAKE
26, Washington Square North,
NEW YORK, N.Y. 10011.
U.S.A.

ODEZWA KOMITETU UFUNDOWANIA TABLICY KU CZCI ŻOŁNIERZY POLSKICH POLEGŁYCH W OBU WOJNACH ŚWIATOWYCH

W Paryżu z inicjatywy Polskich Kombatantów powstał komitet ufundowania tablicy pamiątkowej ku czci żołnierzy polskich poległych w obu wojnach światowych. Tablica ma być wmurowana w Pałacu Inwalidów, w galerii tablic pamiątkowych. Uroczystość odsłonięcia tablicy przewidziana jest na dzień 13 czerwca br. Komitet apeluje o składki na ten cel. Potrzebna jest jeszcze kwota ok. F. 4.000.

Ofiary należy wpłacać na konto pocztowe:

CCP 12-33-545 PARIS
ASSOC. des ANCIENS COMBATTANTS
POLONAIS EN FRANCE, 6, rue Henner,
PARIS-9^e.

z zaznaczeniem: „Na Tablicę Pamiątkową”.

FUNDUSZ WYDAWNICZY DZIEŁ STANISŁAWA VINCENZA

Na powyższy cel wpłynęły następujące kwoty:

zebrane podczas pogrzebu Stanisława Vincenza	Fr.S. 250,00
zamiast kwiatów na trumnę dr R. Jendyk z Monachium	DM 100,00
zamiast kwiatów na trumnę Marta i Wojciech Kasznicowie, Newark, N.J., U.S.A.	Dol. 10,00
Dr John Marbach, Salina-Neapol	Fr.S. 30,00

Imprimé en France.

Szczęśliwe wydarzenie

Sztuka w trzech aktach

OSOBY:
MĄŻ
ŻONA
PRZYBYSZ
STARZEC
NIEMOWLĘ

AKT I

Sciana na wprost. Pośrodku ściany wielkie drzwi dwuskrzydłowe. Obramowane kolumnami, zwieńczone gzymsem. Kolumny i gzyms są namalowane. Po każdej stronie drzwi w namalowanej wnęce namalowane popiersie starożytnego wodza, albo filozofa. Na ścianie tapety w tonacji purpurowo-złotej. Sciana nie zamyka przestrzeni za sceną, tylko ją zastania. Nie jest zbyt wysoka.

Na scenie dwa wyścielane krzesła i okrągły albo owalny stolik. Na stoliku taca. Na tacy karafka i dwa kieliszki, oraz paczka precli.

Z prawej strony (z punktu widzenia widowni) wchodzi Mąż i Przybysz. Mąż: wiśniowa bonzurka, sztuczkowe spodnie, lakierki. Pomadowane włosy i starannie przystrzyżony wąs. Przybysz: rozepchany sweter, welwetowe spodnie, grube trzewiki. Długi, czerwony szalik wokół szyi. Miękki kapelusz i okulary w drucianej oprawie. Od dawna niestrzyżony, nie ogolony od kilku dni. W jednej ręce niesie zniszczoną walizkę, w drugiej gazetę.

© Copyright: Henssel Verlag, Berlin

MAŻ Co się tyczy używalności łazienki, to my sami, ja, moja żona i mój ojciec nie używamy jej wcale. Więc i pan nie będzie odczuwał jej braku.

PRZYBYSZ (*potrzęsając gazetą*) Ale w ogłoszeniu stoi wyraźnie.

MAŻ Co?

PRZYBYSZ O łazience.

MAŻ Co pan mówi. Gdzie?

PRZYBYSZ O, tutaj. (*czyta*) „... Łazienka stylowa. Marmur...”

MAŻ Tak? A wie pan, że to całkiem możliwe. Bardzo prawdopodobne nawet.

PRZYBYSZ Prawdopodobne? Niech pan sam przeczyta.

MAŻ Nie trzeba. Ja sam to ogłoszenie napisałem.

PRZYBYSZ A więc?

MAŻ Chyba nie może pan narzekać na brak stylu. Proszę tylko spojrzeć na drzwi od pokoju dziadunia. Czyste cesarstwo. Poza tym ja, moja żona i mój ojciec... Zobacz pan. O, stylu panu u nas nie zabraknie. U nas przede wszystkim jest styl.

PRZYBYSZ Ale nie ma łazienki.

MAŻ Nie ma. Ale zapewniam pana, że gdyby była, przesłaby pańskie najśmielsze oczekiwania. Byłaby wprost niezwykła. W naszej rodzinie...

PRZYBYSZ W to wierzę. Może wobec tego wskaże mi pan mój pokój.

MAŻ Pański pokój?

PRZYBYSZ (*czyta*) „Pokój słoneczny, samodzielny, z widokiem na jezioro i Mont Blanc, wynajmę natychmiast na dogodnych warunkach...”. Gdzie tu jest Mont Blanc? (*Mąż wskazuje ku widowni. Przybysz oślania oczy dłonią*) Nie widzę.

MAŻ Mgła dziś okryła tego króla Alp majestatycznym płaszczem. Widok tajemniczej zasłony także jest coś wart.

PRZYBYSZ Często go tak mgli?

MAŻ Przeważnie. W każdym razie odkąd tutaj mieszkamy.

PRZYBYSZ Mniejsza z tym. I nie pytam już o jezioro. Wyszło, prawda?

MAŻ Zgadł pan. Suchy rok.

PRZYBYSZ No, niech będzie. Ale niech mi pan przynajmniej pokaże mój pokój.

MAŻ Jakby to powiedzieć... Cały nasz gmach należy do pana. Czym chata bogata.

PRZYBYSZ Tam? (*idzie ku drzwiom na wprost*)

MAŻ (*zabiegając mu drogę*) Proszę nie wchodzić. Dziadunio jeszcze nie wstał. Zresztą... Nie jest jeszcze powiadomiony o pańskim przybyciu. Mógłby się rozgniewać.

PRZYBYSZ Więc gdzie jest ten pokój do wynajęcia?

MAŻ Tu, tam, wszędzie. Całe nasze mieszkanie będzie pańskie.

PRZYBYSZ Czy mam przez to rozumieć, że osobnego pokoju też nie ma?

MAŻ Ależ jest, ależ jest. Niech pan tylko spojrzy, ile przestrzeni...

PRZYBYSZ Ale pokój, mój pokój osobny!

MAŻ Będę z panem szczery. Tak całkiem osobnego pokoju też nie ma.

PRZYBYSZ Więc po co u diabła dawał pan takie ogłoszenie?!

MAŻ A co miałem robić? Miałem ogłosić: „Krępujące mieszkanie z rodziną, bez komfortu, bez żadnych widoków — wynajmę?” Czy to brzmi zachęcająco? Kto by mi się na to złakomił. Czy pan by przyszedł, gdyby pan przeczytał takie ogłoszenie?

PRZYBYSZ Nie.

MAŻ A widzi pan. Łatwo krytykować, ale jak się trochę pomysli... Każdy ma swoje powody.

PRZYBYSZ Nie obchodzą mnie pańskie powody. I bardzo żałuję, że dałem się tak podejść. Żegnam.

MAŻ Do widzenia.

PRZYBYSZ (*ironicznie*) Miło mi było poznać.

MAŻ (*bardziej ironicznie*) Do usług pańskich.

PRZYBYSZ (*jeszcze bardziej ironicznie*) Za wiele honoru.

MAŻ (*niezmiernie ironicznie*) Polecam się pamięci.

PRZYBYSZ (*zupełnie ironicznie*) Docenić nie omieszkam. (*Podczas wymiany zdań Przybysz kieruje się na prawo, przystając, odwracając się i kłaniając za każdym razem, kiedy wypowiada swoją kwestię. Mąż podobnie oddaje ukłony.*)

MAŻ (*pojedynawczo*) Jak to, już pan odchodzi?

PRZYBYSZ (*zatrzymuje się u wyjścia*) Wydawało mi się, że jestem zbyteczny.

MAŻ Bynajmniej. Proszę, niech pan zostanie.

PRZYBYSZ A, w takim razie... (*wraca*)

MAŻ Czy mogę pana poczęstować?

PRZYBYSZ Owszem. (*siada*)

MAŻ (*nalewając trunek z karafki do kieliszków*) Proszę o wybaczenie.

PRZYBYSZ To ja proszę o wyrozumiałość.

MAŻ Na zgodę. (*podaje mu kieliszek*)

PRZYBYSZ Widzi pan, ja mogę się pogodzić z brakiem łazienki, choć tak wiele wagi przywiązywałem do rozkoszy kąpieli w przyzwoitej, prawdziwej wannie. Mój Boże, już nie pamiętam, kiedy kąpałem się w ten sposób po raz ostatni.

MAŻ To widać.

PRZYBYSZ Słucham?

MAŻ Nie, nic. Niech pan mówi dalej. Niezbadane są drogi przeznaczenia.

PRZYBYSZ Mogę zapomnieć, że Mont Blanc bez przerwy zakryty jest chmurami. Choć kiedy przeczytałem ogłoszenie, pomyślałem sobie: Toż to będzie przyjemność, leżeć w gorącej wodzie i patrzeć na ośnieżone szczyty. Bo w tej łazience, której nie ma, byłoby okienko, prawda?

MAŻ Niewątpliwie.

PRZYBYSZ No właśnie. Od lat nie widzę innego pejzażu, jak tylko mury miasta pokryte sadzą. Szkoda mi również jeziora. Widok płaszczyzny wodnej towarzyszył mi w szczęśliwym dzieciństwie...

MAŻ Rozumiem. Pański ojciec był kapitanem okrętu.

PRZYBYSZ Prawie. Był dozorcą akwarium w miejskim ogrodzie zoologicznym. Bardzo duże akwarium.

MAŻ Ach, tak. Ciekawe, ciekawe.

PRZYBYSZ Później straciłem ten widok na stałe i teraz miałem nadzieję go odzyskać. Wie pan, życie nie układało mi się najlepiej. Czy mógłbym dostać również coś do zjedzenia? Jakaś małą kanapkę...

MAŻ Naturalnie. Są tylko precelki... Na razie. *(podsuwa precle Przybyszowi. Ten je takomie)*

PRZYBYSZ Więc kiedy przeczytałem ogłoszenie, pomyślałem sobie: nareszcie coś dla mnie. Wygoda, piękne widoki, a nade wszystko własne, samodzielne pomieszczenie. Dla mnie, tylko dla mnie. Ja tak potrzebuję spokoju i odosobnienia. I to wszystko na dogodnych warunkach. To znaczy tanio, prawda?

MAŻ Za bezcen.

PRZYBYSZ No właśnie. W dodatku w rezydencji. Pochodzę ze skromnej rodziny, ale nadaję się do wyższych sfer. Choć oczywiście to są przesady, które zwalczam.

MAŻ Oczywiście, oczywiście.

PRZYBYSZ Więc wszystkiego mogę się wyrzec, łazienki, górskich szczytów, toni jeziora, ale nie własnego, osobnego pokoju. Kiedy dowiedziałem się, że tego również nie ma, to był dla mnie cios. A może jednak dałoby się coś zrobić?

MAŻ Niestety.

PRZYBYSZ Powinienem się tego spodziewać. Nie dla mnie tyle szczęścia. Jeszcze jedno rozczarowanie... Czy mogę jeszcze jednego precelka?

MAŻ Proszę, proszę.

PRZYBYSZ Ha, trudno. Wobec tego pogódźmy się z losem. Wystarczy mi byle łóżko we wspólnym pokoju, byle pryca

gdzieś w kącie. Ostatecznie, to dla mnie nie nowina. Ale niedrogo, prawda?

MAŻ Doprawdy, nie wiem, jak to panu oznajmić...

PRZYBYSZ O, nie chcę za darmo, oczywiście.

MAŻ To nie jest sprawa ceny. Tylko... Może lepiej, żeby pan poznał prawdę. Całą prawdę od razu.

PRZYBYSZ Nie przelewa się u mnie, ale swoje zapłacę.

MAŻ Łóżka też nie ma.

PRZYBYSZ Jak to... Nie ma łóżka.

MAŻ To znaczy, jest łóżko, ale nie osobne.

PRZYBYSZ Jak to mam rozumieć...

MAŻ Miękkie, wygodne, bardzo szerokie łóżko. O, jeśli chodzi o wygodę, na pewno nie będzie pan miał żadnych zastrzeżeń.

PRZYBYSZ To znaczy, że nie będę w tym łóżku sam?

MAŻ O, właśnie.

PRZYBYSZ Nie mam zamiaru pana obrazić. Jestem tolerancyjny i szanuję cudze słabostki. Tym niemniej szczerześć za szczerześć. Nie podzielam pańskich... upodobań i nie będę spał razem z panem w tym jednym łóżku, które pan tak zachwala.

MAŻ Ależ nie ze mną, nie ze mną!

PRZYBYSZ A z kim wobec tego?

MAŻ Tu chodzi o większą ilość osób.

PRZYBYSZ *(wstaje)* Mój panie, ja szukam pokoju do wynajęcia, a zdaje się, że trafiłem gdzie indziej. Pomyłka. Ja jestem biedny, ale uczciwy. Proszę na mnie nie liczyć w prowadzeniu tego pańskiego... pańskiego interesu.

MAŻ Zaklinam pana, niech pan się nie unosi, niech pan się nie śpieszy z odpowiedzią, zanim mnie pan nie wysłucha do końca. Zdaję sobie sprawę, że pozory są przeciwko mnie, ale niech mi pan wierzy, że tu nie chodzi o żadne perwersje, ani brudne interesy. Przeciwnie. Nie tylko wszystko mieści się w ramach legalności, przyzwoitości małżeńskiej, ale nawet, a zwłaszcza w świetle ostatniej encykliki papieskiej „Crescite et Multiplicamini” chodzi tu o rzecz wysoce moralną, godną najwyższego uznania i poparcia z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej. Ten dom jest ostoją tradycji i moralności od wielu pokoleń i nigdy nie zaproponowałbym panu niczego, co by się sprzeciwiało przykazaniom kościoła.

PRZYBYSZ Jestem ateistą.

MAŻ Nie szkodzi. Z punktu widzenia etyki świeckiej moja propozycja również nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. W moim domu nie spotka pan niczego, co by naruszało ustalony porządek społeczny.

PRZYBYSZ Jestem socjalistą.

MAŻ Socjalista?

PRZYBYSZ Anarchistą raczej.

MAŻ To się doskonale składa. W tym domu będzie pan miał pole do popisu.

PRZYBYSZ Myli się pan. Jako anarchista stosują swoistą metodę.

MAŻ Na czym-że ona polega?

PRZYBYSZ Ja niczego nie wysadzam w powietrze. Wychodzę z założenia, że prędzej czy później samo się wszystko rozleci. Wystarczy tylko trochę poczekać. Wobec tego czekam. Wybieram dogodne miejsce do obserwacji i obserwuję. Jest to metoda niezawodna. Bomba czy dynamit nie odpowiadają mojej psychice, a poza tym psują widowisko. Czas działa znacznie skuteczniej i pozwala rozkoszować się szczegółami. Ja jestem anarchistą-estetą, proszę pana.

MAŻ Niebo mi pana zesłało.

PRZYBYSZ Zaznaczyłem już, że jestem niewierzący.

MAŻ Wszystko jedno. Najważniejsze, że jest pan najbardziej odpowiednim człowiekiem, jakiego mogłem spotkać w tych smutnych okolicznościach.

PRZYBYSZ (*rozglądając się*) W jakich okolicznościach. Sądząc z wyglądu, nieźle się państwu powodzi. (*sięga po precel*). Doskonałe precelki.

MAŻ To nie jest kwestia warunków materialnych. I jeżeli dałem ogłoszenie do gazety, to bynajmniej nie dlatego, że potrzebuję pieniędzy. (*tajemniczo*) Niech mi pan przysięgnie.

PRZYBYSZ Co mam przysięgać?

MAŻ Że pan nie zdradzi nikomu ani słowem nic z tego, co teraz powiem. Przed nikim. A zwłaszcza... (*wskazuje na drzwi na wprost*) Przed nim.

PRZYBYSZ Po co zaraz przysięgać...

MAŻ Proszę przysiąc.

PRZYBYSZ Ale...

MAŻ Tu chodzi o życie.

PRZYBYSZ Ktoś zginie?

MAŻ Przeciwnie. Proszę przysiąc na honor.

PRZYBYSZ (*Wstaje i podnosi dwa palce do góry. Siada z powrotem*) Nie.

MAŻ Odmawia pan?

PRZYBYSZ Nie, ale jeśli mam być szczerzy, to na nic się nie przyda. Jaka tam przysięga anarchisty.

MAŻ Rzeczywiście, o tym nie pomyślałem. A może jednak ma pan coś świętego?

PRZYBYSZ Może wezmę sobie tę resztę precelków.

MAŻ A nie powie pan nikomu?

PRZYBYSZ O, na pewno nie.

MAŻ Więc proszę brać i milczeć. (*Przybysz pakuje do kieszeni resztę precli. Mąż przechadza się nerwowo*) Odsłonię panu tragedię tego domu. Ja i moja żona jesteśmy bezdzietni. O, nie dlatego, że nie możemy mieć dzieci, ani nie dlatego, że nie chcemy. To mój ojciec nam nie pozwala.

PRZYBYSZ Jakże to... ród, o ile się nie myłę starożytny...

MAŻ Z Gotów, Wizygotów i Ostrogotów.

PRZYBYSZ A więc tym bardziej, dziwię się, że pańskiemu ojcu nie zależy na zachowaniu tak starożytnej rodziny.

MAŻ Bo on uwierzył w swoją nieśmiertelność. I co gorsza, po-dejrzewam, że ma rację.

PRZYBYSZ O!

MAŻ Tak. Nigdy nie miał nawet najłżejszego zapalenia płuc, nawet kataru, podczas kiedy ja... cierpię na reumatyzm. Wciąż żyje i cieszy się doskonałym zdrowiem. Więc mu się wydaje, że sam, osobiście, zapewni ciągłość naszemu nazwisku. Nawet jeżeli ja... jeżeli mnie...

PRZYBYSZ Ach, nie, nie, nie trzeba tak myśleć. Niech Bóg uchowa. Lepiej odpukać. (*puka w stolik*)

MAŻ O, ja wiem jak on sobie to kalkuluje: Na co mi wnuk, kiedy nigdy nie umrę? Co zyskam przez potomka? Nic, a tylko stracę. Dziecko odbierze mi przywileje, które dotąd należą się mnie, starcowi. Mojej kaszki i mleczka nie muszę dzielić z żadnym niemowlęciem, nie mówiąc już o truflach i szampanie. Niemowlę odsunie mnie w przeszłość i być może, rodząc się uszczupli moją siłę witalną, urodzi się niejako moim kosztem i tak przyspieszy mój zgon. Więc albo ja, albo ono. Jeżeli ono się narodzi, ja umrę. Jeżeli natomiast ono nie przyjdzie na świat, ja będę żył. Oto jego kalkulacja.

PRZYBYSZ Czy jednak nie brakuje mu takiej małej kruszynki, którą mógłby wziąć na kolana, pohuścić, zawołać do niej: ty-ci-tyci...

MAŻ Ja mu wystarczam.

PRZYBYSZ Jakże, pan przecież jest dorosły... Co najmniej dorosły, jeżeli tak mogą powiedzieć.

MAŻ To prawda. Nie jestem już młodzieńcem, a jednak traktuje mnie jak dziecko. Jeszcze jedno upokorzenie.

PRZYBYSZ Coś podobnego... Zaraz, więc sadza sobie pana na kolana?

MAŻ (*ponuro*) Zdarza się.

PRZYBYSZ (*krztusząc się od śmiechu*) ... Łaskocze pod brodą...

MAŻ Mniejsza o szczegóły.

PRZYBYSZ ... Tyci-tyci-tyci...

MAŻ (*urazony*) Nie mówmy już o tym.

PRZYBYSZ To nadzwyczajne!

MAŻ Powiedziałem, zostawmy ten temat. (*unoszą się*) Ale na-
dejdzie jeszcze godzina odwetu. Niech-no tylko spłodzę mści-
ciela! O, wtedy się policzymy... (*reflektuje się*) Zresztą,
mniejsza o moje życie prywatne. Mnie przede wszystkim
chodzi o cywilizację, o postęp!

PRZYBYSZ I pan chce, żebyśmy tutaj mieszkali?

MAŻ Ale to się musi zmienić, jeżeli damy początek nowemu
życiu. Dziecko musi mieć odpowiednie warunki. Trzeba mu
prać pieluszki, gotować wodę, tępić bakterie... Kwestia dziec-
ka jest nie tylko moją osobistą sprawą. To także nowe insta-
lacje, to higiena, to pochód cywilizacji, to dobro ogólne!

PRZYBYSZ Przekonał mnie pan. Ale wobec tego ja na pana
miejscu nie przejmowałbym się tatusiem. Jeżeli tylko pan
i pańska żona zgodzicie się co do samej rzeczy...

MAŻ To nie jest takie proste. Ten starzec jest czujny, podej-
rzliwy i bezwzględny. Nigdy nie zostawia nas samych i wy-
maga, żeby przynajmniej jedno z nas zawsze dotrzymywało
mu towarzystwa. Nigdy nie zostawia nas samych.

PRZYBYSZ Nie dopuszcza?

MAŻ Nie.

PRZYBYSZ A nie można go odstawić siłą?

MAŻ Pan go nie zna. Mimo wieku jest znacznie silniejszy ode
mnie, od pana i od nas obu razem wziętych. To człowiek
o niezwyklej potędze. Poza tym, jako były generał, nie
rozstaje się z pałaszem.

PRZYBYSZ A kiedy śpi?

MAŻ Wykorzystując swoją przewagę posunął się tak daleko, że
sypia razem z nami w jednym łóżku. A sen ma tak czujny,
że najłżejszy szmer budzi go od razu. Zresztą, będąc starcem,
nie śpi prawie wcale.

PRZYBYSZ Uśpić go?

MAŻ Jest odporny na środki usypiające. Ileż to razy pompowa-
liśmy go chloroformem, podawaliśmy potrawy nadziewane
pigułkami. I nic. Połknie tylko i poprosi o więcej. A kiedy
raz wychylił duszkiem porcję eteru, którąś jemu podsu-
nęli zamiast kompotu, z uleżkami barbitalu zamiast śliwek,
był potem tak ożywiony, że przez dwa dni i dwie noce kazał
ze sobą grać w wista, choć upadałem ze zmęczenia i oczy mi
się same zamykały. To wulkan, nie człowiek.

PRZYBYSZ W takim razie beznadziejna sprawa.

MAŻ Nie, jest wyjście. My z żoną mamy już pewien plan, po-
trzebujemy tylko kogoś, kto by nam dopomógł w jego wy-
konaniu. Otóż dziadunio podczas naszych wspólnych nocy
nudzi się śmiertelnie. Podśpiewuje, gada, wspomina stare

dzieje, stawia pasjanse, ale wszystko to nie wypełnia czasu
jego czuwania. Więc byłby szczęśliwy, gdyby znalazł kogoś
do towarzystwa. Ten ktoś wciągnie go w rozmowę, albo
w jakikolwiek inny sposób odwróci jego uwagę. Wtedy...
Pan rozumie.

PRZYBYSZ Ja?

MAŻ Gdyby pan zechciał sypiać razem z nami jako sublo-
kator...

PRZYBYSZ Pan sobie chyba zdaje sprawę z tego, że propozycja
jest niezwykle.

MAŻ Otrzyma pan piżamę z monogramem.

PRZYBYSZ Moje środki są ograniczone.

MAŻ Jeśli chodzi o czynsz, obniżymy go maksymalnie.

PRZYBYSZ ...I nie mam stałego zatrudnienia.

MAŻ ...A nawet możemy zapomnieć o czynszu...

PRZYBYSZ Czasy są ciężkie.

MAŻ ...I ustalić rekompensatę za bezsenność, w rozsądnej wy-
sokości. Wraz z pełnym utrzymaniem. Jadał, oczywiście, rów-
nież pan będzie z nami.

PRZYBYSZ A o czym-że to miałbym rozmawiać z dziadkiem.

MAŻ O, dziadzio sam narzuca tematy. Mimo swoich wad jest
to starzec wszechstronnie wykształcony, z szerokim kręgiem
zainteresowań. Rozmowa z nim może być prawdziwą przy-
jemnością. Poszerza horyzonty. On wiele przeżył i wiele
widział.

PRZYBYSZ Ale czy się zmieszczę?

MAŻ O, miejsca jest dosyć. Zresztą może pan sypiać w nogach.
Damy panu osobną poduszkę.

PRZYBYSZ Zgodziłbym się, ale... Zwrot czynszu, subwencje, pi-
żama, wszystko to są korzyści niższego rzędu. Nie chciałbym
przykładać ręki do niczego, co by się sprzeciwiało moim
zasadom. Ostatecznie jestem anarchistą. Dopomóc w pło-
dzeniu arystokracji, czy to jest zajęcie dla anarchisty?

MAŻ Rozumiem i doceniam pańskie skrupuły. Pomówmy więc
o polityce. Nie przywiązuję wagi do zachowania mojego naz-
wiska, ale mam nadzieję, że przez spłodzenie potomka spo-
woduję daleko idące zmiany. Nie chodzi więc o konserwa-
tyzm, ale wprost przeciwnie, o postępowość. Mój ojciec jest
despotą z usposobienia i przekonania, ja zaś jestem demo-
kratą, zwolennikiem reform i umiarkowanego postępu. Tu
panuje ustrój feodalny, albo, jeżeli dla pańskich uszu brzmi
to jeszcze okropniej, monarchia absolutna. Najwyższy czas
skończyć ze sklerozą i tyranią. Niemowlę w tym domu, to
nowe życie, to powiew przyszłości, to prawie rewolucja? Czy
pana to nie przekonuje?

PRZYBYSZ Ja mam iść z liberałami?

MAŻ Nie ukrywam, że jestem przeciwnikiem anarchii. Ale nie musimy dzielić swoich poglądów. Wystarczy, że mamy wspólnego wroga. Każde przymierze jest dobre, kiedy chodzi o obalenie tyranii. Powinien pan przyłączyć się do spisku, jeżeli kocha pan wolność.

PRZYBYSZ Zgoda! (*podają sobie dłonie*) Niech żyje anarchia!

MAŻ Vivat demokracja!

AKT II

Na środku sceny bardzo obszerne łóżko. Na łóżku, centralnie, twarzą do widowni leży, wysoko wsparty o poduszkę, Starzec o krwistej twarzy i srebrnych bokobrodach. W białej, nocnej koszuli, w dwurożnym kapeluszu, „pierogu”, bogato zdobionym, takim, jakiego używano kiedyś na wojskowe parady i dyplomatyczne gale. Kapelusz ze złotym szamerunkiem, z białym pióropuszem. Pióropusz jest przesadnie wielki.

Po lewej ręce Starca śpi Mąż, w jedwabnej, lśniącej, wiśniowej piżamie. Po prawej — Żona, w nocnej koszuli, włosy rozpuszczone. Starzec, Mąż i Żona nakryci tym samym, purpurowym materiałem, ale każde z nich ma osobną poduszkę. „W nogach”, w poprzek łóżka, śpi Przybysz w takiej samej piżamie, jak Mąż. Leży wprost na kołdrze, nie przykryty, z głową na niedużej, białej poduszce, plecami do widowni.

Łóżko jest tak duże, że między śpiącymi jest znaczna odległość. Nieco nachylone ku widowni, dla lepszej widoczności. Po obu stronach łóżka stojące świeczniki. W każdym świeczniku kilka zapalonych świec. Dekoracja w tle ta sama, co w akcie I. Stolik i krzesła z aktu I — usunięte.

STARZEC Śpią, śpią i śpią. Nic by nie robili, tylko by spali.

O, ja wiem dlaczego tak im się chce spać. Podejrzewam, że korzystają ze snu, żeby uciec ode mnie. Wprawdzie ich ciała leżą tuż obok, ale gdzie są ich dusze? We śnie wędrują daleko, daleko. Dokąd? Tego nie wiem, ale na pewno tam, gdzie mnie nie ma. Co tam robią? Na pewno to wszystko, czego im tutaj zabraniam. Nie mogę przecież pójść za nimi w ich snach, zakazać, czego nie wolno, nakazać, co powinni. (*Mąż jęczy przez sen i mówi coś niewyraźnie*) Co, co takiego? Mówże wyraźniej... (*Mąż odwraca się na drugi bok i obejmuje poduszkę*) Nie powie. Oto mam dowód, że słuszne są moje podejrzania. Nie powie, a dlaczego nie powie? Bo mu się śni jakieś przestępstwo. Inaczej cóż by mu

szkodziło powiedzieć? Im wszystkim śnią się jakieś przestępstwa, orgie, chucie, poróbstwa! I to wszystko pod moim bokiem, bezwstydnie i bezkarnie. To okropne. (*Żona mówi coś niewyraźnie przez sen. Przewraca się i obejmuje poduszkę*) A ta? Cóż jej się znowu śni? Nie ufajmy tej słodkiej i niewinnej twarzyczce. O, gdzie się podziały stare, brzydkie, odrażające wiedźmy. O ileż strażnik cnoty i tropiciel grzechu miał ułatwione zadanie. Spojrzał tylko i już wiedział z kim ma do czynienia. A tutaj trzeba odchyłać piękny welon obłudy, niewinność malowaną. Ale jak uchylić tę drugą zasłonę, opończę jej snu, za którą grzeszy bezpiecznie? Zedrzyć ją można, ale wtedy nie przyłapiemy jej na gorącym uczynku, przedstawienie zniknie razem z kurtyną. O, któredy trafić do krainy, w której wyprawia swoje bezceństwa i im zapobiec? Czuję, że pożar panoszy się w moim domu, a ja nawet zobaczyć go nie mogę. Żar tylko czuję, żar. Ach, zobaczyć, bodaj zobaczyć. (*Przybysz chrapie nagle i głośno*) Nawet ten zasnął. Co za maniery. Zaledwie się przedstawił i rozebrał, zaledwie odmówił pacierz — i to jakby udając, że się modli, półgębkiem tylko i niewyraźnie — a już najpierw zadrzemał, a potem zachrapał i zasnął, choć mówiłem przecież do niego i właśnie miałem mu zaproponować partijkę wista. Ładne mi dali towarzystwo. Kogo wpuściłem do mojego domu! Równie dobrze mogłem rozmawiać z pniem albo workiem kartofli. Nawet lepiej, bo pień, albo worek przynajmniej nie śpią i nie denerwują mnie swoim chrapaniem. (*Z rozpaczą*) Śpią, wszyscy śpią! (*Wyjmuje spod poduszki srebrną, płaską manierkę, wypija łyk, chowa manierkę*) No tak. Zostawić starca i pójść sobie gdzieś daleko, gdzie można figlować bezkarnie — to do nich podobne. Zostawili i poszli. A dlaczego? Bo mnie nie kochają. Cóż ich obchodzi ja, moja mądrość, moje doświadczenie, moja troska. Odtrącają moje ojcowskie uczucia, drwią sobie z mojej opieki. Na co im one. Nie dbają o mnie wcale. (*Roztkliwia się*) Biedny, zapomniany starzec, pogardzany przez wszystkich. Podobny jestem do Hioba, zostawionego na kupie ich nieczystych żądz. Może nawet śmieją się ze mnie we śnie? „A tośmy sprytnie podeszli starego. Wystarczy zamknąć oczy i już... fiuuut! Jesteśmy wolni”. I „ha-ha-ha” i „he-he-he”. Nie. Nie zniosę tego dłużej. Wolni? Ja wam pokażę wolność! (*Wyjmuje spod poduszki trąbkę i trąbi. Mąż i Żona zrywają się ze snu. Przybysz śpi dalej*)

MAŻ (*półprzytomnie*) Co... co... co się stało?!

STARZEC Nic się nie stało, tylko nie mogę patrzeć dłużej na wasze bezceństwa.

ZONA (*półprzyciemnie*) Kochanie...

STARZEC (*podjeźrzliwie*) Jakie kochanie, co za kochanie...

MAŻ (*łapie się za pierś*) Ach, moje serce...

STARZEC (*podjeźrzliwie*) Jakie serce, co za serce...

MAŻ Moje słabe serce... Ojciec mógł mnie zabić.

STARZEC Gadanie. Jestem starszy od ciebie i doskonale się czuję.

ZONA Ach, moja głowa...

STARZEC (*podjeźrzliwie*) Jaka głowa, co za głowa...

ZONA Boli. Pęka z bólu.

STARZEC Bo za dużo śpisz. Biercie przykład ze mnie. Ja nie śpię i wcale mnie głowa nie boli. A wiecie dlaczego? Bo mam czyste sumienie.

MAŻ Po co ojciec nas zbudził?

STARZEC Żeby was przywołać do porządku.

MAŻ Miał przecież ojciec grać w wista.

STARZEC Miałem, miałem, ale nie miałem z kim. Ten sublokator zasnął niegorzej od was. Hej, popatrzcie! On ciągle jeszcze śpi. (*Przybysz chrapie przeciągle. Uwaga wszystkich skupia się na nim*)

MAŻ To nie do wiary.

STARZEC A nie mówiłem? Obudźcie-no susła.

MAŻ (*potrząsając Przybyszem*) Niech się pan obudzi. (*Przybysz mamrocze, ale śpi dalej*) Obudź się pan! (*Przybysz śpi*) Pomóżcie mi. (*we troje szarpią Przybysza, który śpi dalej*) Nie, to na nic się nie zda.

STARZEC Poczekajcie. Już ja mu dam radę. (*Nadyma się i trąbi Przybyszowi nad uchem. Maż i żona zatykają sobie uszy*)

ZONA Głowa!

MAŻ Serce!

ZONA Pęka!

MAŻ Boli!... Niech ojciec już przestanie (*Starzec trąbi tak długo, jak długo mu wystarcza tchu. Dopiero wtedy przestaje trąbić, kiedy już dłużej nie może. Dyszy i łapie powietrze*)

STARZEC A to dopiero!... fenomen natury... a tom się zmachał... o moje płuca!...

MAŻ Co zrobimy?

ZONA Może zawołać lekarza?

MAŻ Przecież ojciec by obudził umarłego.

STARZEC Właśnie. To znaczy, że on żyje, ale ma twarde sen.

MAŻ Nie ma sposobu. Trzeba poczekać do rana, aż się sam obudzi.

STARZEC Acha! A co z moją partyjką? Wy sobie znowu zaśniecie, a ja znowu zostanę sam i będę się nudził aż do rana.

Nie, wykluczone! Ale, ale, jest jeszcze jedna nadzieja, nie trzeba dawać od razu za wygraną. (*Wyciąga spod poduszki manierkę, odkręca korek i podsuwa Przybyszowi pod nos. Przybysz unosi się jak lunatyk. Starzec odsuwa stopniowo manierkę, aż Przybysz osiąga pozycję siedzącą*)

ZONA Wstał!

MAŻ Obudził się!

STARZEC (*tryumfująco*) Widzicie? Poskutkowało. Ja każdemu dogodzę. (*Przybysz bełkocze i wyciąga ręce do manierki*) No, to za pomyślne przebudzenie. (*Pije z manierki, chowa manierkę pod poduszkę. Wyciąga spod poduszki talie kart, tasuje*)

PRZYBYSZ Gdzie jestem?

MAŻ Jeszcze się pan pyta (*Półgłosem, upewniając się, że Starzec jest zajęty kartami*) Miał pan zabawić starego, a tymczasem spał pan jak kamień. Ładnie się pan spisał.

PRZYBYSZ Ja?

MAŻ Zapomniał pan o naszej umowie.

PRZYBYSZ Ja...

MAŻ Pan myśli, że ja pana przyjąłem dla przyjemności?

PRZYBYSZ Ale...

MAŻ Pańska obecność napawa mnie wstrętem.

PRZYBYSZ Czy mógłbym...

MAŻ Proszę natychmiast spakować się i opuścić ten dom!

PRZYBYSZ Teraz? W nocy?

MAŻ Oszust! Za drzwi!

STARZEC (*przykłada dłoń do ucha*) He? Co wy tam szepczecie?

PRZYBYSZ A, wobec tego jak pan uważa. Ale pan starszy może być innego zdania. Zwłaszcza, kiedy mu opowiem co mi się śniło. (*do Starca*) Ja tu opowiadam właśnie co mi się śniło.

STARZEC Głośniej, głośniej. Więc cóż ci się śniło, młody człowieku?

PRZYBYSZ Śniło mi się, że... Ale nie wiem, czy mi wypada opowiedzieć.

STARZEC Śmiało, śmiało!

PRZYBYSZ Śniło mi się, że przeczytałem ogłoszenie w gazecie o pokoju do wynajęcia.

STARZEC Iiii... To nic ciekawego.

PRZYBYSZ Ciekawe będzie dalej. Przychodzę ja pod wskazany adres i przyjmuje mnie właściciel, taki mały, z wąsami, zakazana mordą.

MAŻ (*półgłosem*) Do czego pan zmierza...

PRZYBYSZ ...Tak, a tak, wyłuszczam sprawę, ja w sprawie

ogłoszenia, poszukuję pokoju. A on wtedy zaczyna kręcić. „Pokoju osobnego dać nie mogę. Co najwyżej mogę dać łóżko”. Zgodziłem się. Co miałem robić? A on wtedy: „Ale łóżko też nie będzie osobne”. Łóżko też nie będzie osobne! Uważacie, panowie?

STARZEC Ciekawe, bardzo ciekawe.

MAŻ (*półgłosem*) Niech pan przestanie.

PRZYBYSZ ... I że muszę spać nie z jedną, ale z kilkoma osobami naraz. Więc się zdziwiłem, bo niby jak to, dlaczego...

A on mi na to...

MAŻ Dość.

PRZYBYSZ ... „Przedstawię panu ukrytą tragedię tego domu...”

STARZEC (*przykładając dłoń do ucha*) Co, jak powiedział?

PRZYBYSZ To już dalej powiem w skrócie, bo właśnie dostałem wypowiedzenie i muszę zaraz wyjść. „Musi nam pan pomóc”, powiada ten typ. „Ja i moja żona...”

MAŻ Przecież nikt pana nie wyrzuca.

PRZYBYSZ Nie?

MAŻ Oczywiście, że nie. Skądże.

PRZYBYSZ Dziwne. Wydawało mi się...

MAŻ Widocznie się panu wydawało. Może pan zostać jak długo pan zechce.

PRZYBYSZ A, to co innego.

STARZEC (*zniecierpliwiony*) I cóż dalej z tym snem!

PRZYBYSZ Nie wiem, proszę pana. Obudziłem się.

MAŻ Ufff, na szczęście.

STARZEC Jak to, obudził się pan...

PRZYBYSZ Zwyczajnie. Sam pan był świadkiem.

MAŻ To zresztą jakiś głupi sen, proszę ojca.

PRZYBYSZ Ja też tak uważam.

STARZEC Zawsze to samo! Kiedy śpią, nic nie wiadomo. Ale nawet kiedy zaczną opowiadać, co im się śniło, nigdy nie opowiedzą do końca. Ten sen wydaje mi się bardzo podejrzanym.

PRZYBYSZ E, tam. Nie ma się co przejmować.

MAŻ Rojenia.

ŻONA Głupstwa doprawdy.

PRZYBYSZ No, a teraz, kiedy się już wyspałem, zjadłbym coś. (*do Żony*) Może pani będzie łaskawa podać jakieś zimne mięsko, albo ciasteczka. Zawsze w nocy przychodzi mi apetyt.

ŻONA (*do Męża*) Ja mam mu usługiwać? To jest bezczelność.

PRZYBYSZ Zaraz, zaraz, zdaje się, że sobie przypominałem, co mi się dalej śniło.

MAŻ Przynieś mu coś do zjedzenia. Poczekaaj, pójdziemy razem.

STARZEC Leżeć! (*do Przybysza*) Podobasz mi się, młody

człowieku. A wiesz dlaczego? Bo żyjesz sam, bez pary. Wszystkie nieszczęścia wzięły się z grzechu pierworodnego, od Adama i Ewy. Dlatego czuвам, żeby nie powtórzył się skandal. Gdyby Pan Bóg miał mnie do pomocy w raj, na pewno by do niczego nie doszło. (*Żona wychodzi na lewo.*

Starzec tasuje karty) Zagramy?

PRZYBYSZ Z największą przyjemnością.

STARZEC W wista.

PRZYBYSZ To bardzo piękna gra, choć trochę staroświecka.

STARZEC Świetnie, że się panu podoba.

PRZYBYSZ Tylko ja nie umiem grać w karty. A zwłaszcza w wista.

STARZEC To nie mógł pan mi tego wcześniej powiedzieć?

PRZYBYSZ Chciałem, ale spałem.

STARZEC Co ja teraz zrobię... W nic pan nie umie? Nawet w durnia?

PRZYBYSZ W durnia jeszcze mniej.

STARZEC Nigdy pan się nie uczył?

PRZYBYSZ Owszem, ale nie miałem zdolności.

STARZEC (*chętliwie*) To prawda. Do tego trzeba mieć głowę.

PRZYBYSZ ... I nie lubię hazardu.

STARZEC Nonsens. Pograć sobie od czasu do czasu nikomu nie zaszkodzi.

PRZYBYSZ ... I nie mam szczęścia.

STARZEC Trzeba spróbować.

PRZYBYSZ ... I boję się wpaść w nałóg.

STARZEC E, ja gram od dziecka i co? I nic. Mogę w ogóle nie grać, wcale mi nie zależy. (*krzyczy*) Zagra pan ze mną czy nie?!

PRZYBYSZ Jeśli pan generał nalega... Przypominam sobie teraz, że znam jedną grę, ale słabo, ze słyszenia.

STARZEC Jak się ona nazywa?

PRZYBYSZ Wyleciało mi z pamięci. Jakżeż się ona nazywała... Acha, poker, zdaje się. Tak, chyba poker.

STARZEC No, nareszcie sobie przypomnieli. W życiu nie widziałem takiego niedołągi.

PRZYBYSZ Czy to możliwe, proszę pana, że jest taka gra?

STARZEC Jest, jest, ale dla ciebie za trudna.

PRZYBYSZ Niestety, nie umiem grać w nic innego.

STARZEC Niech będzie poker. Sam jesteś sobie winien, żeś się nie nauczył grać w coś łatwiejszego. Trzymam bank.

PRZYBYSZ Co to znaczy, proszę pana, trzymam bank?

STARZEC To znaczy, że ja będę rozdawał karty, bo ty byś nie umiał, dziecino.

PRZYBYSZ A o co gramy?

STARZEC O nic. Mam litość nad tobą.

PRZYBYSZ O, nie, na to nie mogę się zgodzić. Ja mam ambicję, proszę pana, chociaż nie umiem grać w karty. Proszę mnie traktować, jak równego partnera.

STARZEC Dobrze już, dobrze. W takim razie niech pan proponuje.

PRZYBYSZ O ile się nie mylę, poczułem przez sen jakiś zapach. *(Wącha jak wyżeł. Zbliża nos do poduszki, pod którą leży manierka. Wskazuje pod poduszkę)* O, tam!

STARZEC *(wyjmuje manierkę spod poduszki)* O to chodzi?

PRZYBYSZ O-o-o, właśnie!

STARZEC A cóż pan stawia w zamian?

PRZYBYSZ Coś się znajdzie. *(Sięga pod łóżko i wyciąga swoją walizkę. Otwiera. Wyjmuje z walizki butelkę bez korka i bez etykiety. Podaje butelkę Starcowi. Starzec ogląda butelkę nieufnie, wącha, potrząsa, odwraca ją do góry dnem)*

STARZEC Pusta.

PRZYBYSZ Oczywiście.

STARZEC Niech będzie. I tak chodzi tylko o formalność. *(Kładzie butelkę i manierkę na łóżku, między sobą a Przybyszem. Podaje Przybyszowi karty do przełożenia)*

PRZYBYSZ Co mam zrobić?

STARZEC Przełożyć karty. *(Przybysz przekłada. Starzec rozdaje karty. Obaj gracze układają swoje karty w rękach)*

PRZYBYSZ A teraz?

STARZEC Pokazać karty. *(Przybysz pokazuje karty)*

MAŻ *(ogłąda karty Przybysza)* Góra.

STARZEC *(wykłada karty)* Figura. Przegrał pan. *(zgarnia ku sobie butelkę i manierkę)*

PRZYBYSZ Trudno. Zawsze przegrywam, kiedy jestem głodny.

STARZEC Przegrał pan, bo gdyby pan wygrał, to ja bym przegrał, a ja nigdy nie przegram z takim fuszerem, jak pan, ha-ha!

PRZYBYSZ Ha-ha. Zagrajmy jeszcze raz.

STARZEC O co?

PRZYBYSZ O trąbkę. Zawsze marzyłem o trąbce. Jeszcze jako dziecko, kiedy siedziałem nad brzegiem akwarium...

STARZEC A cóżbyś postawił w zamian mój wielki gracz. To jest bardzo piękna trąbka. Pamiątka z pułku. *(Przybysz wyciąga z walizki duży, tandetny budzik i podaje Starcowi. Starzec przykłada sobie budzik do ucha, potrząsa, znowu przykłada sobie do ucha)* Nie chodzi. *(Oddaje budzik Przybyszowi. Przybysz klęka na skraju łóżka, upuszcza budzik na podłogę. Podnosi i podaje Starcowi. Starzec przykłada sobie budzik do ucha)* Chodzi!

PRZYBYSZ To jest bardzo dobry budzik.

STARZEC *(drwiąco)* Zawsze marzyłem o budziku, ha-ha!

PRZYBYSZ Ha-ha. *(Starzec tasuje karty, podaje Przybyszowi do przełożenia, Przybysz przekłada, Starzec rozdaje karty)*

STARZEC Wychodź pan.

MAŻ *(zaglądając Przybyszowi w karty)* A ja bym nie radził.

STARZEC Hej tam, bez porad!

PRZYBYSZ Słyszał pan, co pan generał powiedział? Bez porad.

MAŻ *(urazony)* Jak pan sobie życzy. *(odsuwa się)*

PRZYBYSZ *(wykładając karty)* Bomba!

STARZEC *(wykładając karty)* Tromba! Przegrał pan. *(zgarbia budzik i trąbkę)* Robi pan postępy, ha-ha!

PRZYBYSZ Pan generał ma nadzwyczajne szczęście.

MAŻ A nie mówiłem? Trzeba było mnie słuchać.

STARZEC No i co, wystarczy już panu ta nauczka?

PRZYBYSZ Zważywszy mój brak podstawowych umiejętności...

STARZEC Ostrzegąłem.

PRZYBYSZ ... Oraz pańską kolosalną wiedzę i zdolności...

STARZEC To prawda. Ja mam doświadczenie.

PRZYBYSZ ... Uważam, że istotnie, rozsądniej byłoby przerwać.

STARZEC Co, chce się pan wycofać?!

PRZYBYSZ Nie mam szans.

STARZEC *(z rozpaczą)* Przecież dopierośmy zaczęli! *(Mąż daje Przybyszowi porozumiewawcze znaki)*

PRZYBYSZ Tym bardziej wolałbym opanować namiętność, póki jeszcze pora.

STARZEC Jeszcze tylko jeden raz...

PRZYBYSZ Szczęście jest przeciwko mnie.

STARZEC Szczęście może się odmienić.

MAŻ Niech-że pan z nim zagra. *(półgłosem)* To pański obowiązek. Po to pan tutaj jest.

PRZYBYSZ Nie.

STARZEC Jeden, jedyny ostatni raz. Zagramy o co tylko pan zechce.

PRZYBYSZ A, w takim razie... Czy możemy zagrać, o kapelusza pana generała?

STARZEC Może o co innego? Nie wypada mi grać w karty o honor munduru. Kiedy odbierałem defiladę, dziesięć tysięcy ludzi wpatrywało się we mnie, jak jeden człowiek. Z miłością i szacunkiem.

PRZYBYSZ Właśnie. Zawsze chciałem to mieć na głowie, żeby mnie szanowano. Wie pan, mój ojciec miał piękny uniform i wkładał czapkę, kiedy szedł karmić zwierzęta. Miał u nich nadzwyczajne powodzenie.

STARZEC Spójrz tylko na te galony, młody człowieku. Wiesz,

dłaczego nie spłowiwały? Ponieważ zawsze oceniał je sztandar. W tym jest miłość podwładnych i nienawiść wrogów, zaś podziw jednych i drugich. To tradycja, szlachectwo i honor. To sława, godność i zasługa. I cóż ty mógłbyś postawić, młodzieńcze, w zamian za symbol tyłu wiecznych wartości?

PRZYBYSZ O, i ja mam coś specjalnego. Na pewno się spodoba panu generałowi. Chwileczkę. *(wyciąga z walizki tyrolskie spodnie skórzane, tak zwane „Lederhosen”)*

STARZEC Co to jest?

PRZYBYSZ *(skromnie ale pewny efektu)* Tyrolski strój ludowy.

STARZEC To pan jest Tyrolczykiem?

PRZYBYSZ Nie, ale ostatnio zatrudniałem się, jako aktor. Mała rólka... Wie pan, człowiek chwytą się rozmaitych zajęć...

STARZEC Ale skąd pan to wziął.

PRZYBYSZ Zabrałem sobie z teatru na pamiątkę.

STARZEC Cóż to była za sztuka?

PRZYBYSZ „Ptasznik z Tyrolu”. Zna to pan? *(jodluje)*

STARZEC Dość! Dość!

PRZYBYSZ *(urazony)* Ja miałem oklaski, proszę pana.

STARZEC I pan chce to postawić? To? Przeciwno mojej szarży?

PRZYBYSZ *(z godnością)* To jest cenna, droga pamiątka z dni mojej sławy.

STARZEC Mój honor za parę starych spodni? W dodatku bez nogawek?

PRZYBYSZ W tych spodniach byłem szczęśliwy.

STARZEC Nie dam ubliżać sztandarom!

PRZYBYSZ A ja nie pozwolę ubliżać godności artysty!

MAŻ Panowie, nie kłóćcie się.

STARZEC Nigdy!

PRZYBYSZ Jak panu się nie podoba, to mogę wcale nie grać.

STARZEC Dawaj pan to i skończmy z tym błazeństwem! *(zdejmuje piróg i rzuca go na łóżko)*

PRZYBYSZ Czy mogę przymierzyć?

PRZYBYSZ Ręce przy sobie Mój panie... panie...

PRZYBYSZ „Vogelhändler aus Tirol”.

STARZEC Wszystko jedno. Jeszcze pan nie wygrał, nizino społeczną. Ciesz się, że miałeś spodnie, ale od pióropusza ci wara.

PRZYBYSZ Przepraszam, nie chciałem urazić.

STARZEC Precz od świętości!

PRZYBYSZ Poproszę o karty. *(z lewej strony wchodzi Żona, niosąc precle na talerzu)*

ŻONA Przekąska gotowa.

MAŻ Tsss... Nie przeszkadzaj.

STARZEC Cel! *(wykłada karty)*

PRZYBYSZ Pa! *(Wykłada karty. Mąż bije brawo, Starzec apoplektycznieje. Mąż bije brawo coraz słabiej i wolniej, aż przestaje zupełnie. Cisza)*

STARZEC *(groźnie)* Co to ma znaczyć...

PRZYBYSZ *(wkłada sobie piróg na głowę)* Przegrał pan, panie generale.

STARZEC Ja?

PRZYBYSZ Gdyby pan wygrał, to ja bym przegrał, a ja nigdy nie przegram. Ha-ha! Czy mogę prosić o lusterko? *(Żona podaje mu lusterko)* Dziękuję pani *(uchyla kapelusza kurtuazyjnie)*.

STARZEC A mój kapelusz?

PRZYBYSZ *(przegląda się w lusterku)* Zdaje się, że mi jest w nim do twarzy. Co państwo o tym sądzą?

STARZEC To niemożliwe!

MAŻ *(ogląda wyłożone karty)* Kareta i kolor. Przegrał ojciec.

STARZEC Oddaj!

PRZYBYSZ O, za pozwoleniem, kapelusz jest mój. Najwyżej mogę panu подарować spodnie *(zagryza precle)*.

STARZEC Mój honor!

PRZYBYSZ Nic na to nie poradzę. Chyba, że znowu zagramy *(zgarnia karty i tasuje je z wielką wprawą)*.

STARZEC O co?

PRZYBYSZ O pański honor. O cóż by innego? Jedyna okazja, żeby go pan odzyskał. Ja stawiam mój kapelusz, to znaczy pański honor. A co pan postawi w zamian?

STARZEC Wszystko!

PRZYBYSZ Wszystko? Cóż to jest. Pusta butelka, zardzewiały zegarek i trochę innych rupieci. I to ma być wszystko za pański honor? Obraziłbym pana, gdybym się na to zgodził, panie generale. *(zdejmuje piróg i pokazuje go Starcowi)* Widzi pan, jak pięknie powiewa pański, to jest, chciałem powiedzieć, mój pióropusz? *(dmucha w pióropusz)* Jak się mieni na wietrze? Ja go kocham znacznie bardziej niż pan i nie oddam tak szanownych piór za byle co. Wstydzili by się pan, panie generale. Myślałem, że pan wyżej ceni swój honor *(wkłada sobie pióropusz z powrotem na głowę)*. Wszystko, to za mało.

STARZEC Nie mam nic więcej.

PRZYBYSZ Naprawdę nie ma pan czegoś jeszcze?

- STARZEC Nie mam, nie mam, nie mam!
- PRZYBYSZ Szkoda. Wobec tego, wzięwszy pod uwagę okoliczności, uznajmy, że to wystarczy.
- STARZEC Proszę o karty.
- PRZYBYSZ A więc gramy?
- STARZEC Gramy.
- PRZYBYSZ O wszystko?
- STARZEC O wszystko!
- PRZYBYSZ Trzymam bank (*zdejmuje kapelusz, rozdaje biegle karty*). Co się pan tak na mnie patrzy...
- STARZEC Studiuję pańską fizjognomię.
- PRZYBYSZ Artysty pan nie widział?
- STARZEC Należy studiować twarz przeciwnika, żeby wiedzieć, z kim ma się do czynienia.
- PRZYBYSZ I cóż pan znajduje?
- STARZEC Nic.
- PRZYBYSZ Jak to... nic.
- STARZEC Więcej można wyczytać z pustego talerza, niż z pańskiej twarzy. Jeżeli można wyrzeźbić nicosć, to mam przed sobą arcydzieło.
- PRZYBYSZ Nic? To niemożliwe.
- STARZEC Zazwyczaj twarz człowieka nie ukrywa jego myśli i uczuć. Jeżeli są szlachetne, nadają twarzy szlachetny wyraz. Jeżeli niegodne, dają twarz niegodną. Ale do jakiego człowieka należy twarz, która nic nie wyraża?
- PRZYBYSZ Może profilem? (*odwraca głowę*)
- STARZEC Nie, nic nie widzę. Albo pańska dusza jest taka niska, że nie jest w stanie przebić pańskiej skorupy, albo ta skorupa jest tak gruba, że nawet ordynarne uczucie się przez nią nie przebija. Najprawdopodobniej jednak mamy do czynienia i z jednym i z drugim przypadkiem.
- PRZYBYSZ Wypraszam sobie! Ja jestem inteligent. Jeszcze kiedy bawiłem się w Zoo, panie mówiły: „Ach, cóż to za inteligentny chłopczyk”. Nieraz dostawałem cukierki przeznaczane małpom. Naumyślnie stawałem koło klatki z małpami i wtedy żadna małpa nie dostała ani dropa. Wszystko dla mnie. Małpy mnie nie lubiły.
- STARZEC Zwierzęta kierują się nieomylnym instynktem. Z punktu widzenia małp był pan również nie do przyjęcia. I mnie od początku wydał się pan podejrzany. To znaczy: z punktu widzenia człowieka.
- PRZYBYSZ Wszyscy ludzie są równi, proszę pana, a tylko małpy są gorsze od ludzi.
- STARZEC Ale właśnie pańska okropna nijakość dodaje mi otu-

- chy. Szlachectwo, dusza, rozum, muszą zatryumfować nad bylejakością. Nie, nie mogę przegrać. Moje szlachetne urodzenie, moja wysoka ranga i moja kultura nie mogą przegrać z pańskim bezmyślnym samobytem. Pospolitość nigdy nie zwycięży ideałów. Anarchia nie pokona hierarchii. Stawiam wszystko na jedną kartę, ponieważ wierzę w zwycięstwo wyższych wartości.
- PRZYBYSZ Teraz pan generał mówi do rzeczy.
- MAŻ (*zaglądając Przybyszowi w karty, półgłosem*) Zdaje się, że pan przesadził.
- PRZYBYSZ Dlaczego?
- MAŻ Ma pan pięć asów.
- PRZYBYSZ A, rzeczywiście. Dziękuję bardzo (*pozbywa się ukradkiem jednej karty*).
- STARZEC Naprzód! (*wykłada karty*).
- PRZYBYSZ Halla-ihiii (*jodluje i wykłada karty*).
- MAŻ Hurrra!
- ZONA Papa prze-grał, papa prze-grał! (*Skacze na łóżku za radości. Przybysz wkłada sobie piróg na głowę. Trąbi na trąbce, budzik dzwoni*)
- STARZEC Zdaje się, że nie jestem lubiany w tym domu. Po wszystkim, co dla was zrobiłem...
- MAŻ i ZONA (*biorą się za ręce, skaczą wkoło jak dzieci i wołają razem*) Papa prze-grał, papa prze-grał! (*Nikt już nie zwraca uwagi na Starca. Przybysz na przemian przykłada do ust to manierkę, to trąbkę, to pije, to trąbi. W przerwach jodluje. Budzik dzwoni. Wszyscy krzyczą, śmieją się i ścisnąją. Ogólna wesołość i feta*)
- STARZEC (*wstaje na łóżku*) Dość! (*Wszyscy nieruchomieją w pół dźwięku i gestu. Nagła cisza*) Wesoło, co? Zabawnie, co? No to ja wam coś jeszcze pokażę. (*Do Przybysza*) Już myślałeś, że ja więcej nic nie mam? O, nie, mam tu coś jeszcze (*wyjmuje spod poduszki obnażoną szablę*).
- ZONA Broń mnie! (*obejmuje Męża*)
- PRZYBYSZ Co też pan generał... (*zdejmuje piróg z głowy*)
- STARZEC Chciałeś być panem?
- PRZYBYSZ To nie ja, to fortuna... Fortuna kołem się toczy... Niech-że pan generał to schowa...
- STARZEC Schowam ja, schowam, zrobię z ciebie futerał.
- PRZYBYSZ Bardzo ładna szablą.
- STARZEC Ty wypędku tyrolski!... Ty...
- PRZYBYSZ Może zagramy?
- STARZEC O co?!
- PRZYBYSZ O szablę. (*Starzec wydaje okrzyk furii i rzuca się na Przybysza z podniesioną szablą. Przybysz ucieka na pra-*

wo, Starzec za nim. Krzyk Starca i tupot pogoni milkną w oddali. Mąż i Żona gaszą wszystkie świece).

AKT III

Scena jak w akcie I. Stolik i krzesła usunięte. Po scenie chodzi Przybysz, bez kapelusza, ale w szaliku, dźwigając Niemowlę. Niemowlę jest wielkim, grubym i rumianym młodym człowiekiem. Gra go dorosły aktor, toteż Przybysz nosi go z widoczną i całkiem naturalną trudnością, sapiąc i zataczając się. Niemowlę ubrane jest w biały, włóczkowy komplecik, rajtuzy i białą czapkę z pomponem, zakrywającą całą twarz z wyjątkiem nosa i oczu.

PRZYBYSZ (nuci) „Aaa-kotki dwa...” Zaśnij wreszcie. „Aaa...” Nie śpi. (coraz bardziej zirytowany) „Aaa-koty dwa...” Rozumiesz, gówniarzu? Jeden kot, drugi kot, to razem dwa. Dwa koty! Dwa! Ko-ty! Aaa... Przecież mówię do ciebie wyraźnie. (Niemowlę płacze) Na nic, wszystko na nic. Do stu tysięcy kotów! Nigdy nie przypuszczałem, że tak trudno być niańką. I pomyśleć, że gdyby nie ja, nie byłoby go na świecie. W pewnym sensie jestem jego ojcem, mniej wprawdzie, niż ojcem rodzonym, ale za to więcej, niż ojcem chrzestnym. Jestem za niego odpowiedzialny, żeby tak powiedzieć, czuję się nieco spokrewniony. (Niemowlę płacze) Cicho bądź, krewniaku! (Niemowlę płacze coraz głośniejsze) Nie będzie cicho. (z lewej strony wchodzi Żona)

ŻONA Co się tu dzieje? Dlaczego on jeszcze nie śpi?

PRZYBYSZ To właśnie chciałbym wiedzieć. Noszę go już od godziny, aż mi w krzyżu trzeszczy.

ŻONA Ładny z pana opiekun. Bierze małeństwo...

PRZYBYSZ Ja się zgodziłem do dziecka, nie do giganta.

ŻONA Proszę się liczyć ze słowami! Pan mówi do matki.

PRZYBYSZ Do matki, do matki! I co z tego? Odkąd to się urodziło, nic innego nie słyszę, jak tylko „matka”, „matką”, „matce”... Wszystko jest dokładnie zamatkowane. Myślałby kto, że pani dostała order Niepokalanego Poczęcia. Wielka mi sztuka, urodzić dziecko. Moja matka też to potrafiła. I jak jeszcze! Wystarczy na mnie spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Jej udało się jeszcze lepiej, niż pani, nie chwalać się. Przynajmniej sądząc po wynikach. (Niemowlę policzkuje Przybysza)

ŻONA Jaki on grzeczny!

PRZYBYSZ Protestuję! Czy to ładnie bić własnego prawie ojca? (sadza Niemowlę na podłodze)

ŻONA Jaki silny! (kleka przy Niemowlęciu i obejmuje go)

PRZYBYSZ O, tak! Z tym zgoda. (na stronie) Czekaj gówniarzu. Policzymy się jeszcze.

ŻONA Co pan powiedział? (Z lewej strony wchodzi Mąż)

MAŻ Jak miło być prawdziwym ojcem.

PRZYBYSZ A teraz ten zaczyna.

MAŻ Co za wspaniałe, nowe, niezwykle uczucie. Ojciec — to brzmi dumnie.

PRZYBYSZ No właśnie, tego się po nim spodziewałem.

MAŻ Jakież nowe perspektywy otwierają się przede mną. Mam teraz komu przekazać moją mądrość i doświadczenie. Mój syn, moja krew, poniesie w pokolenia moje imię i moje ciało. Odziedziczy moje talenty, moją urodę, moją pamięć, inteligencję, zdrowie i zdolności.

PRZYBYSZ Nic nie wspomina o reumatyzmie.

MAŻ Po mnie będzie piękny, odważny, silny i rozumny.

PRZYBYSZ A co ze sklerozą, łupieżem i żółtaczką?

MAŻ ... Podejmie moje dzieło w miejscu, gdzie mnie wypadnie je porzucić...

PRZYBYSZ Jakie dzieło?

MAŻ ... I poprowadzi je dalej, aby je przekazać znowu następnym pokoleniom. Będzie kochał i pragnął, budował i zwyciężał. Spełni moje nadzieje, których mnie nie udało się spełnić w tym moim życiu, smutnym i pełnym cierpienia. Bo trzeba przyznać, że mnie nie całkiem się życie udało i nieraz zadawałem sobie pytanie: po co właściwie przyszedłem na świat...

PRZYBYSZ Nie rób drugiemu, co tobie niemiło.

MAŻ ... Ale on zadość uczyni wszystkim moim marzeniom i będzie szczęśliwy w moim imieniu. Bo przecież będzie nosił moje imię.

PRZYBYSZ To się nazywa wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami.

MAŻ ... I tak jego przyszłość będzie najlepszym usprawiedliwieniem mojej przeszłości.

PRZYBYSZ Amen.

MAŻ (do Niemowlęcia) Witaj następcu. Ofiaruję ci życie. (Niemowlę krzyczy okropnie)

PRZYBYSZ Biedny mały. Zdaje się, że zrozumiał.

MAŻ (kleka przy dziecku) Czemu on płacze?

ŻONA Nie zbliżaj się. On się ciebie boi.

MAŻ (obrażony) Mnie? A to dlaczego?

ŻONA Nigdy nie słyszałeś o kompleksie Edypa? On się ciebie

boi, ponieważ jesteś jego ojcem. Wstydziliś się, tak dręczyć dziecko! I to ma być ojciec. *(Niemowlę milknie i słucha uważnie)*

MAŻ Czy to moja wina?

ŻONA Oczywiście. On ma ten kompleks przez ciebie. *(do Niemowlęcia)* Prawda syneczku, że masz kompleks. Ti-ti-ti! Kompleks ma, kompleks...

MAŻ Moja wina, że jestem jego ojcem, jeżeli jestem jego ojcem?

ŻONA Widzisz? Sam się przyznajesz.

MAŻ A kim mam być? Jeżeli mi potrafisz wytłumaczyć jak mogą być jego ojcem, nie będąc nim jednocześnie, to niech nie będę jego ojcem!

ŻONA Co? Wypierasz się syna? Wyrodny ojciec! *(podczas tej wymiany zdań Niemowlę odwraca głowę raz do ojca, raz do matki, jak na meczu tenisowym)*

MAŻ Wolałbym nie być jego ojcem, niż gdyby miał wdać się w ciebie! Co za głupstwa słyszę!

ŻONA Robisz mi awantury? Mnie? Matce twojego dziecka?

MAŻ Nie zapominaj, że jestem jego ojcem!

ŻONA A ja jego matką!

MAŻ Na szczęście cały wdał się we mnie. Wykapany tata. *(bierze Niemowlę pod brodę)*

ŻONA Mylisz się. On jest podobny do mnie.

MAŻ Te oczy, ten owal twarzy, nie mówiąc o innych szczegółach... To ja, bez wątplenia.

ŻONA *(odpycha rękę męża, bierze dziecko pod brodę i odwraca jego głowę ku sobie)* Ha, ha, jakże on może mieć twoje oczy, kiedy ty jesteś chyba ślepy. Czy tak źle mu życzysz? Trzeba być doprawdy zaślepionym, żeby nie widzieć od pierwszego spojrzenia: te oczy są moje.

MAŻ Jeżeli twoje oczy są moimi oczami, to w takim razie muszę przyznać ci rację. Ale tak nie jest, ponieważ ja widzę to, czego ty nie widzisz, a mianowicie, że on wdał się we mnie.

ŻONA To się okaże. Chwała Bogu, są jeszcze bezstronni świadkowie. *(do Przybysza)* Proszę się zbliżyć.

PRZYBYSZ Słucham?

ŻONA Prawda, że mały jest podobny do mnie?

PRZYBYSZ Z całą pewnością.

ŻONA A nie mówiłam?

MAŻ *(podnosi się z klęczek)* A ja panu radzę przyjrzeć się uważniej.

PRZYBYSZ Tak jest. Z bliska raczej podobny do pana, powiedziałbym.

ŻONA Co takiego?

PRZYBYSZ To jest... Jednak raczej do pani.

MAŻ Czy to pańskie ostatnie słowo?

PRZYBYSZ Nie. Chwileczkę. *(przykłada przed Niemowlęciem, żeby mu się lepiej przyjrzeć, Niemowlę ciągnie go za nos)*

ŻONA I co? *(Przybysz przygląda się jej z bliska)*

MAŻ No i jak?

PRZYBYSZ *(odchodzi na stronę)* Niestety.

MAŻ i ŻONA *(razem)* Do kogo jest podobny?

PRZYBYSZ Do mnie.

MAŻ A to jakim prawem?

PRZYBYSZ Jak to jakim prawem. Ja również spłodziłem go do pewnego stopnia.

MAŻ *(do Żony)* Co to ma znaczyć... *(słuchać trąbkę)*

ŻONA To dziadzio! Zupełnie zapomniałam zanieść mu śniadanie! Jako matka mam tyle obowiązków...

MAŻ Dobrze mu tak. Odkąd ma wnuka, obraził się na nas śmiertelnie. Zamknął się w swoim pokoju i nawet nie wyszedł, żeby go zobaczyć. To nieludzkie.

ŻONA Myśli, że nas ukarze w ten sposób. Ha, ha! *(trąbka)*

MAŻ A trąb sobie, trąb. To ostatni, łabędzi śpiew starego reżymu. Oto nowe życie. *(Usiłuje podnieść syna, ale mu się to nie udaje, z powodu nadmiernego ciężaru tegoż. Łapie się za krzyżę i odchodzi na bok, kulejąc i masując sobie plecy. Dziecko gaworzy i wyciąga rączki w stronę trąbienia)*

ŻONA Obudził maleństwo! Bezlitosny staruch!

PRZYBYSZ Przecież on wcale nie spał!

ŻONA I pan to mówi matce? Chyba matka wie lepiej. *(Niemowlę raczkuje w stronę trąbienia)* Patrzenie, jaki żywy! Jaki on już duży...

MAŻ *(masując sobie plecy)* Nie da się zaprzeczyć.

ŻONA Jaki zdolny! *(Niemowlę bełkocze, wyrывая się Żonie)*

PRZYBYSZ On chce trąbkę.

ŻONA Jaki muzykalny! *(Niemowlę wrzeszczy niecierpliwie. Żona, do Męża)* Idź do starego i powiedz mu, żeby dał dziecku trąbkę.

MAŻ Nie wiem, czy się zgodzi. Trąbi, bo jest głodny.

ŻONA Dziecko chce się bawić. Popatrz, jak się niecierpliw.

MAŻ A zresztą między mną a nim wszystko skończone. Nie chce go o nic prosić.

ŻONA Dla dziecka tego nie zrobisz?

MAŻ Kiedy jest głodny, może być niebezpieczny.

ŻONA Czy wiesz, że pelikan karmi swoje dzieci własną piersią?

MAŻ Ale nie musi chodzić po trąbkę.

ŻONA Trąbka, albo ja! To znaczy ja i trąbka, albo... albo...

MAŻ *(do Przybysza)* Niech-no pan skoczy i przyniesie wreszcie tę trąbkę.

PRZYBYSZ Boję się. Pan starszy był na mnie ostatnio nieco obrażony.

MAŻ Głupstwo. Jakoś się dogadacie. Niech mu pan powie, że ja mu każę.

PRZYBYSZ A, w takim razie na pewno się zgodzi. *(puka do drzwi. Zza drzwi słychać jakby ryk lwa)*

MAŻ Czemu pan się waha?

PRZYBYSZ Nie chciałbym mu jednak przeszkadzać. Może jest w negliżu?

MAŻ Przecież wyraźnie słyszałem, że powiedział: „Proszę”.

PRZYBYSZ Miał dziwny akcent. *(Mąż zniemacka wypycha Przybysza za drzwi. Słychać uderzenie, jakby w kocioł miedziany i Przybysz natychmiast wypada z powrotem, jakby wbiegł i wybiegł przez drzwi obrotowe)*

MAŻ I co?

PRZYBYSZ Nie dał.

MAŻ Powiedział mu pan, że to dla mnie?

PRZYBYSZ Nie zdążyłem.

MAŻ *(do Żony)* Widzisz? To na nic się nie zda. *(Trąbka. Dziecko ryczy)*

ŻONA Zrób coś! Czy chcesz, żeby dziecko miało kompleks?

MAŻ Przecież już ma!

ŻONA Nie ten, inny kompleks. Dziecku nie wolno niczego odmawiać.

MAŻ A czy ja mu odmawiam? To ojciec mu odmówił.

ŻONA No właśnie!

MAŻ To znaczy mój ojciec mnie odmówił.

PRZYBYSZ Za pozwoleniem, nie panu, ale mnie.

MAŻ Wszystko jedno, odmówił panu dla mnie.

PRZYBYSZ Ale mnie bolało.

MAŻ Pan chce sobie przywłaszczyć kompleks, który mi się należy od mojego własnego, rodzzonego ojca? *(Trąbka. Niemowlę ryczy)*

ŻONA Powiedz mu, żeby przynajmniej przestał trąbić i nie drażnił dziecka. *(Nad ścianą ukazuje się Starzec, widoczny do pasa, jak popiersie, w pióropuszu i mundurze. Trąbi i chowa się z powrotem)*

MAŻ Słyszał ojciec? *(Starzec wychyla się znowu, trąbi i znika)* Niech ojciec natychmiast przestanie! *(Starzec wychyla się, trzyma trąbkę w ręce)*

STARZEC A bo co?

MAŻ Bo... dziecko krzyczy.

STARZEC Właśnie. Jemu wolno krzyczeć, a mnie wolno trąbić. Który to jest mój wnuk. Acha, ten? Obrzydliwy.

ŻONA *(do Niemowlęcia)* Widzisz tego potwora? To twój dziadek.

MAŻ Dziecku należy się pierwszeństwo.

STARZEC Odwrotnie. To ja byłem pierwszy.

MAŻ Ale dziecko to życie, to nasza przyszłość.

STARZEC A ja co, do grobu? Ani mi się śni. Ja żyję, choć może wam to się nie podoba. *(trąbi)*

MAŻ Czy ojciec przestanie wreszcie hałasować?

STARZEC Hałas to życie. Im więcej kto hałasuje, tym więcej jest. Kto jest najciszej? Nieboszczyk. Ergo, im bardziej hałasuję, tym bardziej jestem żywy. Zobaczmy, kogo będzie więcej. Waszego szczenięcia, czy mnie. *(Trąbi. Niemowlę krzyczy. Starzec trąbi jeszcze głośniej, Niemowlę krzyczy jeszcze głośniej. Trąbienie i krzyk na przemian. Rodzaj współzawodnictwa)*

ŻONA Jak ojciec nie przestanie trąbić, to ojciec nie dostanie śniadania.

STARZEC Przeciwnie. Jak nie dostanę śniadania, to nie przestanę trąbić.

MAŻ Można oszaleć. Przynieś mu to śniadanie, bo inaczej nigdy nie będzie spokoju. *(Niemowlę krzyczy)* A ty przestań się drzeć! Nie wystarczy, że ojciec trąbi?

ŻONA Nie krzycz na dziecko.

MAŻ Co? Na własne dziecko nie wolno mi krzyczeć?

PRZYBYSZ Przepraszam, na wspólne dziecko.

STARZEC Brawo!

ŻONA A ojciec co się wtrąca?

STARZEC Podziwiam nowy ład w tym domu. Odkąd odmłodziliście społeczeństwo, jest na co popatrzeć.

MAŻ To są nieuniknione koszty postępu. Za to będziemy mieli nowe idee i nowe wynalazki w każdej dziedzinie.

PRZYBYSZ Tak jest! Na przykład kanalizacja...

ŻONA Też znalazł... *(Wychodzi na lewo. Niemowlę podkrada się do Męża i łapie go zniemacka za nogawkę)*

MAŻ Jak pan śmie!... A, to mój syn. Ej, ti-ti-ti... *(grozi mu palcem żartobliwie)* Ej, bo cię oddam dziadziowi. *(Niemowlę szarpie go za nogawkę)*

STARZEC Bierz go, bierz go wnusiu!

MAŻ Ej, bo tata się pogniewa. Słyszałeś? Gniewam się! *(Wchodzi Żona z lewej strony)*

ŻONA Nie ma śniadania.

STARZEC Jak to, nie ma śniadania...

ŻONA Ktoś zjadł.

STARZEC Kto zjadł moje śniadanie? Niech się natychmiast przyzna!

ŻONA Dziwne. Przecież nikt z nas.

MAŻ Kto mógł zjeść? (*wszyscy patrzą na Przybysza*)

PRZYBYSZ Rzeczywiście, dziwne.

MAŻ Dziwne? Pan miał zawsze nadzwyczajny apetyt.

PRZYBYSZ Właśnie dlatego dziwne, że to nie ja.

MAŻ A kto, w takim razie?

PRZYBYSZ Nie wiem. (*wskazuje na Niemowlę*) Może ono?

STARZEC Co? Zjadło mój befsztyk?

ŻONA Przecież ono jeszcze nie ma zębów. (*wkłada Niemowlęciu palec za włóczkę na twarzy*) Ziąbecków nie ma, ziąbecków...

PRZYBYSZ A ja radziłbym sprawdzić.

MAŻ Więc pan insynuuje, że to bezżębne niemowlę zjadło kawał smażonego wołu! Doprawdy, pan posuwa się za daleko.

ŻONA Aaaa! (*krzyczy z bólu*)

MAŻ Co się stało?

ŻONA Ugryzł mnie!

STARZEC Ha, ha, tylko tak dalej, mój chłopcze. Pokaż im, co potrafisz!

MAŻ Ząbkuje, mój syn już ząbkuje!

ŻONA Mój palec!

PRZYBYSZ To głupstwo, proszę pani. W Zoo widziało się nie takie rzeczy. Pamiętam, kiedy raz przywieźli krokodyla...

STARZEC To on zjadł! Nie daruję!

ŻONA Wstydziliby się ojciec. Zamiast się cieszyć, że dziecko ma apetyt...

PRZYBYSZ A nie mówiłem, że jest podobny do mnie? Ja też lubię jeść.

MAŻ Ostatecznie nie zapominajmy, że dziecko rozwija się z każdą chwilą. (*do Niemowlęcia*) No, pokaż ząbki tatusiowi... (*odstania Niemowlęciu twarz, Niemowlę wyszczerza nie normalnie wielkie kły, tak zwane zęby wampira*)

PRZYBYSZ No, muszę przyznać, że to lepsze, niż w Zoo.

MAŻ (*niepewnie, do Żony*) Trochę za długie, nie wydaje ci się?

ŻONA Uważaj, bo gryzie.

MAŻ Mnie? Wykluczone. Może ciebie, ale nie mnie. (*do dziecka*) No, powiedz, kogo więcej kochasz: tatusia, czy mamusię? (*Niemowlę warczy i usiłuje odgryźć mu nos. Mąż ledwo uskakuje w porę*)

ŻONA Widziałeś?

MAŻ To nie jest naturalne.

ŻONA I po kim on to ma?

MAŻ Nie po mnie w każdym razie. I ja byłem młody. I ja miałem zęby. Ale to, co jemu wyrosło...

ŻONA Może mu same wypadną?

MAŻ W jego wieku? Na to trzeba czekać co najmniej pięćdziesiąt lat.

ŻONA Co zrobimy?

MAŻ Musimy pomyśleć o jego przyszłości. Musimy mu wpoić elementarne zasady, zanim nie jest za późno. On rozwija się nadzwyczaj szybko. (*Niemowlę ucieka, raczkując*) Trzymać go!

PRZYBYSZ (*łapiąc Niemowlę*) Kiedy on kopie!

MAŻ Niech go pan nie puszcza. Zaraz będziemy go wychowywać. (*Niemowlę wyrывa się*)

PRZYBYSZ Kiedy on nie ma ochoty!

MAŻ Tym bardziej nie mamy czasu do stracenia. Dziecko należy wychowywać, dopóki jest podatne na wpływ rodziców. (*do Żony*) Od czego zaczniemy?

STARZEC Czy on już umie paciorek?

MAŻ Paciorek? Nigdy. Mój syn będzie wolny od przesądów i zabobonów średniowiecza. Liberalne oświecenie, oto mój program. (*Niemowlęciu odbija się nietadnie*)

STARZEC A co będzie z jego duszą?

MAŻ Z jaką duszą? (*z dumą*) Mój syn nie ma duszy.

STARZEC To prawda. Zjadł moje śniadanie.

ŻONA Może jednak by nie zaszkodziło na wszelki wypadek...

MAŻ Nie ma mowy. Precz z ciemnotą.

PRZYBYSZ Precz!

MAŻ Wychowamy go w duchu oświeconego postępu i parlamentarnej demokracji.

PRZYBYSZ Z tymi zębami?

MAŻ Od czego nauka? Poślemy go do dentysty, żeby mu je nieco spiłował. Nauka i technika przyjdą z pomocą społeczeństwu przyszłości. Pierwotne instynkty ustąpią przed potęgą wiedzy. A zresztą zęby przydadzą mu się w kampanii wyborczej.

STARZEC Ja tam, panie, jestem za starą szkołą. Porządek, dyscyplina, nigdy nie zaszkodzą. Bóg, honor i ojczyzna. Poszanowanie dla starszych, szacunek dla tradycji...

MAŻ I co jeszcze? Może kara chłosty?

STARZEC Dlaczego nie? Jeżeli sobie na to zasłuży... Pamiętaj, jak ci wygarbowałem skórę, kiedy raz powiedziałeś brzydkie słowo? Zaraz, jakie to było słowo...

NIEMOWLĘ (*basem*) Dupa.

STARZEC (*rozmarzony*) Tak, tak... (*reflektując się*) Co? Co on powiedział?

ZONA On mówi, on już umie mówić!

MAŻ *(do Niemowlęcia)* Co to ma znaczyć... Takie wyrazy w mojej obecności... *(Przybysz daje Niemowlęciu znaki, żeby milczało)*

ZONA *(do Niemowlęcia, pieszczotliwie)* Dlaczego się nie odzywałeś wcześniej, ty brzydaku.

MAŻ Kto go tego nauczył?

ZONA Chyba niania. *(wszyscy patrzą na Przybysza)*

MAŻ To pan?

PRZYBYSZ Ja go niczego naumyślnie nie uczyłem. Ot, tak, gawędziliśmy sobie dla zabicia czasu.

STARZEC Ja bym ich wychłostał obu.

MAŻ O, nie! U mnie nie będzie przymusu, ani bezmyślnej represji. Przedyskutuję tę sprawę z synem w formie szczerzej i bezpośredniej rozmowy. *(do Przybysza)* Z panem policzymy się później. *(do syna)* Posłuchaj, mój chłopcze. Żyjemy w czasach równouprawnienia i praworządności. To nie znaczy, że możesz sobie na wszystko pozwalać. Elementarne zasady współżycia wymagają, abyś zrezygnował ze swoich zachcianek i kontrolował swoje odruchy. Jeżeli przyjdzie ci ochota powiedzieć jakieś słowo, które nie jest stosowne w towarzystwie osób starszych, a zwłaszcza twojego ojca, powstrzymaj się, albo powiedz je sobie po cichu. Ja tak robiłem, kiedy byłem w twoim wieku i doskonale mi się udawało. Mój ojciec nic nie słyszał.

STARZEC Ha, łajdaku. Oszukiwałeś mnie.

MAŻ Ojciec sam przyzna, że ojciec nie słyszał.

STARZEC Ale mi przyrzekałeś, że nigdy już więcej tego nie powiesz.

MAŻ Bynajmniej. Ja tylko przyrzekałem, że już nigdy więcej nie powiem tego głośno.

PRZYBYSZ A ja to sobie zawsze powtarzam głośno. Ja jestem wolny anar... *(zamyka sobie usta dłonią)*

MAŻ A więc pan się przyznaje, że to pan dał dziecku zły przykład?

ZONA I co teraz z niego wyrośnie...

MAŻ Pan mi zdemoralizował potomstwo!

STARZEC A mówiłem, wychłostać go.

MAŻ To pana wina. Kto wie, może on i te zęby ma po panu...

ZONA *(do Męża)* Jak śmiesz...

MAŻ Tak, to wszystko przez pana. Odkąd pan wszedł do naszego domu...

STARZEC To przez niego! Wywiódł mnie w pole! Gdybym go wtedy nie musiał gonić aż za rogatki...

PRZYBYSZ Pan generał gonił mnie z własnej woli.

MAŻ To pan tutaj wniósł nieprzyzwoite słowa, niezdrowe ideały, anarchię!

PRZYBYSZ A kto mnie..

MAŻ *(nie dając mu dojść do słowa)* Pan oszukiwał w karty!

PRZYBYSZ A kto mi...

MAŻ Pan miał głupie sny!

ZONA On nie lubi dzieci!

MAŻ Pan spał w mojej piżamie!

ZONA On nie szanuje matki!

MAŻ Pan chrapał!

ZONA On za dużo je!

MAŻ Pan mi za to odpowie!

STARZEC Bić go! *(Mąż i Żona rzucają się na Przybysza, który ucieka. Tymczasem Niemowlę staje na nogach, biegnie i z rozpędem wskakuje Mężowi na plecy)*

ZONA Patrzcie! On już umie chodzić!

MAŻ A to co znowu! Zejdź ze mnie w tej chwili!

PRZYBYSZ Dziękuję ci, mój mały. Chcieli bić twoją starą nianię.

MAŻ Zejdź, rozkazuję ci!

PRZYBYSZ Dlaczego? Do twarzy panu w dziecku.

ZONA Jaki wysportowany...

MAŻ Zabierzcie go!

ZONA Dziecko odpędzasz?

MAŻ Dusi mnie!

ZONA *(pieszczotliwie)* Syneczku, nie duś tatusia. *(Dziecko, wciąż ściskając Męża za szyję, uderza go po bokach piętami. Mąż biegnie w kółko, jak koń w maneżu)*

STARZEC Hop-hop-hop!... *(pokrzykuje, jak instruktor w ujeżdżalni)*

MAŻ Ach, ja nie mogę!

STARZEC Równno! Hop-hop-hop!

MAŻ O, moje serce!

STARZEC A teraz klusem! Hop-hop-hop!

MAŻ Zróbcieź coś! Czy nie widzicie, że on mnie zamęczy?!

STARZEC Stępa! Hop-hop-hop!

MAŻ *(przebiegając koło Przybysza)* Niech mi pan pomoże!

PRZYBYSZ Zastanowię się. Na razie niech pan sobie nie przeskadza.

ZONA Tylko żeby nie spadł...

MAŻ *(przebiegając koło Żony)* Pomóż mi!

ZONA Syneczku, wolniej, bo spadniesz.

MAŻ Ratunku! Przecież ja umrę! O, moje nogi... Ojczel!

STARZEC Galopem!

MAŻ *(zatrzymuje się przed Starcem, jak przed trybuną)* Ojczel!

STARZEC Wołałeś mnie?

MAŻ Zdejm go ze mnie!

STARZEC Co? Chcesz, żebym cię uwolnił od własnego syna?

Nie trzeba go było płodzić.

MAŻ Ja już nigdy, przyrzekam.

STARZEC Dziecka mu się zachciało. Ja ci już nie wystarczam?

MAŻ Zdejm go.

STARZEC Sam go sobie zdejmuj.

MAŻ Kiedy on jest silniejszy ode mnie.

STARZEC A ja? Ja przecież jestem tylko biednym, słabym starcem, zabytkiem przeszłości.

MAŻ O, nie. Ojciec sobie z nim poradzi. Ja wierzę w ojca.

STARZEC Hm, to już lepiej. Prawda, może jestem niemłody, ale krzepy mi nie brakuje.

MAŻ Tak! Ojciec jest najsilniejszy!

STARZEC Ale ja mam staroświeckie, przestarzałe poglądy.

Podobno jestem zacofany i głupi. Czy to prawda?

MAŻ O, nie Ojciec jest mądry. Ojciec jest najmądrzejszy.

PRZYBYSZ Co słyszę?

STARZEC Więc powiadasz, że nie jest ze mną tak źle?

MAŻ Ojciec jest najsilniejszy, najmądrzejszy i najlepszy.

PRZYBYSZ To jest zdrada!

STARZEC Ha, przydał się stary ojciec.

MAŻ Tato, tatusiu...

STARZEC Czuję, jak odzywają się we mnie ojcowskie uczucia.

MAŻ Twój syn cię wzywa.

PRZYBYSZ Pan zdradza naszą rewolucję!

STARZEC Nieraz bywałeś krnąbrny i nieposłuszny. Ale teraz, kiedy widzę, w jakich jesteś opałach... Ostatecznie, moja krew..

MAŻ Tak, tak! Ja już będę grzeczny. Niech tylko ojciec ocali mnie od tego barbarzyńcy!

ZONA Jak ty się wyrażasz o dziecku!

MAŻ A co, mam go jeszcze chwalić za to, co on ze mną wyprawia?!

ZONA Egoista... Jak wszyscy mężczyźni. Pamiętaj syneczku, że tylko serce matki...

STARZEC No to dawaj go tutaj.

MAŻ O, dzięki ojcie!

PRZYBYSZ A mówiłem, że nie można wierzyć liberałom.

STARZEC Ja zrobię z niego człowieka. Nauczę ja go paciorka. Porządek, dyscyplina i przyzwoitość, oto, czego ja go nauczę. Szacunku dla starszych, skromności i posłuszeństwa.

ZONA Niech się ojciec nie waży!

STARZEC Mam na niego sposób (*wyciąga szablę*)

MAŻ Idę!

PRZYBYSZ Do broni! Rewolucja w niebezpieczeństwie! (*Starzec wywija szablę i trąbi. Mąż wybiega na wprost, z Niemowłębem na plecach. Za nim Zona. Starzec znika*) ... Do broni! Do broni!... (*Pauza. Normalnym głosem*) Do broni. No tak, gdzie jest moja walizka. Lepiej, jeżeli się spakuję na wszelki wypadek. (*Za sceną słychać gwałtowne łomoty i odgłosy walki*) Tak, nawet na pewno lepiej. (*Wzmógłony hałas*) Szkoda mi chłopca, dobrze się zapowiadał. Ale cóż, kiedy pan starszy zabrał się do niego, nie mamy żadnych szans. Zegnajcie, nadzieje wolności i nowego ładu. Nie mam już nic do roboty w tym świecie, gdzie przemoc uciska niewinność i wiosna nigdy nie dojrzewa. Gdzie zima zaczyna się w maju. Trzeba ocalić co się da, to znaczy moją niezależność. Świat może jęczeć w ucisku, ale nic nie ograniczy swobody, która jest tu, we mnie. O, tutaj! (*uderza się w pierś*) Jestem naczyniem ideału. Muszę ocalić ideał, to jest mój obowiązek. Wypełnię mój obowiązek do końca, wbrew wszelkim przeciwnościom. Odejdę, unosząc ideał ze sobą. Ale dokąd? Zobaczmy, może się znajdzie jakieś dobre ogłoszenie... (*wyciąga z kieszeni gazetę, rozkłada, czyta*) ... „Pokój sublokatorski w śródmieściu...” — Nie, to nie to. Nie lubię śródmieścia. (*Hałas za sceną cichnie*) No tak, już po wszystkim. Spieszmy się. — „Duży, słoneczny pokój z łazienką...” — Acha, jest łazienka. Doskonale! — „... Przy rodzinie ze zdrowymi zasadami wynajmę odpowiedzialnemu...” — Coś dla mnie... Jak? „Płatne z góry?!...” — Pomyłka. Szukajmy dalej. (*Wchodzi Zona z na wprost. Przybysz chowa gazetę do kieszeni*)

ZONA Czy nie mógłby pan pożyczyć nam walizki?

PRZYBYSZ Co?

ZONA Wybieramy się na wieś.

PRZYBYSZ Jak to, czemu... Czy to już wakacje?

ZONA W tym roku wyjeżdżamy nieco wcześniej.

PRZYBYSZ Rozumiem. Dziecko potrzebuje powietrza, odpowiedniego. Po wszystkim, co przeszło...

ZONA I mamy jeszcze jedną prośbę.

PRZYBYSZ Słucham, słucham.

ZONA Żeby pan opiekował się mieszkaniem w czasie naszej nieobecności.

PRZYBYSZ Ale ja...

ZONA Oto klucze. (*wręcza mu pęk kluczy i wychodzi na wprost*)

PRZYBYSZ Ale ja... Ja też wyjeżdżam! Nie zostanę przecież sam z tym mściwym staruchem. O nie! Już lepiej mieszkać

pod mostem, niż z nim zostać. Dałby mi szkołę, gdyby mnie teraz dopadł. Przecież nie mogę narażać ideału. Ja jestem wolny anarchista! Walizka, moja walizka! (*Idzie na wprost, ale zatrzymuje się przed drzwiami*) Nie, wolę nie pokazywać mu się teraz na oczy. Mógłby mnie obrazić, a w mojej osobie zbeszcześcić ideał. Teraz, kiedy wszystko stracone, muszę dbać przynajmniej o godność osobistą. To mój obowiązek. Ale walizka... Do diabła z walizką. Ucieknę tak, jak stoje. (*Idzie na prawo. Z na wprost wychodzą Mąż i Żona. Niosą na noszach Starca. Starzec jest w mundurze, ale bez pióropusza, z głową zabandażowaną. Na Starcu leży walizka Przybysza*) Co? Pan starszy też wychodzi?!

ZONA Zabieramy Dziadunia ze sobą. (*stawiają nosze*)

PRZYBYSZ To niemożliwe.. to nieprawdopodobne... A to zuch malec!

ZONA Przykro nam, że zostawiamy pana samego.

PRZYBYSZ Ależ nie szkodzi, nie szkodzi!

ZONA Może pan dysponować całym mieszkaniem. Proszę tylko podlewać kwiaty i uważać, żeby gaz się nie ulatniał.

PRZYBYSZ O, na pewno! Państwo na długo?

ZONA Nie wiemy jeszcze.

MAŻ Na długo.

ZONA Na dosyć długo...

PRZYBYSZ O, proszę się nie śpieszyć. Proszę zostać, jak długo państwo zechcą.

ZONA To bardzo miło z pana strony.

PRZYBYSZ Drobiazg.

ZONA Niech się pan czuje, jak u siebie w domu.

MAŻ (*rozkładając się niespokojnie*) Chodźmy już.

ZONA Gaz, niech pan pamięta o gazie.

PRZYBYSZ Proszę na mnie polegać.

MAŻ Do widzenia. (*Wyciąga rękę na pożegnanie, nie patrząc Przybyszowi w oczy. Ściskają sobie dłonie*)

PRZYBYSZ Do widzenia. Gdyby mnie pan jeszcze kiedyś potrzebował...

MAŻ (*pośpiesznie*) O nie, nie ma obawy.

ZONA Do widzenia. (*podaje Przybyszowi rękę*)

PRZYBYSZ Do widzenia.

ZONA Będziemy pisywać.

MAŻ Chodźmy już.

PRZYBYSZ Liczę na ładną widokówkę. Z morzem albo górami.

MAŻ Chodźmy, chodźmy! (*podnoszą nosze*)

ZONA Chwileczkę. Dziadzio chce coś jeszcze powiedzieć. (*Stawiają nosze. Starzec unosi się na łokciu. Z trudem wyciąga drugą rękę i grozi Przybyszowi pięścią. Potem bezsilnie opa-*

da na wezgłowie. Mąż i Żona podnoszą nosze i wychodzą na prawo, unosząc Starca. Przybysz jeszcze przez chwilę kiwa za nimi ręką, jak ktoś, kto żegna odjeżdżający pociąg. Potem odwraca się, biegnie do drzwi na wprost, otwiera je na oścież i wciąga na scenę łóżko z aktu II. Łóżko zaścielone jest purpurową kapą. Wskazuje na łóżko nie zdejmując butów i wyciąga się z rozkoszą, wzdychając głęboko. Wyjmuje z kieszeni gazetę i nie śpiesząc się drze ją na drobne kawałeczki. Wyjmuje z kieszeni klucze i bawi się nimi przez chwilę, podrzucając je i łapiąc).

PRZYBYSZ Do widzenia, do widzenia... (*Chowa klucze do kieszeni, przeciąga się i ziewa, przewraca się na bok, uklada się wygodnie. Na scenę upada trąbka, przerzucona przez ścianę. Przybysz unosi się na wezgłowie*) Hej, uważaj tam! (*Na scenę upada szabla. Przybysz zrywa się*) Uważaj, mówię! (*Na scenę upada piróg z pióropuszem*) Spokój! (*Wyczełkuje przez chwilę, potem kładzie się z powrotem na wznak*) No, uspokoił się. (*Poprawia sobie poduszkę, przy okazji znajduje pod poduszką cygaro, zapala cygaro. Pauza*) Co on jest cicho... (*Siada nagle na łóżku*) Niedobry znak. Jeżeli dzieci są cicho, to znaczy, że mają coś na sumieniu. Co tam robisz?... Pewnie coś zbroił, jeśli się nie odzywa. Niszczy coś, psuje, albo zanieczyszcza. Przestań w tej chwili!... Słyszałeś?... Zostaw to!... (*Siada na łóżku, spuszcza nogi na podłogę*) Skaranie boskie z tym dzieckiem. Muszę go przypilnować, bo inaczej wszystko mi zapaskudzi. Przestań natychmiast... Jesteś tam?... (*Wstaje z łóżka, wychodzi na wprost, wraca*) Gdzie on się podział. Może poszedł do kuchni? Pójdę sprawdzić, czy nie odkręcił przypadkiem gazu. Ostatecznie to jest moje mieszkanie! (*Wychodzi na lewo. Pauza. Eksplozja za sceną, światło gaśnie. Pauza. Scena rozjaśnia się nieco. Z lewej strony wchodzi Niemowlę, wlokąc za sobą szalik Przybysza*)

NIEMOWLĘ Mamaaaa!...

Koniec

Sławomir MROZEK

Oko Dajana

Pewnego dnia spostrzegłem, że Warszawa nie jest najpiękniejszym miastem świata. Nikomu dotąd nie zwierzałem się z tego, że uważam ją za piękną, więc i teraz nie miałem zamiaru wyświadczyć się przed Wiewiórką ze swoich zmienionych poglądów. Podczas gdy ona z ożywieniem mówiła, ja przebieierałem łyżeczką w cukiernicy. To chyba wtedy też przyszło mi na myśl, że wiem, do czego ludziom są potrzebne środki uspokajające.

— Nie, to nie jest najpiękniejsze miasto świata — odezwałem się.

Opowiadała właśnie, jaką sobie uszyje nową sukienkę, jeśli tylko dostanie odpowiedni materiał. Na imię miała Hanka, wszyscy jednak nazywali ją Wiewiórką, pewnie z powodu tej rudej kity, kołyszącej jej się nad karkiem, no i małych ostrych zębów. Kończyła psychiatrię, ale chwilami wydawało się, że sama jest lekko trzaśnięta, takie miewała nieoczekiwane reakcje, traktowała mężczyzn jak niesforne, rozkoszne bobasy, ni stąd ni zowąd jej zielone oczy ogarniał czuły zachwyt, chwytła chłopaka za nos lub szczypała w policzek wołając: „Jaki tu masz fajny pieprzyk, tytyty”. I zaraz faceta pogłaskała, żeby go za bardzo nie bolało. Trzaśnięta.

Cieszyłem się ostatnio jej względami, nie wiem dlaczego. Było nam z sobą dobrze, to najważniejsze, spotykaliśmy się w kawiarniach, plotkowaliśmy zawzięcie, czasem przychodziła do mnie i zostawała na kawałek nocy. Z jakiegoś powodu byłem wyróżniony, niewątpliwie należało wysłuchać cierpliwie, co to będzie za suknia, a ja nie, ja swoje, Warszawa to nic takiego nadzwyczajnego, przerwałem jej tym wątek, który z takim zapalem snuła i nic dziwnego, że też potraktowała mnie chłodno:

— Mówisz o mieście, w którym się znajdujemy?

— Wyłącznie.

— Możesz to jakoś uzasadnić?

Mógłbym. Ale wolałem odpowiedzieć:

— Nie chce mi się niczego uzasadniać.

— Chyba, że tak. — Przyglądała mi się badawczo. — Spokładło cię coś przykrego?

Pani psychiatra z powodzeniem usiłowała dokonać introspekcji. Nie wiem dlaczego kiwnąłem głową. Miałem jej o tym nie opowiadać. Nie lubię przyznawać się do porażek, nawet niewielkich. Nie nadaję się na cierpiętника. Uśmiechnęła się zachęcająco i pomyślałem sobie, że nakłada na powieki zbyt wiele tuszu. — Wiewiórko, czy naprawdę obchodzą cię moje zgryzoty?

— No więc co się stało? — dopytywała się.

— Ominęli mnie przy przydziałach na samochód.

— Och, Krzysztof, Krzysztof!... I dlatego od razu wszystko jest złe?

— Nie, wszystko jest na medal. Jak powszechnie wiadomo. — Żałowałem, że w ogóle jej o tym napomknąłem. Inteligentna, błyskotliwa, ale widzi tylko to, co jest na wierzchu. Jakiś samochód, czym tu się przejmować. Przechyliłem się ku niej: — Wiewióreczko, powiem ci coś w zaufaniu: nie ma wielkiego zmartwienia. I tak nie miałbym na zapłacenie raty.

— Więc o co chodzi?

— O to, że byłem już na liście, a potem mnie skreślili.

Tym razem chwyciła. Poznałem to po sposobie, w jakim nasepiła cienkie brwi.

— Naraziłeś się komuś? — spytała.

— Najwidoczniej. Ale nie wiem komu i nie wiem czym.

Dyrektorowi przed kilku laty, przypomniałem sobie. Stare dzieje. Czyżby dopiero teraz mi odpłacał?

— Nie martw się — pocieszała mnie Wiewiórka. — Może to nic nie oznacza.

— Może — przyznałem. — Komuś tam nie podoba się moja facjata i to wszystko. Drobiazg.

Oboje zamikliśmy, bo na tyle znaliśmy życie, żeby wiedzieć, że to wcale nie drobiazg. Byłem wdzięczny Hance, że nie muszę jej przekonywać.

— Najgorsze jest to, że z Warszawą dzieje się coś niedobrego — powiedziałem. — Ludzie na ulicy byli dziś wyjątkowo przygnębieni, chociaż na pewno jeszcze nie wiedzą o ciosie, jaki mnie spotkał.

— A może wiedzą — powiedziała i uśmiechnęła się.

Wyglądała, jakby trzymała orzeszek między ostrymi ząbkami. Nagle zrozumiałem, dlaczego chcę, by zmyła tusz z powiek. Bo wiem jak wyglądają jej powieki bez tuszu. Jak przeświecione.

Były takie, kiedy po raz pierwszy została u mnie na noc. Pamiętam, że kiedy położyła głowę na poduszce i zatrzepotała nagimi powiekami, pomyślałem o chwiejących się łożyzkach rozgrzanej trawy, o rozsłonecznionej zieleni. I pomyślałem sobie jeszcze, że zmyśly tusz stawiała się samą naturą, zachłanną, drapieżną i radosną.

Powiem jej, pomyślałem. Ale wtedy ona zaczęła wyrzekać na swoją krawcową. Każę jej długo czekać, a wreszcie samowolnie zmienia fason. Znowu w milczeniu przebierałem łyżeczką w cukiernicy. Ukryłem przed Wiewiórką to, co najważniejsze.

Ukryłem przed nią, że kiedy poskarżyłem się naszej maszynistce, pani Florze, na skreślenie mnie z listy, uniosła wysoko brwi i spytała:

— Pan się dziwi?

Dla niej moja krzywda była czymś całkiem naturalnym. Dostałem po głowie, nie, bez przesady, powiedzmy raczej, że dostałem lekkiego szcztka w nos, i miałem się temu nie dziwić. Dla kogoś tam, może dla wielu nawet, byłem z jakiegoś nieznanego mi powodu, kimś, kto nie powinien się skarżyć. Wieczorem Hanka nie miała dla mnie czasu, siedziała nad swoją pracą o dzieciach alkoholików, poszedłem więc sam do kina, na japoński film, starałem się przejąć samurajskimi kłopotami, ale zamiast mieczy, skośnych oczu i wiader posoki, wciąż miałem przed oczyma twarz naszej maszynistki, z tymi jej wysoko uniesionymi brwiami. W głosie pani Flory pobrzękiwała chyba lekka ironia, ale taka ironia czuła, z domieszką melancholijnego współuczestnictwa, co było dosyć rzadkie u tej damy, odnoszącej się z zimną obojętnością do wszystkiego, co się dzieje w naszej centrali eksportowej. Nie udało mi się z niej nic więcej wycisnąć poza owym ironicznym: „Pan się dziwi?” Wymęczyli mnie ci Japończycy, z ich ryckim honorem, upokorzyli, poczułem się nędznym płazem Warszawy, wzdychającym do tego, żeby się komuś podlizać, tylko cały kłopot w tym, że nie wiadomo komu i jak. Co było robić, po kinie wstąpiłem do nowego „Bistro” przy Metropolu. Mordownia. Wypiłem szybko dwie wódki i wróciłem do domu. Pani Profesorowa już spała. Przeniosłem telefon do swojego pokoju i dobrze zrobiłem, bo wkrótce po tym zadzwoniła Hanka, żeby się dowiedzieć, co u mnie.

— W porządku, Wiewiórko — odpowiedziałem — jestem po dwóch wódkach.

— Pijesz beze mnie — usłyszałem wyrzut. — To nieładnie.

— Boisz się, że się rozpiję?

— Będiesz chyba moim pierwszym pacjentem. Czy jeszcze przeżywasz tamto? — spytała.

— Nie. Nie wiem. Może. — Nie umiałem zdać sobie sprawy ze swoich uczuć. — Przecież to głupstwo, prawda?

— Nie wiem, Krzysieńku, na wszelki wypadek śpij spokojnie. Weź sobie jakąś usypiającą lekturę. Dobranoc.

— Dobranoc. Dziękuję za ludzkie słowo.

Musiała być w pizamie. Tusz z powiek zmyty i oczy lśniły spoza rzęs jak zielono-złota łąka. Objąłem poduszkę, mruknąłem na głos „pies ich targnął” i starałem się zasnąć.

Kilka następnych dni upłynęło całkiem możliwie. Nikt nie bił w szczękę i pomyślałem, że jeśli nawet komuś tam coś we mnie się nie podoba, to nie ma tragedii, da się z tym żyć. W pracy przykrości były w normie, nie zaproszono mnie na przykład na spotkanie z handlowcami indonezyjskimi, którzy odwiedzili naszą centralę, nie dostałem też pewnych zestawień liczbowych, do których zwykle dorabiałem komentarz liryczny, ale to też nie był żaden dramat, po prostu miałem mniej pracy. W biurze stosunki poprawne, chwilami nawet więcej niż poprawne, uprzejmość pani Flory, zwykle tak zimna, stała się nie wiadomo czemu bardziej ludzka, raz nawet wyraziła się pochlebnie o jakimś moim tekście reklamowym. Tadek Gawron, który dotychczas witał się ze mną niedbałym „cześć, stary”, teraz nigdy nie zapominał podawać mi ręki, czasem nawet przydługo ścisnął mi dłoń. Wiewiórki przez dłuższy czas w Warszawie nie było. Znajdowała się w pewnym zakładzie dla trudnych dzieci, zbierała materiał do swojej pracy magisterskiej. Zadzwoniła jednak stamtąd do mnie, żeby mnie znowu spytać o samopoczucie. Powiedziałem, że wszystko jest O.K. i że na Sylwestra zabiorę ją na wycieczkę do Drezna, którą organizuje nasza firma eksportowa, zamówiłem dwa miejsca. Będziemy się tarzać w złocie i zieleni, obiecałem. Jako kobieta i może też jako psychiatra zdołała się domyślić, że jest to jakaś obietnica erotyczna. Słyszałem jak westchnęła po tamtej stronie drutu: „Krzysiu — powiedziała — postaram się stąd wyrwać jak najszybciej”.

Zanim przyjechała, zadbano w biurze o to, żeby mi się w głowie nie przewróciło. Nie znalazłem swojego nazwiska na liście wyjeżdżających do NRD. Powiedziano mi, że zabrakło miejsc dla kilku kandydatów i zarządcono losowanie. Los okazał się niełaskawy dla mnie.

— Kto jeszcze odpadł? — spytałem pulchnej pani Miśkiewiczowej. Zajmowała u nas etat „socjalnej” i do niej należało załatwianie wycieczek.

— Winnica odpadł — powiedziała.

Winnica, nasz portier! Wątpię, czy zadawano by sobie trud przeprowadzenia losowania, żeby skreślić pana Winnicę.

— I jeszcze kto? — pytałem nieustępliwie.

— Pan Frenkiel.

Frenkiel ma wyemigrować i na pewno sam prosił o skreślenie go z listy. Pozostawałem ja. To dla mnie jednego los był taki nieprzyjazny.

— Więc jak? — zniecierpliwiłem się. — Było w końcu jakieś losowanie czy nie?

Widziałem, że pani Miśkiewiczowa poci się.

— Częściowo było, a częściowo nie — mówiła nie wiedząc gdzie oczy podziąć. — Pan to wypadł z losu, a już ta pani, którą pan chciał zabrać, to sama przez się... komisyjnie.

Coś na mnie ciąży, zrozumiałem. Dałem spokój pani Miśkiewiczowej, bo ta mała, okrągła kobiecina, z której twarzy sypią się kępy brodawek i wąsów, budziła we mnie współczucie. Coś musiałem przeskrobać. Może zgwałciłem kiedyś jedenastoletnią dziewczynkę, tylko zupełnie o tym zapomniałem? Ale nie, chyba nie popełniłem nic aż tak haniebnego, skoro wszyscy zachowują się poprawnie, czasem nawet przyjaźnie. Nie ma tego muru, który wyrasta, kiedy budzi się wstręt. Pani Flora poczęstowała mnie dziś filiżanką kawy i sama ją osłodziła. A jednak jestem niedobry. Nagle coś mnie tknęło. Mieszkanie! — przypomniałem sobie. Miałem otrzymać poparcie od spółdzielni. Jeśli i to... Pobiegłem do personalnej.

Wracając od niej, pomyślałem znowu o tych środkach uspokajających. Czułem rozdrażnienie w całym ciele, rozdrażnienie fizyczne, szło ono od żołądka i biegło ku kończynom. Nie, pomyślałem, nikt nie może zauważyć, że kolana mi zmiękły, że palce u rąk dygoczą. Staralem się uśmiechać do kolegów, kiedy lawirując między biurkami, wracałem do swojego biurka, podobnie jak starałem się zachować kamienny spokój przedtem, w personalnym, tym bardziej, że czułem na sobie uważne spojrzenie spomad maszyny do pisania pewnej miłej buźki, którą kiedyś miałem ochotę poderwać. To nawet trochę pomagało na moje rozdrażnienie, ten przymus zachowania twarzy, który sobie zadawałem. Usiadłem za biurkiem i zapaliłem Carmena z trudem opanowując drżenie rąk. Nie będę zażywał żadnych środków uspokajających, postanowiłem, nie, mój Nauczyciel może się nimi zatruwać, to cherlak, neurotyk, ale nie ja, mnie nie wykończą, mam dwadzieścia sześć lat, końskie zdrowie, wojny nie pamiętam, w obozie nie byłem, nie, na miły Bóg, ja ich przetrzymam, myślałem z uporem. Papieros dopalał się, ale rozdrażnienie nie ustępowało, było tylko bardziej głuche: już nie piękąca rana, tylko bolesny siniak. Trzeba będzie przejść na tańsze gatunki, przyszło mi na myśl. Na pewno zechcą mnie uderzyć po kieszeni. Ale za co? — myślałem rozpaczliwie. Niech mi chociaż powiedzą za co.

Tadek Gawron położył przede mną kilka szkiców i zdjęć.

— To są dane techniczne nowej obrabiarki. Mógłbyś napisać coś lekkiego?

— Tadek — szepnąłem. — Co się właściwie tu dzieje?

— Zauważyłeś co? — spytał niespokojnie.

— Nie chcą mi dać poparcia na mieszkanie.

Gawron rozejrzał się. Pani Flora stuknęła na maszynie, a Jurek Beńko, nasz pierwszy sekretarz, wychodził właśnie z papierami do dyrekcji.

— To minie — powiedział pośpiesznie Tadek. — Musi minąć. Nie przejmuj się, wiesz jak to dziś jest.

— O czym ty mówisz? — zaniepokoiłem się na dobre.

— Musi minąć — powtórzył raz jeszcze. — Zachowaj spokój, to najważniejsze. Minie — dodał i odszedł z papierami do swojego biurka. Po chwili wrócił: — Krzysztof — powiedział prawie błagalnie. — Nie wyciągaj pośpiesznych wniosków. Trzeba przeczekać.

Nie zgwałciłem nieletniej dziewczynki, tego byłem pewny. Ale pamiętam, że kiedyś ostro zaatakowałem dyrektora Markowskiego. Nasz dyrektor to kawał sukinsyna, nie ma co owijać w bawełnę. Poznałem to od razu, kiedy jako świeżo upieczony polonista przyszedłem do jego centrali na referenta reklamy. Przez pierwszych kilka miesięcy traktował mnie podejrzliwie, potem się uspokoił. Ale zdążył mnie wymęczyć. „To pański ojciec, panie Brzozowski, występował przeciw nam na Zachodzie?” — zapytał mnie kiedyś wprost. Nie ukrywał wcale niechęci do mnie, może nawet wstrętu. Przyznałem, że mój. Spytałem jeszcze, czy to coś zmienia. Nie patrzył na mnie. „No cóż — mruknął. — Biorąc rzecz praktycznie... Ostatecznie, te reklamówki... — Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że zajmuję zbyt podrzędne stanowisko, by warto było się mną przejmować. — Wszystko zależy od tego, jak pan sobie da radę”. Podziękowałem już i nawet pomyślałem sobie, że jest na swój sposób wielkoduszny, kiedy on wrócił do sprawy mojego ojca. „Zrobili głupstwo, że mu dali paszport” — powiedział jakby do siebie. On by mu nie dał, ten sukinsyn. Miałem już na końcu języka, że zrobili z ojcem większe głupstwo, że go trzymali jedenaście lat w kopalni w Workucie i jakoś nikt z tego powodu nie wyraził skruchy. Zmilczałem, bo nie chciałem tego sukinsyna rozwścieczyć. Nie wdałem się w swojego ojca, który urodził się na bohatera. Był oficerem wileńskiej Armii Krajowej i w roku 1944 wywieźli go wraz z innymi za koło podbiegunowe. Miałem wtedy wszystkiego półtora roku i w ogóle ojca nie pamiętałem. A kiedy w pięćdziesiątym szóstym zamieszkał z nami wysoki, chudy i siwy pan, małomów-

ny i wyniosły, do którego znajomi mówili „panie kapitanie”, z trudem pogodziłem się z tym, że to jest właśnie mój ojciec. Milczący eks-kapitan przebywał z nami trzy lata, potem pojechał z wycieczką do portów skandynawskich i już stamtąd nie wrócił. Nie znałem prawie swojego ojca i o to miałem do niego żal. Czy mówić o tym wszystkim tej zakutej pale? Powiedziałem tylko: „Mój ojciec nie żyje, panie dyrektorze”. „Wiem” — odpowiedział i odprowadził mnie do drzwi.

Czytał potem każdy mój tekst ze zdwojoną uwagą, wahał go jak pies policyjny odnalezioną czapkę zbrodnika, podejrzewał może, że reklamując nasze wyroby, staram się przemycić za granicę jakieś oszczerstwo, cenną kontr-rewolucyjną informację, czy coś w tym rodzaju. Najbardziej bał się tekstów żartobliwych. Dowcip niepokoił go i powodował coś w rodzaju nerwowego dygotu. Czy nie są to kpiny z ojczywego kraju? Za grosz poczucia humoru, za to czujności aż nadto. Wywaliłem to wszystko na jednej naradzie, powiedziałem że pracujemy starymi metodami, że reklamę się u nas odwała, że nie zwracamy się do adresata, tylko do własnych przełożonych, a przecież ani Pierwszy Sekretarz ani Towarzysz Premier nie kupią naszych lokomotyw. Poskarżyłem się też, że dyrektor nie docenia. Referat prasowo-reklamowy traktowany jest jako przyczepka, jak propaganda wartości abstrakcyjnych, coś pasożytniczego, podczas gdy w rzeczywistości bez zrzecznych i rzeczowych tekstów niewiele sprzedamy. Uderzyłem w niego, właśnie w Markowskiego, w jego rutynę i brak wyobraźni. Nie wiem dlaczego z miejsca mnie nie wyrzucił.

Nie wyrzucił mnie wtedy z pracy, ale musiał sobie zakarbować moje wystąpienie i postanowił, że jak przyjdzie chwila, to mnie wykończy. Ma rację, jeśli sądzi, że teraz może już bić jak chce. Od tamtego wystąpienia minęły dwa lata i stało się to, co się stało, sporo moich młodszych kolegów znalazło się za kratkami i wprawdzie ja, człowiek programowo apolityczny, nie miałem nic wspólnego z zajściami, ale wystarczy, że jestem młody, mój rocznik świadczy przeciwko mnie.

Opowiadałem o tym Wiewiórcie niedbale, urywkowo, usiłując możliwie zlekceważyć całą sprawę. Pamiętałem, że kiedyś szepnęła mi, że w moich ramionach odpoczywa, czy też nabiera chęci do życia. Może nie powiedziała tego dosłownie tak, ale ja mogłem zrozumieć z jej szeptu, że wydzieram ją jakiemuś czyhającemu na nią przygnębieniu. I po to jestem jej potrzebny — ja, człowiek zdrowy, młody, z odrobiną zapału i talentu. Teraz obawiałem się, że ten nowy Krzysztof, osaczony przez zgryzoty i małe, śmieszne porażki, może ją odstręczyć. Nie mieliśmy zresztą dużo czasu dla siebie, bo Hanka obiecała rodzicom wrócić przed północą do domu. W sąsiednim pokoju krzątała się Profesorowa,

trzeba było zachowywać się cicho i może dlatego nie wszystko było dobrze.

— Nigdy nie jest tak, jak się zaplanuje — powiedziałem spoglądając na jej powieki pokryte tuszem. Nie odpowiedziała, więc ciągnąłem: — Mówię o moim mieszkaniu. Myślałem, że jest tuż-tuż.

— Profesorowa opiekuje się tobą jak synem.

Zsunąwszy się z tapczanu naciągnęła na biodra pasek z pończochami. Chwyciła moje głodne spojrzenie i uszczypnęła mnie w policzek, trzaśnięta.

— Tytyty, jak śmiesznie patrzysz.

Potem, ukrywając się za oparciem krzesła, wciągnęła przez głowę sukienkę. Teraz trzeba było zapiąć na plecach trzy guziczki. Wstałem z tapczanu, żeby jej w tym pomóc. Ale najpierw ją objąłem. Przez chwilę trwaliśmy w uścisku, w lustrze widziałem opuszczone powieki Wiewiórki. Profesorowa w sąsiednim pokoju przysunęła fotel w stronę radia. Słyszałem chłopięcy głos felietonisty Wolnej Europy. Hanka westchnęła i uniosła powieki. Powiedziała:

— Zapnij.

Nigdy nie rozmawialiśmy o miłości i nie wiem dlaczego właśnie teraz miałem ochotę powiedzieć, że ją kocham. Chciałem, żeby została ze mną do rana, żeby przedstawiła mnie rodzicom (których trochę się bałem) jako swojego przyszłego i w ogóle nachodziły mnie nieprzytomne myśli. Desperacja przegrywającego. Czyste szaleństwo. Bo trzeba najpierw wyjaśnić, o co tamtym ze mną chodzi, a potem dopiero ukrać dziewczynę powrót.

— Może jednak coś na mnie ciąży? — zastanawiałem się.

— Mówiłeś o tym dyrektorze. To bardzo prawdopodobne.

— Może jednak co innego?

— Co by to mogło być?

— Nie wiem. Daj człowieka, a paragraf się znajdzie. A jeśli to chodzi o ojca? Został na Zachodzie i występował przez radio.

— Ale zmarł.

— Tak, stary Brzozowski zmarł. Ale za to młody sobie żyje.

— Chyba nie to — powiedziała. — Tacy jak twój ojciec są teraz przez nich kokietowani. Ciągną ich do stowarzyszeń kombatanckich, sadzają w prezydiach, podsuwają do podpisu rezolucje. A już najbardziej uwielbiają kiedy któryś zemrze. Taki z miejsca staje się dobry.

W zielonej, wyschniętej trawie cykają koniki polne. Wiewiórka złoto-zielona.

— W naszym biurze cuchnie bajorem — mruknąłem.

— To przenośnia? — spytała.

— Ścisły opis. Słysząc nawet bulgotanie pęcherzyków gnilych jak na mokradłach.

— Myślę — powiedziała — że powinienś poprosić dyrektora o rozmowę.

— Nie wiem, czy się do niego dopcham.

— Spróbuj. Po co się z tym męczyć? Trzeba wyjaśnić.

Poprowadziłem ją przez jadalnię, w której Profesorowa z dłonią przy uchu słuchała wiadomości kończącego się dnia.

Do dyrektora dostałem się bez trudu. Od razu. Jak gdyby od miesiący marzył tylko o czułym sam na sam ze mną. Szeroki zapraszający gest dłoni, w której trzymał wygasłą fajkę. Cały dyrektorski gabinet do mojej dyspozycji, wraz z fotelami, biurkiem, godłem państwowym i portretem Pierwszego Sekretarza. Nie skorzystałem z fotela. Powiedziałem nie ukrywając podniecenia:

— Ja na krótko. Jeśli można — jedno pytanie.

— Proszę.

Wydał mi się smutniejszy niż zazwyczaj. Komunista osiwiłały w nieufności. Ale tym razem jego oczy nie patrzyły na mnie bawczo. Wydaje mi się, że odgadłem w nich raczej znużenie, może nawet senność.

— Chciałbym zapytać — mówiłem czując, że rozdrażnienie nie pozwala mi panować nad głosem — chciałem dowiedzieć się, co się panu we mnie nie podoba. Kiedy mnie pan wyrzuci? A może mam sam zrezygnować z pracy? Właściwie, co pan przeciwko mnie ma?

— Przeciwno panu? — Potrząsnął głową. — Nic. Nie wiem, o co panu chodzi.

— W takim razie — powiedziałem przez zęby — kto prowadzi tę nagonkę na mnie?

— Na pana ktoś prowadzi nagonkę?

Wydało mi się, że jego zdumienie jest szczerze. Poczułem się z miejsca, jak ktoś ogarnięty manią prześladowczą. W miarę jak moje oburzenie słabło, ustępowało ono miejsca zawstyżeniu. Wymyśliłem sobie jakąś nagonkę, podczas gdy to wszystko było normalnym biurowym życiem. Trochę nieporozumień, którym przypisałem demoniczne znaczenie.

— Jeśli pan pozwoli...

Teraz dopiero usiadłem. Zobaczyłem na biurku pod szklaną płytą zdjęcie dwunastoletniego chłopca. Biurko uprzątnięte, z minimalną ilością papierów, woreczkiem na tytoń i aparatem do czyszczenia fajki. Starąłem się zebrać myśli.

— Nazwijmy to inaczej — powiedziałem. — Jakiś złośliwy ciąg nieporozumień. — Wyliczałem na palcach. — Skreślono mnie z listy samochodowej, raz. Nie mogę wyjechać na wycieczkę do

naszych braci w NRD. Dwa. Nie udostępniono mi pewnych wykazów. Nie dopuszczono mnie do delegacji indonezyjskiej. Co jeszcze? — starałem się sobie przypomnieć. — Aha, mieszkanie. Nie dostałem poparcia, które każdy automatycznie dostaje.

Jednak nagonka, pomyślałem wyliczywszy to wszystko. Dyrektor zamyślił się. Potem powiedział:

— Moim zdaniem, nie powinien pan składać rezygnacji. — Zimny łobuz, jeszcze mi doradza. — Po co się z tym śpieszyć? Odczekajmy. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Podniósł na mnie oczy i spytał: — To nawet na mieszkanie nie dali panu poparcia?

On niby nie wiedział! Powiedziałem mu, że to mnie dziwi. Zapaliwszy fajkę i odpykawszy trochę, przypomniał, że poparcia udziela rada zakładowa. Słodko pachnący dym wypełnił pokój.

— Ale pan — jako dyrektor? — napierałem.

Uśmiechnął się zagadkowo.

— Pan zdaje się nie zauważył, że ja od dłuższego czasu już tu nie rządzę.

Nie, nie zauważyłem. Nie wiedziałem. Więc on też ma jakieś swoje kłopoty, ten stary dżerymorda. Pies go, nie będę się rozczulał. Spytałem zaciekawiony:

— A kto rządzi?

— Partia — oświadczył dobitnie i bez wahania. — Partia u nas rządzi wszystkim. Powinien pan porozmawiać, zaraz, zastanówmy się...

— Z sekretarzem? — podsunąłem.

— Z Beńko? Nie. — Pyknął kilkakrotnie z fajki. — Z kimś kto tu dużo może. Najlepiej z mężem zaufania Komitetu Dzielnicowego. Z towarzyszem Kapuchą.

— Kapucha — przypominałem sobie. — To taki facet, który lubi przesiadywać w bufecie.

— Ludzka ułomność.

— Nie wydaje mi się zbyt inteligentny.

— Człowiek przyszłości — stwierdził dyrektor. — Nie raziłbym lekceważyć. Jeśli partia na niego stawia, to coś w tym jest, partia się nie myli.

W jego głosie brzmiało przekonanie, na pewno, żeby chociaż odrobinę ironii, nie, on tak myślał, chyba że to była taka gra, przecież to niemożliwe, żeby aprobował Kapuchę, żeby nie widział jego prymitywizmu, chamstwa, opilstwa, skłonności do drobnych nadużyć!

— Wolałbym z nim nie mieć do czynienia — powiedziałem wstając.

Dyrektor odprowadził mnie do drzwi.

— Niech pan zaryzykuje — radził. — Im szybciej się sprawę wyjaśni, tym lepiej dla pana. Po co to ma wisieć?

Co na mnie tak wisi, tego nie wyjawiał. Może nawet sam nie wiedział. Powinienem być szczęśliwy, że nie potraktował mnie jak maniaka. Więc coś tam jednak wokół mnie w bajorze bulgocze. Musiałem się czymś cholernie narazić, nie wiem kiedy, musiałem coś popełnić, nie wiem co, ale dowiem się i zrozumieć, partia się nie myli.

Ten Kapucha. Przysadzisty szatyn o okrągłej, mięsistej twarzy i nosie zakręconym do góry. Małe chytne oczka. Mówi szybko, urywanymi zdaniem, pewnie dlatego, że ma skłonność do zająkiwania się. Taki jest, nie przeczekam. Nasi rodzimi hycle nie przybierają postaci wysmukłych, jasnowłosych cherubinów o marmurzących oczach, nie uwodzą elegancją, manierami, aksamitnym głosem, nie słuchają w zapamiętaniu Beethovena, nasi działają bez kamuflażu, po gębie poznać co za jedni, po słownictwie, po sposobie picia. Złapałem Kapuchę w bufecie, złapałem ciepłe piwo. Zobaczywszy mnie, skinął głową na powitanie, ponuro, bez zachęty. Ja postanowiłem jednak, że coś z niego wydobędę.

— Panie Kapucha, mam sprawę.

— No? — warknął.

— Pan jest mężem zaufania partii i pański głos się liczy w radzie zakładowej.

— No? — powtórzył Kapucha.

— Nie dalsie mi poparcia do spółdzielni — powiedziałem, czując, że głos mi się rwie.

— A bo co? — Dziwił się, że mnie to obchodzi!

— Dlaczego? — spytałem. — Każdy dostaje poparcie. Dlaczego ja nie?

Łyknał piwa.

— Bo nie dało się i już. Za dużo chcesz pan wiedzieć.

Przysiągłbym, że zachichotał.

— Ta sprawa dotyczy — przypomniałem.

— Czy ja mówię, że nie? Marne piwo, cholera, porządku, psiakrew, trzeba się będzie za was wziąć, pani Hala.

Gdybym go trzasnął w mordę, z pięć osób oszalałoby z radości, pomyślałem, ale to byłby koniec mojej kariery. Inni zażywają środki uspokajające. Nie wezmę. Jeszcze nie.

— Czyli że jestem niedobry, tak, panie Kapucha?

— Czego pan chce? — rzucił się. — Życ dają? dają? — powtórzył zająkując się. — Posada jest? Jest posada? Czego jeszcze trzeba?

— Ja mam ochotę wiedzieć, dlaczego jestem niedobry — mówiłem możliwie spokojnie. — Mam prawo znać przyczyny.

— A partia nie musi informować. Musu nie ma. Zaufania do obywatela nie mamy. Wolno partii? Narodowe interesy — kto

ma o nie dbać? Birkenbaum? Kapucha musi dbać. Szluz. — Podsunął bufetowej kufel. — Jeszcze butelkę, panno Hala. Widzi pani jaki los? W bufecie spokoju nie dają.

Stanąłem obok lady tak, żeby mu spojrzeć w oczka.

— Ja jednak poproszę pana o rozmowę sam na sam. Jeśli coś przeciwko mnie macie, dobrze, mogą być winny, ale muszę wiedzieć, co to jest. Kiedy znajdzie pan dla mnie czas? — domagałem się. Kątem oka dostrzegłem, że panna Hala zamarała z butelką w dłoni.

Kapucha poruszał grubymi wargami.

— Nie dzisiaj. Dzisiaj nie. — Zamrugnął powiekami. — Na razie nie mamy o czym ze sobą gadać. Nie ma o czym — powtórzył z rozpedu.

Odwrócił się i pokazał mi swoje szerokie, nalane plecy w sztruksowej marynarce. Ścisnąłem pięści w bezsilnej złości. Co im takiego zrobiłem? Jezus, kto mi to powie! Jak wyjaśnić? Jak się dowiedzieć? Trzęsawisko wciągało mnie i błoto uciskało pierś, chlupotało pod szyją.

Ukrywam się przed Hanką. Nie chcę jej pokazywać swojego zmarmotniałego oblicza. Spoglądam w lustro: z mojej śniadej pociągłej twarzy opalenizna już zeszała i cera zrobiła się żółta. Oczy stały się rozbiegane, niespokojne. To te oczy zauważył Kapucha. Oczy przestępcy przyłapanego na gorącym uczynku. I od tam już mnie nie opuszcza. Spoglądam w lustro, a Kapucha stoi obok, dyszy mi w kark ciepłym piwskim i czeka aż się przyznam. Kiedy zasypiam, siedzi nieruchomo przy stole trzymając kufel na wysokości ust. W nocy duszą mnie jego szerokie plecy, sztruks marynarki knebluje mi usta, chce mi się pluć i rzygać, a kiedy budzę się pierwszą moją myślą jest: dzisiaj uda mi się go złapać i wycisnąć, o co chodzi.

Kapucha był nieuchwytny. Dzieliły go ode mnie przemysłne bariery: sekretarka, podwójne drzwi, pilne zebrania, brak czasu, narada w centrali, jestem zajęty, nie ma mnie dla nikogo, wyskakuję na pół godziny, towarzysz Kapucha jest w Dzielnicy, towarzysz Kapucha wita na lotnisku, towarzysz Kapucha ma zwolnienie, zostawcie mnie mam kaca.

Znowu w bufecie i znowu przy ciepłym piwie. Był i zarazem go nie było. Spojrzenie nieobecne, gdzieś w lasach, na polowaniu, na partyzanckim biwaku.

— O czym mamy gadać? Nie mamy o czym.

Kiedy indziej (bufet, piwo, spocony nos wykrecony pod górę):

— Jeszcze nie czas.

Raz w korytarzu, opędzając się przed moją natarczywością!

— Przyjdzie czas, sami zrozumiecie. A na razie co? Krzywdą się dzieje? Z posady pędzą? Nie pędzą. To o co ten rejwach? Po co te nerwy? Od razu krzyk, jakby zarzynali! Kapucha ma cierpliwość, to pan nie może mieć? Bierz pan przykład ze mnie. Spokojny jestem, co? Przepraszam obywatela, ale mam naradę.

Wciąż nie mogłem zdecydować się na te środki uspokajające, którymi zakarmia się mój wywalony z pracy Nauczyciel. Zauważyłem, że jedna wódka robi mi dobrze. Wypiłem ją samotnie wieczorem. Bieg myśli miałem po niej nieznacznie zwolniony, ale rozdrażnienie nie było już tak ostre. Z papierosem w ustach położyłem się na tapczanie. Jestem przestępcą, myślałem, chociaż o tym nie wiem. Nie ubrdali sobie tego całkowicie, to ja wmawiam sobie, że jestem bez skazy, a przecież trochę się już pożyło, człowiek jest młody i lekkomyślny, mogłem popełnić zbrodnię nawet nie zauważwszy tego, mimochodem. Nie idzie chyba o ten atak na dyrektora, który już nie rządzi, to odpada. Może jakieś zuchwale powiedzonko w bufecie, albo złośliwy szept do ucha koleżanki podczas akademii pierwszomajowej. Dotychczas w naszej centrali odbyły się za mojej pamięci trzy akademie i z każdej udało mi się wykręcić. Ojciec? Nie. Wiewiórka mi wyjaśniła, że teraz jest inny etap. Coś z czasów uniwersyteckich? Może z liceum? Czasami występowałem dosyć swobodnie. Raz, podczas seminarium, upomniałem się o miejsce w oficjalnym podręczniku dla poetów emigracyjnych. Wykładowca przyznał mi rację i cały epizod minął bez konsekwencji. Teraz kurs pod tym względem panuje ostrzejszy, ale to jednak chyba nie to.

Musiałem popełnić coś bardziej karygodnego, coś co mnie przekreśla moralnie. Oni chcą, żebym ja to sam zrozumiał, nie chcą wytaczać procesu, czekają aż skruszeję, przywlokę się i padnę na kolana i czołem będę bić o posadzkę: darujcie, mili, wielkoduszni, odpuście mnie grzesznemu. Kapucha ma cierpliwość, czeka. Jak Porfiry ze *Zbrodni i Kary*. Może i ja zamordowałem starą lichwiarkę? Nie, on wie, że ja tego nie zrobiłem. Ale jestem winny, mimo że tego nie zrobiłem. Ja, współczesny Raskolnikow, jestem zbrodniarzem, który nie zabił, nie ma się do czego przyznać, ale Porfiry czeka cierpliwie, Porfiry wie, że wystarczy, jeśli omota mnie nieufnością, nie będę mógł wytrzymać atmosfery podejrzeń, sam wymyślę zbrodnię, przyznam się, na miły Bóg, przyznam się i poproszę o karę jak o zbawienie. Już teraz rozumiem, że człowiek może się załamać pod ciężarem zbrodni, której nie popełnił, wystarczy samo podejrzenie, sama nieufność, wszystkie te aluzyjki, uśmieszki, dyskryminacje, spychanie człowieka do grona pariasów, rozdeptywanie osobowości, tarzanie w błocie, strącanie w mrok, smród, w nicłość, och doprawdy Raskolnikow

nie musiał rozplatać głowy lichwiarce, żeby załamać się i krzyknąć: bierzcie mnie, to ja! A więc to tak, pomyślałem podniecony. Zerwałem się z tapczanu. O tym trzeba było napisać pracę magisterską, właśnie o tym. Tylko, że jeszcze miesiąc temu ani trochę się tego wszystkiego nie domyślałem. Byłem jak szczęśliwy dzikus. Pouczająca to jednak rzecz — dostać po mordzie. Rozdziewicza. Bicie, humanistów, policjanci, bicie co sił, wyjdzie im to na zdrowie, zmądrzeją.

Wypiłem jeszcze jedną wódkę. Na dzisiaj dosyć, pomyślałem, Hanka ma rację, rozpij się. Miałem ochotę do niej zadzwonić. Wiewióreczko, powiem, to ja zabiłem lichwiarkę z Petersburga, pieniądze zdeponowałem w szwajcarskim banku, narzędzie zbrodni ukrywam pod poduszką. Telefon znajdował się w jadalni. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że wdowa po Profesorze drzemie w fotelu obok radia, nastawionego, jak zwykle, na Wolną Europę. Chwilę słuchałem komentarza. Biurokracja i drętwość hamują u nas rozwój osobowości, tłumią wszelką inicjatywę itd. Tekst wydał mi się znajomy. Jakbym już gdzie słyszał. I nagle nabrałem pewności: na pewno znałem ten tekst. Odwijał się w mojej pamięci, zdanie po zdaniu, jak zwój zatartego papyrusu. Skąd... skąd go znam? Chyba sam to kiedyś napisałem. Słuchałem z narastającym zdumieniem. Przecież to moje: To zdanie, które przebrzmiało, zaraz jakże ono tam, moja pamięć przedzieriała się przez gęstą mgłę, tak, to ja, chyba kiedyś, tak samo, kiedy to było, ale to moje słowa, moje, ta sama kolejność, przebijałem się przez mgłę. Komentator przestał mówić, spikier podał nazwisko autora, nie moje, ale ja już wiedziałem, że to taka ich gra, kiepska zmowa, ukrywają moje nazwisko, bo nie chcą mnie wkopać, ale była taka chwila w moim życiu, kiedy wyciągnęli ode mnie ten tekst, oddałem się beztrząsco na usługi wrogiej propagandy — to dręczące, że nie pamiętam kiedy — ale Kapucha wie i o to właśnie idzie.

Napisałem. Na pewno. Zobaczyłem siebie przy biurku, jak pochylony nad papierem, przy nocnej lampce, piszę w tajemnicy tekst, w którym daję upust swoim jadom. Od czasu do czasu podchodzę na palcach do drzwi, nasłuchuję czy nikt nie idzie, do nikogo nie mam zaufania, nawet do Profesorowej, której mąż padł w powstaniu 1944 roku. Byłem więc kiedyś konspiratorem, tylko o tym nie pamiętałem. Jak mogłem zapomnieć! Kiedy to było? Tego też nie pamiętałem. Pamiętam tylko, że pisałem zaciśkając gniewnie szczęki, rzucając złe błyski. Wylewałem z siebie wszystko. Zdania śmigały lekko jak baloniki. Dużo zdań, których nie mogłem uchwycić i przywoździć w pamięci. Wreszcie postawiłem słowo „koniec”. Podpisałem się — jak? Nie pamiętałem. Może imieniem?... Krzysztof?... Chyba Krzysztof. Tak, Krzysztof, stwierdziłem i ucieszyłem się, że odnalazłem to w pa-

mięci. Ale co dalej? Przecież musiałem to im jakoś przekazać. Ale jak? Jak się przekazuje takie rzeczy? Może listownie? Do znajomych za granicę...? Od śmierci ojca nie miałem nikogo za granicą. Może obcemu dyplomacie? Pojęcia nie mam. A jednak im przekazałem. Trzeba sobie przypomnieć. Zamordowałeś staruszkę, przyznaj się. Chyba jednak dyplomacie. Miał srebrne włosy i palił cygaro. Spotkaliśmy się w ogródku kawiarni Europejskiej. Położyłem kopertę z maszynopisem na krześle stojącym obok jego krzesła. Kiedy miał odejść, zabrał tę kopertę. Ja siedziałem przy sąsiednim stoliku z Beatą i jadłem lody. Widziałem teraz wszystko dokładnie: srebrnowłosego cudzoziemca, Beatę, wydłubującą rodzinę z lodów, twarz kelnerki nachylającej się nad nami z rachunkiem. Pamiętałem nawet lekkie bicie swojego serca, pamiętałem tak dobrze, że teraz wszystko to na nowo odczuwałem: ściskający gardło lęk, huczenie w skroniach. A więc to było tak, pomyślałem, jednak było, ale może oni nie wiedzą, lepiej się nie przyznawać, będę unikał Kapuchy.

Profesorowa otworzyła oczy i wykrzyknęła w popłochu:

— A, to pan! Zdrzemnąłam się, prawda?

— Ależ skąd — zaprzeczyłem. — Słuchała pani z zamkniętymi oczyma.

— Bardzo pan miły. Ale ja sobie czasem lubię zdrzemnąć.

A pan?

— Ja śnię na jawie. Można zatelefonować?

Nie zastanę jej w domu, myślałem nakręcając numer. Wszystko przeciw mnie. Ale nie, zastałem.

— Ach, książę pan! — wykrzyknęła Wiewiórka usłyszawszy mój głos. — Raczyłeś sobie przypomnieć.

— Cały czas pamiętałem. Tylko...

— Znowu jakieś kłamstwa?

— Właśnie, Wiewiórko. Kiepsko ze mną.

— To kara za to, że mnie zaniedbujesz — odparła beztrąsko.

I nagle spowaźniała. — Znowu coś?

— Sam nie wiem. Coś w rodzaju halucynacji.

— Pijesz? — spytała.

— Niewiele. Naprawdę. To te twoje stessy. Mogłabyś mnie opisać jako wypadek szczególny. Powolutku, krok za kroczkiem, zmierzam ku temu, żebyś się mną zajęła.

— Krzysiu — powiedziała. — Krzysiu, kochanie — starała się mnie przekonać. — Jesteś najnormalniejszy z normalnych. Pamiętaj, ja ci to mówię. To oni są nienormalni, rozumiesz?

— Nie mówi się takich rzeczy przez telefon — przypominałem, ja, człowiek normalny. — Ten pan, który sobie słucha, może cię źle zrozumieć. Skończmy tę rozmowę.

— Zadzwoń do ciebie.

— Nie, ja zadzwonię.

— Kiedy?

— Jak poczuję się lepiej.

Odłożyłem słuchawkę. Profesorowa powiedziała:

— Zrobię panu gorącej herbaty.

Biuro opustoszało. Prawie wszyscy udali się na naradę produkcyjną. Zostaliśmy z panią Florą we dwoje, dlaczego ona to wiadomo, pionek, co innego ja, zawsze na takie narady byłem wzywany, teraz moja nieobecność była jeszcze jedną oznaką nieufności. Siedziałem przy swoim biurku kreśląc zawzięcie kółka na folderze firmy Renault. Czy nie przekazałem Francuzom jakichś tajemnic produkcyjnych? Kapucha znajdzie u mnie sporo zagranicznej waluty. Franki, franki szwajcarskie. Leżą pod poduszką. Co z nimi robić? I kto mi je dał? Szczupły brunet w apasce na szyi. Odwiedził mnie po północy. Ja mu wręczyłem... co, na litość boską, coś wręczałem przecież. Dziura w pamięci. Musiałem gdzieś natrafić na cenną informację, za darmo burzuje pieniądze nie dają. Aż dziw, że dotychczas nic sobie za to nie kupiłem. Zapomniałem o istnieniu tego skarbu. Ale oni pamiętają i dlatego nie mogę wziąć udziału w najgłupszej naradzie. Mają rację, znowu coś wyszpieguję i sprzedam...

Przeszedłem w stronę biurka pani Flory. Stukała zawzięcie na maszynie. Muszę się bronić, pomyślałem. Nie było u mnie nigdy szczupłego bruneta po północy i nie mam ani grosza pod poduszką, niestety. Nic złego nie zrobiłem. Coś przeciwko mnie wymyślono, nie wiem dlaczego. Pani Flora wyczuła moją obecność, podniosła na mnie oczy, jej palce jeszcze przez chwilę biegały po klawiaturze maszyny. Kropka — od nowego wiersza — zgrzytnął wałek — cisza. Przypatrywała mi się.

— Kiepsko pan wygląda — powiedziała.

Miałem prawo westchnąć.

— Ciężko z tym żyć, rozumie pani.

Zrobiła zagadkowy gest prawą ręką.

— Dziwię się panu.

— Mnie?

— Dlaczego właściwie pan nie wyjeżdża...

Teraz ja się zdziwiłem.

— Wyjechać? Dokąd? Pani wie, że to nie takie proste.

— Bardzo proste. Podaje się na wyjazd i dostaje się dokument podróży. Wszyscy wasi emigrują.

Nagle zrobiło mi się wesoło. A więc oni mnie brali za Żyda! Wszyscy oni, pani Flora, Tadek Gawron, towarzysz Beńko, wszyscy — tak delikatni, tkliwi, współczujący. Kapucha to im podsunął — i uwierzyli. Można skończyć ze śmiechu. Spojrzałem w lus-

tro, które wisiało nad biurkiem pani Flory: pociągała śniada twarz, ciemne oczy, gęste brwi, orli nos... Nos! — olśniło mnie. Więc to ten nos, dziedzictwo po kapitanie Brzozowskim i po dalekich ormiańskich przodkach, ten dumny marsowy nos wydał im się semicki. Rzeczywiście, pomyślałem wciąż patrząc w lustro, jego kształt mógł wprowadzić w błąd. A to heca. Panie i panowie, żyjemy! Wszystko się wyjaśni, myślałem gorączkowo, podczas gdy pani Flora mówiła:

— Ja wiem, że to nie jest prosta decyzja, ale na pańskim miejscu nie oglądałabym się na nic. Czy pan wie, że oni i mnie wołali do kadr, żeby mi sprawdzać pochodzenie? Bo ja mam na drugie imię Regina, Flora Regina mam w metryce, i oni myśleli, że Regina to musi być Żydówka. Bardzo byli zdumieni, kiedy im powiedziałam, że to czysto polskie imię i że znaczy ono po łacinie królowę. Mają irytująco mało wiadomości, to utrudnia obcowanie z nimi. Nie mówiąc już o brakach w wychowaniu... Człowiek taki jak pan, młody, zdolny. Dziwię się, że pan znosi...

— Niestety, brak mi danych — powiedziałem wesoło.

— Jakich danych?

— Najważniejszych. Nie jestem Żydem.

— Ani trochę? — spytała nie dowierzając.

— Niestety. Sam nos to trochę za mało — mówiłem śmiejąc się. Birkenbaum, przypomniałem sobie nagle Kapuchę. Wydedukował sobie z Brzozowskiego jakiegoś Birkenbauma. Birkenbaum nie obroni ojczyzny. Zdążył mi wtedy powiedzieć, o co właściwie ze mną chodzi, tylko ja tępak nie zrozumiałem: — Wie pani, pozwoliłem się wychować w duchu internacjonalizmu i ostatecznie mogę sobie być Żydem. No, ale nie jestem. Czasami brak tego łuta szczęścia.

Zastałem Wiewiórkę w domu. Nie powiedziałem jej, o co chodzi. Tyle, że musimy iść na wódkę. Razem. I że ten wieczór będzie dla mnie.

— Czy coś oblewasz? Jakiś awans?

— Coś w tym rodzaju.

Wypiliśmy nasze wódki w bufecie Bristolu. Potem złożyliśmy wizytę mojemu stryjowi, który miał fioła na punkcie papierów rodzinnych. Kto by pomyślał, że to jeszcze będzie potrzebne. Dał mi wszystkie możliwe wyciągi i fotokopie. Wcisnąłem je dość niedbale do wewnętrznej kieszeni marynarki. Poszliśmy z Wiewiórką do kina, a potem do domu. Łaziłem potem po mieście zaczepiając pijaków i żartując z milicjantami. Nic a nic nie chciało mi się spać. Wyobrażałem sobie jutrzejszą rozmowę z Kapuchą, jak wybałusza na mnie oczy i śmiech mnie ogarniał. Zaczęło

padać, deszcz ze śniegiem, brodziłem w błocie, trzeba było w końcu wracać do domu. Ledwom przytknął głowę do poduszki, która pachniała jeszcze włosami Hanki, zapadłem w sen tak twardy, że gdyby nie budzik, spóźniłbym się do pracy. A dzisiaj nie chciałem się spóźnić. Już dawno nie mknąłem do biura z taką ochotą.

Złapałem Kapuchę jak zwykle w bufecie przy piwie.

— No? — warknął. — Znowu jakieś nerwy?

— Mam coś dla pana — powiedziałem tajemniczo.

— Co?

— Papiery jednego gościa — waliłem bez zająknięcia. — Na pewno was zainteresują.

Wychłęptał resztę piwa jednym haustem.

— Jadziem — powiedział energicznie.

Zaprowadził mnie do swojego pokoju. Na ścianie wisiało godło państwowe i kilka plakatów. Żadnych pierwszych sekretarzy, premierów i innych przejściowych figur.

— No?

Bez słowa położyłem na biurku pomięte papiery. Przeglądał je, jakby nie rozumiejąc, co mu tak cennego przyniosłem.

— Wasze? — spytał.

— Moje. Szlacheckie.

— Aha. Widzę. A ten obrazek?

— Herb.

— Herb? Ten złoty okręcik?

— Tak, Korab. Herb Brzozowskich.

— Aha.

— Ojciec kapitan, więziony w Workucie — przypomniałem.

— Wiem. Z ojcem w porządku.

— Nie Birkenbaum? — spytałem zjadliwie.

— Widzę przecież, widzę — warknął. Potem prześwidrował oczkami mój orli nos. — Nie bądź pan taki mądry. Nie o ojca chodzi.

Zesztywniałem.

— A o co?

— O matkę.

Już wiedziałem. Czekał, bracie, ale się rozczarujesz, myślałem.

— Że co? — spytałem.

— Żydówka, może nie?

— Nie.

— Po co się zapierać? Kapucha wie wszystko — mówił uśmiechając się. Żydówka czy nie, żyć dajemy, może nie? — Tak, pomyślałem, wszystko odbywa się miękko, łagodnie, przynosi się na emeryturę, pozwala im się wyjeżdżać. Rasizm z ludzkim obliczem. On mówił nadal chępiąc się wiadomościami:

— Mama Zagajska z domu?
 — Zagajska — potwierdziłem.
 — Zagajscy to Żydzi. Wajnsztajnowie, którzy się przechrzcili.
 — Zagajscy przez „jot” — wyjaśniłem spokojnie. Pozwoliłem sobie nawet powiedzieć: — Popieprzyło wam się coś w tym waszym *Rassenamcie*. Bo my jesteśmy przez „y”. Zagajscy.

— No! — warknął. — Zgadza się. W porządku. No to w porządku. Trzeba przeprosić, panie Brzozowski. Szlachta to szlachta, mieliście swoje własne grzechy, klasowe, ale to inna sprawa, sprawa inna, w porządku, nasza krew, narodowa. Pod tym względem nic nie mam, wszystko czyste.

Odetchnąłem z ulgą. Zgarnąłem papiery i chciałem wyjść, ale Kapucha prosił siadać.

— Proszę, panie kolego. Proszę o chwilę rozmowy. Powiem szczerze: nie wszystko jest u pana dobrze. My mamy na pana jeszcze inne rzeczy.

— Na przykład? — spytałem spokojnie.

— Pan wie.

— Nie wiem.

Kapucha przyglądał mi się ze współczuciem, jak małemu dziecku, które nieudolnie kłamie.

— Krytykanctwo, dla przykładu. Było? Było. Władzę pan atakował.

— Owszem, dyrektora. Dla dobra instytucji. On nie miał do mnie żalu.

— I co z tego? Kto tu pilnuje porządku? Markowski — czy mąż zaufania? Awanturników partia nie lubi. Awanturnicy wiecie nam organizowali, w teatrach klaszczą na antysocjalistycznych przedstawieniach. Źle się pan popisał, panie kolego, źle — powtarzał podsuwając papierosa. Podał mi nawet ognia. — Są i inne rzeczy, panie Brzozowski.

— Na przykład?

— Po co o wszystkim mówić? — Udawał, że mnie oszczędza. Mniejsza o fakty, wystarczy żebym zrozumiał, że on może mnie w każdej chwili zgnoić, wnioski należą do mnie. Ale ja domagałem się faktów.

— Ależ proszę bardzo — powiedziałem. — Niech się pan nie krępuje.

— Te gadki, które pan kapitan miał na Zachodzie. — Już chciałem powiedzieć, że nie odpowiadam za dorosłego ojca, kiedy on zakończył: — I kupa innych rzeczy.

— Pojęcia o nich nie mam.

— My mamy. Jak trzeba będzie, to przypomnimy. Ale można puścić w niepamięć. Kapucha na ludzi nie czyha. Da szansę. Trzeba nam pomóc tego Żyda wykończyć.

— Którego? — spytałem czując, że błędę. Już samo to słownictwo...

— Dyrektora. — Musiałem mieć głupią minę, bo Kapucha zawołał: — Co tak na mnie patrzycie? Markowskiego!

Przyglądałem się Kapusze ze wzrastającym podziwem. To nie był ktoś, kogo można było lekceważyć. Umiął komplikować grę, umiał zonglować sprzecznymi pojęciami jak wytrawny dialektyk. Ten sam dyrektor, który przed chwilą jeszcze był przedstawicielem władzy, stawał się od razu Żydem, kiedy trzeba było go wykończyć. To było dla mnie zbyt zawile i broniąc się przed utratą zmysłów zadałem najgłupsze w świecie pytanie:

— To to Żyd?

— Żyd. Nie wiedział pan? My wiemy. Dyrektor u nas był Żyd, w takiej odpowiedzialnej firmie, która wymaga, jak to powiedział pierwszy sekretarz, afirmacji i samookreślenia. No, co się wahać? To stalinowiec, zamordysta, sam pan wie. Partia prosi pana o przysługę...

Dobrze, pomyślałem, mogą go sobie usuwać, wszystko mi jedno. Ale po co mnie w to wplątują?

— O, dziękuję, — powiedziałem. — Już raz się odezwałem. przeciwko niemu i teraz wciąż to na mnie wisi.

— Nic się nie bój. Kapucha wszystko kryje.

— To może pan się powołać na tamto moje wystąpienie — poradziłem. — Zaatakowałem Markowskiego za brak kompetencji i za niedocenianie.

— Kompetencja, niedocenianie — złościł się Kapucha. — Nie o to idzie. Partia żąda czegoś radykalnego.

— Zażądajcie, żeby ustąpił! — podpowiedziałem. — Jak pan mówi, że to stalinowiec, to niech pan działa, jest pan przecież mężem zaufania — brnąłem. Walczyłem rozpaczliwie przeciw wciąganiu mnie w tę historię, ale czułem, że nie tak, jak należy. — Zdjąć ze stanowiska i nie ma go!

Kapucha stanął za moim krzesłem i ścisnął mi ramię.

— Racja, Brzozowski, święta racja. Zdjąć ze stanowiska! A za co? — Odczekał chwilę i objawił: — Za syjonizm!

— Za syjonizm? — zdziwiłem się.

— No przecież. To Żyd. A oni wszyscy za Izraelem.

— Przecież pan mówił, że to stalinowiec!

— Ale syjonista. Stalinowiec-syjonista, jasne? Będzie zebranie załogi, to pan wstanie i powie, że widział pan u niego na biurku portret Dajana. Dajana, jasne? I że on powiedział panu, że Izrael jest jego prawdziwą ojczyzną. Portret Dajana i Izrael ojczyzna. Tylko tyle. Wstanieś, powiesz swoje, siądziesz — i leci premia. A reszta należy już do nas. Wywalimy aż zagrzmi. Syjonistów wont!

— On zaprzeczy — wyjąkałem.

— W ogóle nie dostanie głosu. Wywalimy od razu. Jak ktoś jest za Dajaniem, to nie ma dla niego u nas miejsca... Zrobione? W głowie mi huczało. Żadnej myśli. Słyszałem tylko swoje „nie”, rozpaczliwe nie z głębi trzęsawiska.

— On nie ma na biurku portretu Dajana — powiedziałem.

— Ma, ma. Kapucha wie.

— Rozmawiałem z nim niedawno — ciągnąłem usiłując zebrać myśli. Był dym z fajki, przypomniałem sobie, nie lekceważyć Kapuchy, partia się nie myli. Biurko czyste. Szklana tafla.

— Nie było portretu. I nie mówiliśmy o Izraelu. I dlaczego by on miał ze mną — akurat o tym?

— No pewnie... To przecież chytra sztuka.

— Na biurku pod szkłem miał fotografię syna. — Nagle zbuntowałem się. — No, a gdyby nawet to co? U mnie na ścianie lata całe wisią portret Kennedy'ego i Brigitte Bardot. Tak mi się podobało. Nie wolno?

— Brzozowski, wy mi tu coś kręcicie! Ja postawiłem sprawę jasno. Haczyk się na was ma. Zrobicie, co wam mówię?

— Nie! — Przestraszyłem się swojego tupetu i złagodziłem: — Proszę pana, weźcie do tego kogoś innego. Ja nie potrafię.

— Potraficie doskonale. Każdy potrafi. Nauczyć się trzeba. Wy jesteście do tego w sam raz.

Ja — Raskolnikow, morderca lichwiarki, huczało mi w głowie. Ja, dobry polski szlachcic, czysty aryjczyk, ojciec więźniów Workuty, najlepszy kandydat.

— Ja naprawdę nie mogę — tłumaczyłem słabym głosem.

— Pożałujecie, Brzozowski! Uprzedzam.

Po tej groźbie wiedziałem już na pewno, że go nie usłucham.

— To szantaż — powiedziałem wstając i kierując się ku drzwiom. — Ja się poskarżę.

— Namysł się, Brzozowski — usłyszał spoza biurka. — Kapucha wybaczy.

Odwrociłem się, zobaczyłem jego roześlone oczy. Powiedziałem przez zęby:

— Przestań mnie tykać, skurwysynu. Nie pasłeś ze mną świń.

Potem długo siedziałem nad folderami paląc papierosa za papierosem. O środkach uspokajających nie myślałem. Układałem w myśli tekst zażalenia do Komitetu Dzielnicowego PZPR.

Pisałem tych kilkanaście zdań do północy. Potem długo nie mogłem zasnąć. Zrywałem się z łóżka, przeglądałem raz jeszcze tekst, kreśliłem, dopisywałem. Każde słowo musiało być na swoim miejscu. Ani jednej złośliwości za dużo. Niuanse, aluzje. Pan Kapucha jako mimowolny szkodnik naszej rzeczywistości. Ja jako

skromny jej uczestnik, który w miarę sił. Ofiara. Ale nigdy nie pozwolę. Jestem oburzony. Nie, żadnych oburzeń. Żadnego patosu. To ma być zimne, rzeczowe, nie do odparcia. Złośliwe, owszem. Znowu kreślę. Dobre.

Dwa razy zadzwonił telefon. To Wiewiórka niepokoiła się. Czy wyjaśniłem tę idiotyczną sprawę pochodzenia? Tak, wyjaśniłem. Nie miałem zamiaru opowiadać jej o szantażu, szczególnie przez telefon. Czułem się tym wszystkim nazbyt upokorzony. Jeśli można mi takie rzeczy proponować, to znaczy, że mają mnie za łajno. Dobranoc, Wiewiórko, mam pilną robotę, bądź spokojna, wszystko jest okej. To ładnie, że się interesuje, pomyślałem.

Drugi telefon też był od Wiewiórki. Przyszło jej na myśl, że może niepotrzebnie zaprzeczałem, że jestem Żydem. Dlaczego? — spytałem. Ach, nie wiem sama, po prostu stawałeś się bardziej interesujący. Jednak trzaśnięta, pomyślałem. Dla mnie to byłoby interesujące, mówiła, egzotyczne, taki dreszczyk, chętnie bym całowała twoje ciało żydowskiego proroka. Skończysz jako antysemitka, przepowiedziałem jej. Oburzyła się: Co? Co? Oszalałeś chyba! Wiewiórko, tłumaczyłem, mam pilną robotę, naprawdę. Poskarżyła się, że w ogóle o niej nie pamiętam. Kiedyśmy ze sobą zaczęli, nie spodziewałem się, że to będzie na długo.

Nazajutrz wręczyłem swoje pismo Julkowi Beńce, sekretarzowi podstawowej organizacji partyjnej.

— Co to jest? — spytał podejrzliwie.

— Przeczytaj zobaczysz. Pisałem całą noc.

— Widać, że nie spałeś. Myślałem, że jesteś na kacu. Po co to wszystko? — spytał przeczytawszy. Widziałem, że jest zakłopotany.

— Chciałem, żebyście wiedzieli. Żebyście poznali metody. W końcu idzie nie tylko o mnie, ale jeszcze i o dyrektora.

— Dałeś mi dwa egzemplarze — zauważył Beńko.

— Ten drugi dla Dzielnicy.

— Dobrze się wybrał. — Po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszałem z ust Beńki coś w rodzaju śmiechu. — Jeśli Kapucha coś robi, to znaczy, że Dzielnica tego chce. — Zwrócił mi oba egzemplarze. — Jak chcesz, to sam wyślij, ja się do tego wtrącać nie będę.

— Julek — powiedziałem. — On mnie szantażował.

— Jeszcze nic się nie stało.

— Ale jeśli się stanie... Chodzi o to, żebyście wiedzieli, że on mi coś szykuje.

Milczał. Jezu, jak mi go było żal, tłumoka.

— Dobrze, schowam jeden egzemplarz — poddał się wreszcie.

— Powiedz, dlaczego z dyrektora chcą zrobić syjonistę?

Odpowiedział zniższy głos:

— Widocznie ma plecy, zwyczajnie usunąć nie można. A syjonisty nikt bronić się nie ośmielił, nawet sam najwyższy.

— Żal mi cię — powiedziałem. — Po co w tym siedzisz?

Rzucił mi gniewne spojrzenie. Zdaje się, że dotknąłem czułego punktu.

— Mogę się wycofać. Ale co to da? Mianują kogoś innego. Zgnoją nas wszystkich. To już lepiej, żebym był ja.

Ten nie mówi nawet „partia się nie myli”, pomyślałem. Cóż, inne pokolenie.

Kapucha po staremu złapał piwo w bufecie. Jak gdyby nigdy nic. Nawet zamrugał do mnie przyjaźnie:

— Jak, Brzozowszczyk, namyślił się pan?

Myslałem, że jest obrażony na mnie za tego „skurwysyna”, a on nic, nie ma zwyczaju obrażać się. Kudłata Hala z bufetu traktuje go jak byle kogo, z wyraźną pogardą, jego, taką władzę, a jego to wcale nie uraża. Myślę, że sam siebie szacuje zbyt nisko, by mógł domagać się poważania i chociaż trzęsie całym przedsiębiorstwem, wie, że jest łobuzem i lumpem, i jedyne, na czym mu zależy, to żeby uważali go za spryciarza i się bali.

— Brzozowszczyk — powiedział. Dziś po robocie zebranie. Wstaniez i powiesz, co było umówione.

— Nie ja — powiedziałem.

— Korona z głowy spadnie?

— Powinien pan wziąć do tego kogoś partyjnego — poradziłem. — Powinniście sami załatwiać swoje sprawy, bez postronnych.

Patrzył na mnie jak na obłąkanego. Może nie zrozumiał sensu tego, co mu wygarnąłem? Och, na pewno nie. Mówię zbyt aluzyjnie. Muszę jednak być ostrożny. Dbam teraz tylko o jedno: właśnie, żeby korona z głowy nie spadła. Mój ojciec, którego prawie nie znałem, byłby ze mnie zadowolony. Synu, moja krew — poklepałby mnie po ramieniu. A może nie, może siedziałby w prezydiach razem z tymi, którzy szczują Kapuchów na jego syna i uchwałal rezolucje ziejące jadem i plwociną. Wstrząsnęło mną na samą myśl. Wolałem teraz, że ojca nie było w kraju i wolałem nawet, że nie żył. Dojrzywałem w szybkim tempie, rosłem jak na drożdżach. Już nie zazdrościłem tamtemu pokoleniu, że miało za sobą Hitlera, wojnę, okupację, konspirację, powstania, stalinizm. Ja też miałem swoją wojnę.

— Trzeba było nie prostować i złożyć papiery na wyjazd — powiedziała mi pani Flora Regina, kiedy zostaliśmy sami. — Podobno białe małżeństwo z Żydem kosztuje dziś pięćdziesiąt tysięcy złotych.

— Nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać — powiedziałem.

Nie lubiłem czegoś dzisiaj tej pani, chociaż wiedziałem, że życzy mi dobrze. Żydzi — pomyślałem — nigdy nie zastanawiałem się nad ich losem. Nawet w okresie kampanii anty-syjonistycznej. Siedziałem wówczas przy telewizorze czekając, kiedy ujadanie się skończy i zacznie się kino albo kabaret. Wychodziło mi to gadanie przez drugie ucho. Zawsze się tu na kogoś ujada, to należy do rytuału, o niczym nie informuje się po ludzku, zawsze ktoś jest nasz i wtedy patriota i ktoś jest ich i wtedy pirat i agresor. Miałem wrażenie, że nikt nie powinien się tym przejmować, i sami Żydzi też. Naprawdę dotkliwie w tej sytuacji wydawało mi się to, że trzeba było milczeć, głos miał tylko on, ten pan zza szyby telewizora, a my wszyscy, całe trzydzieści dwa miliony, byliśmy odbiorcami, nie wolno było zaprzeczyć, można było tylko się wyłączyć. Ja się wyłączałem. Dopiero teraz nagle mnie włączono. Myśl, bo zginiesz!

— Pan zapomina — powiedziała — że w tym kraju nic już nie może być tak, jak my chcemy. Pan wie przecież kto tu naprawdę rządzi — dodała znacząco i zamilkła.

Nadal jej nie lubiłem. Chciałem, żeby mój upór miał sens — pani Flora mu tego odmawiała. Kompletna nihilistka. Nic nie warto robić, i tak pójdzie się na dno. Upieram się, żeby nie oskarżać jakiegось niezbyt miłego mi faceta i narażam się na nieprzyjemności — właściwie dlaczego? Nie umiałbym wytłumaczyć, gdyby mnie nagle wyrwano do odpowiedzi, chociaż kiedy indziej, w chwilach namysłu, wiedziałem. Poszedłem na to zebranie, mimo wszystko. Przekonam się co i jak.

Dyrektor siedział w prezydium obok Kapuchy. Nikt go nie atakował. Kapucha odszukał mnie wzrokiem i dawał znaki, żeby zacząć. Udawałem, że tego nie dostrzegam. Wystarczyło mi tylko wyobrazić sobie, jak wstaje, proszę o głos i zaczynam mówić o tym Dajanie, i już pot mnie oblewał i serce zamierało. Cała sala gapi się na mnie, a ja wolniutko zapadam się w coś grząskiego i zimnego. Siedziałem paląc Carmena i starałem się przypomnieć sobie, jak wyglądają powieki Wiewiórki bez tuszu. Beńko na mównicy referował sytuację polityczną w naszej centrali: byliśmy zjednoczeni, z uniesieniem przyjęliśmy tezy ostatniego zjazdu partii, daliśmy odpór wrogim elementom, syjonisci nie uwili sobie u nas gniazdko. Miałem ochotę chrząknąć, wyrwać się z jakąś złośliwością, ale zaraz poczułem jak pot występuje mi na czoło, podczas gdy Julek Beńko niezmaczenie sunął drętwą mowę. Po nim wstał Kapucha i wezwał do czujności. Nie jest tak idealnie, jakby wynikało z referatu towarzysza Beńki, są i u nas wrogowie, przyczajeni co prawda, ale niech nie myślą, że uda im się knuć i podkopywać, zdemaskuje się ich i złamie bezlitośnie. Nikt nie bił braw, zupełnie jakby przemawiał zza szyby telewizora.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy Tadek Gawron w imieniu rady zakładowej rozwiązał zebranie. Udało mi się nie zhańbić, myślałem z dumą, chociaż niepokój wciąż jeszcze gdzieś tam tkwił. Żartowałem z szatniarzem panem Winnicą, kiedy podawał mi kurtkę i czapkę. Miałem rosyjską futrzaną czapkę, której wszyscy mi zazdrościli, najbardziej zaś przychepionego do niej z boku znaczka: była to czerwona gwiazda ze złotym obliczem młodego Lenina. I czapkę i znaczek przywiozła mi ze studenckiej wycieczki do Moskwy Wiewiórka. Za Lenina oferował mi kiedyś Gawron trójkolorowy długopis, ale ja tak byłem zachwycony niewinnym obliczem przyszęłego wodza, że za żadne skarby nie chciałem się z nim rozstać. Toteż rozgniewało mnie, kiedy odebrawszy z rąk pana Winnicy czapkę zauważyłem, że mój Lenin był przybrudzony, czymś czarnym, jakiś paperek przyklejony czy co. Strzepnąłem ten śmieć i mruknąłem do szatniarza: „Jakieś brudy”. Winnica machnął ręką i zaśmiał się. Dałem mu dwa złote i wziąłem od niego pięćdziesiątkę, żeby zadzwonić z automatu do Hanki. Spotkaliśmy się w „Wiklinie”.

— Ty też jesteś kawał sukinsyna. — Takim epitetem poczęstowała mnie Wiewiórka, kiedy jej opowiedziałem o perypetiach ostatnich dni. — Dlaczego to wszystko przede mną ukryłeś?

— Musiałem to jakoś sam załatwić — powiedziałem. — Wyobrażasz mnie sobie, jak gadam na zebraniu jakieś kłamstwa o portretach?

Zastanowiła się. Podniosła oczy, jakby chciała gdzieś w górze uchwycić ten obraz.

— Nie, nie wyobrażam sobie — stwierdziła. — I dlatego nie wiem, co z tobą będzie. Jedno bezwstydne kłamstwo załatwia ludziom karierę.

— Radzisz mi je? — spytałem dotknięty.

— Nic nikomu nie radzę. Sama, jak wiesz, jestem trzaśnięta Wiewiórką i nie znoszę kłamstw, tylko tyle. Nadmierny pociąg do kłamstw bywa wstępnym objawem obłądzenia. Czy oni wszyscy nie są obłąkani, tego z całą pewnością jeszcze nie wiadomo... Krzysztof, co z tobą będzie?

— Widzisz przecież, że wszystko poszło dobrze. — Zabezpieczyłem się. Wysłałem list do Dzielnicy, uprzedziłem naszego sekretarza. Niech spróbują mnie ruszyć.

Milczała. Nagle spojrzałem, że przebiera łyżeczką w cukiernicy. Tak jak ja wtedy, kiedy to się ze mną zaczęło. Wiedziałem, że coś ją trapi.

— Krzysiu, dostałam zaproszenie z Londynu — odezwała się.

— Na trzy miesiące.

— Świetnie! — wykrzyknąłem.

— Mam wyrzuty sumienia. Nie wolno mi cię teraz zostawiać...

— Nie wygłupiaj się — mówiłem. Wiedziałem, że nie jestem zupełnie szczerzy, ale innych słów w takiej sytuacji nie ma. — Przewietrzysz się, wypoczniesz. — Przypomniałem: — Jesteś wolnym człowiekiem.

— Tak myślałam. — Uśmiechnęła się do mnie bielą zębów, czerwienią warg, złoto-zielonym błyskiem oczu. — Ale okazuje się, że tak całkiem wolna to nie jestem.

Ja poprosiłem:

— Wiewiórko, po co roztaczasz te uroki? I tak jestem zdobyty. I tak jestem twój.

Szepnęła:

— Gorąco mi. Pójdziemy do ciebie?

— Koniecznie.

Zawołałem kelnerkę i zapłaciłem. Wiewiórka spytała wstając:

— Jaki on jest, ten Kapucha?

— Głupie chamidło.

— To on jest górą. Dziś jest czas ludzi głupich.

— Upraszczaś.

— Czas prymitywnych hasel. Nie trzeba wyrafinowanego intelektu, żeby krzyknąć „wszystkiemu winni Żydzi”.

Podaliśmy jej futerko. Wyszliśmy na ulicę, sypał płatkami śnieg, powietrze było mroźne, czyste, lekko się oddychało i mogło być bardzo wesoło, mogliśmy obrzucać się śnieżkami, mogliśmy wyobrazić sobie, że dzwonią sanie i rzą koniki, a my z dorożkarzem po bruderszafce śpiewamy nadwożańskie pieśni, moja Wiewiórka miała czarujący uśmiech, głos, oczy, ciało które rozpałało się w moich ramionach, mogłem być najszczęśliwszy z ludzi, a ja myślałem z rozpaczą o tym, że znowu to głupie chamidło stanie u węgłównia mojego tapczanu i będzie nam przeszkadzać.

— Krzysiu — odezwała się Wiewiórka. — Ja jednak na te trzy miesiące pojedę. Nie masz mi za złe?

— Jedź, jedź, mówiłem już.

Teraz modliłem się tylko o to, żeby nie pamiętać o tym wszystkim, kiedy oboje znajdziemy się już w moim pokoju.

Spędziłem dwa dni w domu opracowując tekst adresowany do krajów Afryki Zachodniej. Były to niezłe dwa dni, bez Kapuchy i dyrektora, bez współczucia pani Flory, a za to z niezwykle optymistycznymi wiadomościami pani Profesorowej. Pisałem, popijałem gorącą herbatę albo grzane wino, prowadziłem rozmowy telefoniczne z Wiewiórką. Tekst nie był zły, stanowczo nabierałem wprawy w pisanie pod adresata, i jako niepoprawny głupiec cieszyłem się, że odwaliłem kawałek dobrej roboty i moi szefo-

wie będą musieli mi to przyznać. Nie wiadomo dlaczego, wciąż łaknąłem ich uznania.

Nie dano mi jednak okazji do żadnych triumfów. Gdy tylko zjawiłem się w gmachu Centrali, portier powiadomił mnie, że mam pójść do kadr. Przez chwilę rozkoszowałem się nadzieją, że może idzie o to poparcie na mieszkanie. Miałem w zanadrzu taki piękny tekst! Zapukałem do drzwi z napisem „Wchodzić bez pukania”, a potem szedłem w szpalerze milczących stołów aż do tego poprzecznego, za którym siedziała ona, Personalna, trzydziestoletnia postawna, mocno wytapirowana blondyna, o której wiedzieliśmy, że jest żoną pułkownika Klińca z MSW. Skinięła mi głową i kazała mi usiąść. Pomyślałem sobie, że to nic dobrego nie wróży. Miałem rację.

— Pan Brzozowski? — spytała, chociaż znała mnie dobrze. Ktoś za mną się poruszył. Odwróciłem się i spostrzegłem, że miła buźka z grzywką na czole wpatruje się we mnie.

— Do usług — powiedziałem. Próbowałem się nawet uśmiechnąć na obie strony. Buźka zrobiła miłą minkę, Personalna nawet nie raczyła zauważyć. Zgaga.

Podążyła mi pismo na papierze naszej centrali.

— To jest zawiadomienie o rozwiązaniu stosunku służbowego. Upiętywa za trzy miesiące. Do pracy może pan nie przychodzić od zaraz.

Wszyscy dokoła milczeli, ile tam tych stołów nie było. Podniosłem wzrok na panią Klińcową: trochę jej się szyja marszczyła, a poza tym była całkiem pod nóż, kobieta-wiocha, spojrzenie wyniosłe, nie błyszczące inteligencją, ale jakoś tam swojego pułkownika skokietowała, może był zalany. Próbowałem się uśmiechnąć.

— Czy może mi pani wyjaśnić...?

— Nie mamy obowiązku. Jest zalecenie komitetu dzielnicowego.

— To znaczy pana Kapuchy — skomentowałem.

— Powtarzam: komitetu dzielnicowego.

— Towarzysz Beńko wie, że byłem szantażowany przez Kapuchę — mówiłem tracąc panowanie nad sobą. — Uprzedzałem dzielnicę! Ordynarny szantaż...

— Za te słowa odpowie pan oddzielnie — urwała i dodała: — Jeśli zechcę wyciągnąć wnioski...

Wstałem. Ktoś za mną mieszał głośno łyżeczką w szklance herbaty. Słyszałem czyjś świszczący oddech. Spokój, pomyślałem, bo niczego się nie dowiesz.

— Wiem, że jestem czarny charakter — powiedziałem uwodzicielskim barytonem. Ktoś zaśmiał się, zdaje się, że ta buźka z grzywką. — Mam strasznie dużo przestępstw na sumieniu. Ale

chciałbym wiedzieć, które z nich wykryto. Czy chodzi o tę starszkę, którą zamordowałem dla kilkuset złotych?

— Ach, to panu jest wesoło! — zgorzyla się ta pani. — Ale nam nie. Nam jest przykro. Pozbywać się zdolnego pracownika...

Skłoniłem głowę.

— Dlaczego? — spytałem patrząc jej uwodzicielsko w oczy.

— Niech pan nie czaruje. Przecież pan sprofanował Lenina — powiedziała szybko i trochę jakby ciszej.

— Lenina? Ja? — Cęgła na głowę. Lenina! Ja. Kiedy? Nagle zrozumiałem. — Ten sowiecki znaczek na czapce? Przecież to nic złego. Wielu go ma.

— Tylko że pan zrobił z niego Dajana. — Zobaczyła moje osłupienie i wyjaśniła: — Zalepił pan Leninowi oko kawałkiem czarnego papieru, żeby zrobić z niego swojego ukochanego Dajana.

— To nieprawda — powiedziałem po prostu.

— Komitet otrzymał taką informację.

— Wiem od kogo! — krzyknąłem. — Już raz mówiłem, że niejaki Kapucha...

— Proszę się uspokoić! — zdenerwowała się pani pułkownikowa. — Nie chcę słuchać pańskich oszczerstw! Dostyc pan tu sobie z nas kpił! Proszę wyjść!

Dwie panie zbliżyły się do mnie ostrożnie, jakaś inna zawołała: „Idę po portiera!”. Widocznie wyglądałem na takiego, który może rzucić się do gardła pani pułkownikowej. Stałem z zaciśniętymi pięściami i myślałem, jak ja to wszystko przedstawię Wiewiórcze. Usłyszałem za sobą ciężkie kroki pana Winnicy. Byłem więc za awanturnika! Za pijaka, który wtargnął do porządnego domu i straszy bezbronne kobiety. Pan Winnica chrząknął:

— No to chodź pan, panie Brzozowski, panie każą wyjść.

I nawet dotknął popędzając mojego ramienia. To mnie dopiero rozwścieczyło. O mało nie grzmotnąłem go w pysk. Powstrzymało mnie uparte spojrzenie dziewczyny nad Underwoodem. Odgadałem, że mam w niej sojuszniczkę, a poza tym nigdy nie wiadomo, czy nie zechcę kiedyś jej poderwać, nie wolno mi było kompromitować się karczemnymi awanturami. Trzeba było imponować spokojem.

— Idę, panie Winnica, za chwilę — odezwałem się. Głos mi drżał, kiedy zwracałem się do pani pułkownikowej: — Obiecuję pani, że poruszę niebo i ziemię.

— Dobrze, dobrze.

— Nie myślcie, że nie znajdę sobie sprawiedliwości.

— Pan grozi! — zatrzęsa się.

Tak jest, należało powiedzieć, groźbę. Izraelskim wojskiem. Zemstą Dajana. Defiladą kibucników na Placu Czerwonym.

Wszystko, co tu się działo, prosiło się o satyrę. Ci ludzie ztracili jednak poczucie humoru i gdybym coś takiego powiedział, zamarliby ze zgrozy. Obiecałem więc tylko:

— Będę się bronił.

Wycofywałem się między szpalerem milczących stołów, a Winnica dreptał za mną i pogadywał:

— Co się z niewiastami spierać, wiadomo, nerwowe, nie nadają się do odpowiedzialnej roboty, trzeba mieć na względzie...

Na korytarzu dopędziła mnie buźka z długimi rzęsami.

— Panie pan! — zawołała. — Pan zapomniał wymówienia.

Podawała mi kartkę. Podziękowałem jej, a potem staliśmy obok siebie zakłopotani. Była drobna i jak na mój gest mocno wyperfumowana. Spod pudru przebijała na jej twarzy bladość. Miałem taką teorię, że monotonia biura niszczy dziewczyny i ona, wiecznie za Underwoodem, wydawała mi się tego przykładem. Coś mi się przypomniało.

— Powinienem dostać jakieś zaświadczenie, nie? Referencję...

— Lepiej niech pan z tym zaczeka — poradziła. — Niech ostygną. Człowiek, który sprofanował Lenina... — Spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Czyli jestem załatwiony — zrozumiałem.

— Trudno... jak się chce być bohaterem! — A więc ona w to wierzyła. Westchnąłem bezsilnie, podczas gdy ona mówiła: — Informacja o tej historii z Leninem pójdzie za panem wszędzie, sam pan rozumie.

— Ja tego nie zrobiłem — powiedziałem. Chciałem, żeby chociaż ona uwierzyła, a potem może jej się uda przekonać innych. Zniżyłem głos: — To wszystko wina Kapuchy.

Pogroziła mi palcem.

— Ja wiem swoje... Pan jest taki bohater...

Pomyślałem sobie, że lepiej przerwać tę rozmowę. Nie byłem bohaterem i nadal nie chciałem nim zostać. Mimo woli jednak uśmiechnąłem się zagadkowo, widać nie chciało mi się wyprowadzać jej z błędu całkowicie.

Czapka, którą podał mi pan Winnica, miała tym razem na sobie czysty znaczek. Kretyńska intryga, pomyślałem, akurat na poziomie Kapuchy. Groteska dla maluchów. Pan Ionesco nigdy by na to nie wpadł, poniżej nosorożca ani rusz. Nam wystarczy kawałek czarnego papierka na oku Wołodi-dzieciątka. Wszystko absurdalne — łącznie z tym, że moim bożyszczem miałby być nieznany mi bliżej pan Dajan. Wykręciłem znaczek z czapki i włożyłem go do kieszeni.

W kurtce i z czapką w ręku wszedłem do pokoju, w którym do dziś miałem swoje miejsce. Podeszedłem do Julka Beńki i podałem mu swoje nowe teksty. Przyglądał mi się w milczeniu.

— Dostałem wymówienie — powiedziałem.

— Słyszałem.

— Uprzedzałem cię, że coś może zająć — przypominałem.

— Chciałbym, żebyś teraz interweniował.

Patrzył na mnie jak na rozdeptanego szczura.

— Po tym, co zrobiłeś?...

— Kiedy ja nic podobnego nie zrobiłem! Julek, przysięgam ci!

— Miałem w tej sprawie telefon z Dzielnicy. Proszę cię, zostaw mnie w spokoju. Nie znamy się.

Teraz miałem się obrazić i odejść. Tego wymaga honor domu. Ale mnie żal było moich reklamówek. Wskazałem na maszynopis.

— A co z tym będzie? Zdaje się, że udane.

Milcząc bębnił palcami po stole. Czułem, że on się męczy.

— Może wykorzystamy — powiedział wreszcie. — Słuchaj, może byś porozmawiał z kimś z rady zakładowej, to właściwa instancja...

W radzie zakładowej miał dużo do powiedzenia Tadek Gawron, z którym byliśmy na stopie przyjacielskiej. Spędziliśmy kiedyś razem wakacje, mieliśmy wtedy wspólne podboje, ja dzięki gitarze, Tadek jako gwiazda sportowa, był wysokim, różowoskórym blondynem o pięknej muskulaturze i jednym z najlepszych polskich siatkarzy. Z tego powodu często jeździł za granicę, z której przywoził ciuchy, magnetofony, tranzystory i inne pożyteczne w damskich sprawach akcesoria. Lubiłem go całkiem szczerze, bo był delikatny, uprzejmy, łatwy w obcowaniu, koleżeński. Wziąłem go na bok i poprosiłem o zwołanie rady zakładowej, żebym mógł przedstawić swoją sprawę.

— Zrobili mnie na perłowo — powiedziałem. — Mogę teraz iść tylko do badylarza zbierać truskawki. Ale sezon zacznie się dopiero za pół roku.

Gawron najpierw coś powiedział o badylarzach — że przesadzam. Potem coś o terminach zebrania rady. Potem, że oni by nawet chcieli, ale tamci nie pozwalają. Była już dyrektywa z Dzielnicy, żeby nie pozwolić mi gadać, bo oczerniam członków partii i jestem podstępny i wrogi element. Twierdzą, że należałoby wyrzucić bez trzymiesięcznego wymówienia, ale wolą okazać wielkoduszność. Co robić, co robić — wdychał czerwony na twarzy — może się opamiętają. Na razie mam milczeć. Piekielna historia z tym Dajaniem...

Powiedziałem przez zęby:

— Jeśli jestem wróg, to czemu mnie nie aresztują?

— Na razie nie ma za co.

Rozmarzyłem się:

— Trzeba by się postarać, żeby było za co.

Ścisnął gorącą dłonią moje ramię.

— Krzysiek, proszę cię, Krzysiek, bez głupstw. Zobaczysz, nie zginiesz.

Przypomniałem sobie, że kiedyś chciał ode mnie mojego Lenina. Zaproponowałem teraz, że mu go oddam. Okazało się, że jemu też już chęćka przeszła. No to będzie dla mnie, pomyślałem, na smutną pamiątkę.

Wychodząc z gmachu natknąłem się na Kapuchę. Wyszczерzył do mnie zęby i zdaje się, że nawet mrugnął porozumiewawczo okiem — nie mam pewności, bo starałem się nie patrzeć w jego stronę.

Zanim Wiewiórka przyszła na spotkanie, wypilem dwa głęb-
szce.

— Wiem, wiem — powiedziałem od razu. — Nie powinienem. Znam to wszystko na pamięć, możesz sobie oszczędzić wykładu.

Byłem podchmielony i nieprzyjemny. Całą tę historię z okiem Dajana i wymówieniem opowiedziałem jej tak, jakby to ona była temu winna, jakby to ona wywaliła mnie z pracy do spółki z Kapuchą, pułkownikową i kimś tam jeszcze. Świat był fatalnie urządzony i Hanka miała w tym swój udział. Z niepokojem oczekiwałem jej reakcji. Najbardziej bałem się, że powie: idiota jesteś, nieprzystosowany do życia, trzeba było zrobić o co prosili i miałbyś z głowy. Zamiast tego usłyszałem:

— Bujasz.

— Że co?

— Wszystko to wymyśliłeś. Częstujesz mnie jakimiś komicznymi historyjkami i chcesz, żebym w nie uwierzyła. To zbyt głupie.

— Wiewiórko, wiesz dobrze, że to prawda.

— Nie wymyśliłeś tego po pijanemu? — spytała nieufnie.

— Nie potrafiłbym — wyznałem szczerze.

— Krzysiu, zamów mi dużą wódkę.

Polskie lekarstwo. Klin klinem. Żeby raz wymyślić coś innego! Tylko co? Zrobiłem Hance kanapkę z razowego chleba z szynką i serem.

— Krzysiu — odezwała się. — Tak sobie myślę, że ja chyba z tego Londynu nie wrócę.

Myślę, że nikt tego prócz nas nie słyszał. Mimo to przestrzegłem ją:

— Uważaj.

— Właśnie dlatego. Nie chcę uważać. Chcę mówić głośno. Ty mi to wybaczysz, co? A zresztą, możesz nie wybaczać. Ja już postanowiłam.

Dobrze, że między nami nie wszystko było na serio, pomyślałem. Boże, co będzie z tym krajem...

— Co na to twoi rodzice? — spytałem.

— Jeszcze nie wiedzą. — Pomyślała i powiedziała: — Ty nic im nie mów, Krzysiu, muszę to trzymać w tajemnicy, mogą mi jeszcze przeszkodzić. Powiesz im, jak już będę po tamtej stronie. Albo nie, sama napiszę.

Jej rodzice byli dla mnie zawsze mili, choć nieco sztywni w swojej nienaganej uprzejmości, jakby wystraszeni moim młodym wiekiem. Obcy facet, zawsze więc zagadkowy, nieobliczalny, który może im porwać córkę. Ja też się ich trochę bałem, ale tego oni w ogóle nie podejrzewali. Mama żółtowośosa, krótko strzyżona sawantka z nieodstępnym papierosem w ustach, mówiła szybko, z entuzjazmem, w który wkładała sporo wysiłku, dwa epitety najczęściej powtarzające się w jej słowniku to „czarująca” i „okropne”, niewątpliwy wpływ lektur angielskich. Ojciec, szczupły, wysoki, łysawy, krótki siwy wąs, człowiek cichy, spokojny, we wszystkich sprawach domowych zdawał się na żonę. Kochali swoją zwariowaną córkę miłością dyskretną, ale fanatyczną. Teraz miała zadać im cios. Powiedziałem:

— To straszne świństwo, Wiewiórko.

— Tak, Krzysiu, jestem świnia. Ale ja już nie mogę.

— A co z twoją pracą magisterską?

— Gwizdać.

— Szkoda, dobrze się zapowiadała.

— Nie szkoda. Wszystko dym. Będę szczęśliwa, jak już nie będę musiała słuchać i czytać kłamstw. Kłamstwa mnie duszą. Nie mam czym oddychać.

Trzydzieści milionów nie wyjedzie, pomyślałem. Muszą tym jakoś oddychać. Tak, naród zostaje. Ale ile czerwonych ciałek krwi mu ubywa!

Tej nocy okazywała mi wiele czułości, w czym nie było nic oryginalnego, każda na jej miejscu by tak postąpiła, ale ja czułem wdzięczność, bo udało mi się zasnąć w jej objęciach, a inaczej kto wie, czy w ogóle bym zasnął.

Widziałem go jak wychodził z gmachu centrali. Toczył baryłkowate ciało na krótkich, wykrzywionych nogach. Pod pachą trzymał fibrową teczkę — pracownik umysłowy — mój wróg. Przypatrywałem się tym jego nogom, jak człapały po śniegu zgarniając go krzywo i mogłem się domyślić tej wilgotnej, pochylonej chałupy, w której wyrósł, na kartoflach i kiszzonej kapuście, zziębnięty, obdarty, niedożywiony. Teraz nareszcie był górą, dzięki władzy ludowej, zadowolony z siebie, ze swojego spryciarstwa, z dwóch pokoi z kuchnią, z umalowanej żony, z tego, że może

się najeść i popić piwa, nieważne że ciepłe i marne, byle dużo. Wiedział, że zawdzięcza tę sytość tylko nieoczekiwanym okolicznościom, twardym łokciom, brakowi skrępułów, wiedział, że uderzał zawsze z tyłu, podstępnie, że podstawił nogę, bił poniżej pasa i miał za idiotów tych, którzy domagali się rycerskiej walki. Truchtał swoimi krótkimi nogami kombinując, komu by tu jeszcze spletać złośliwego figla, kogo wykończyć, kogo zastraszyć. Mój marny wróg, pomyślałem. Bóg, inteligent i ironista, nie raczył dać mi wroga na miarę moich uzdolnień. Upokorzył mnie każąc zмагаć się z ciemniakiem.

A gdybym tak trzepnął go w pysk? Czemu taki Kapucha ma chodzić z nieopuchniętą gębą? Za każde świnstwo powinien mieć bliznę na twarzy. Niech wie, że to kosztuje. Kiedy nad tym medytowałem, podeszła pani Kapuchowa i małżonkowie się przywitali. Była mała, chudziutka i pomarszczona i pomyślałem sobie, że Kapucha, jak go znam, marzy o jakimś tęgim babskim cielem i może to jest dodatkowym powodem, że tak chętnie przesiaduje u pani Hali w bufecie.

Nie wiem po co zawędrowałem pod gmach Centrali. Przeglądać się jak wychodzą z pracy, obojętni, rozgadani — to mi nic nie mogło dać, żadnej wskazówki ani wroźby. Ukryty we wnętrzu domu, dbałem tylko o to, żeby mnie nie zauważono. Widok niektórych postaci wywoływał przyspieszone bicie serca, lekkie drżenie w kolanach. Wykańczam się, pomyślałem. Wiewiórka wkrótce wyjedzie. Wszystko, co dobre i piękne w tym kraju, powoli wywiewa. Czy Warszawa była kiedyś najpiękniejszym miastem świata? Przeszedłem na drugą stronę ulicy, miałem zamiar wpaść do knajpy. Sytuacja stanowczo dojrzała do dwóch głębszych. Miękkosć w kolanach ustępuje po pierwszym, po drugim nogi robią się znów ociężałe, ale w inny sposób, są rozlewniwe.

Nie wszedłem jednak do baru. Zobaczyłem samochód, a w nim na tylnym siedzeniu dyrektora Markowskiego. Wciąż jeszcze koźzystał ze służbowego samochodu, możliwe że to moja postawa go uratowała, podczas gdy ja znajdowałem się na bruku. To była krótka refleksja, za którą pośpieszyła inna: nie zgnoicie mnie, niedoczekanie! Wyobrażałem sobie pełne współczucia poszeptywanie pani Flory i Tadzka, a także triumfalny okrzyk Kapuchy: a Brzozowszczak się rozpił! Nie, nie doczekasz się, pomyślałem. Nikt nie pozna, co się ze mną dzieje. Kupiłem paczkę Carmenów. Jeszcze jest czas przejść na tańsze gatunki. Zapaliłem papierosa i naciągnąłem rękawiczki na zziębnięte dłonie. Poprawiłem szalik i futrzaną czapkę. Butów dziś nie oczyściłem, to błąd. Zaciągnąłem się kilkakrotnie i postanowiłem: wódka nie istnieje. Po chwili skorygowałem to nieco: właściwie istnieje,

ale jedynie jako radosna okazja. Żadnego zalewania robaka. Odtąd uspokaja mądrość życiowa, ironia, sceptycyzm. Przeświadczenie, że wszystko marność, z prochu powstałeś, nic nowego pod słońcem, *de omnibus dubitandum*. Aby do wiosny. Tak sobie rozmyślałem i rzeczywiście przyniosło mi to ulgę. Uśmiechnąłem się nawet do siebie, bo mój sceptycyzm zaszedł tak daleko, że podszepnął mi, że sam siebie oszukuję. Myślę, że miła buźka z personalnego, która właśnie wyszła z Centrali, skojarzyła mój uśmiech z własną osobą i dlatego do mnie podeszła.

Zapytałem, czy nie boi się spotykać ze mną pod samym gmachem.

— Myśli pan, że to niebezpieczne? — spytała zadziornie.

— Pani powinna lepiej wiedzieć — odparłem.

— No, a jeśli ja też chcę być bohaterką?

— Pani się myli, ja nie jestem żadnym bohaterem, mówiłem pani. Możliwe, że jestem tylko nienormalny.

— Pan jest całkiem na miejscu, panie kolego — powiedziała — i wszyscy są po pana stronie, tylko z tym Leninem to była dziecinada, ale pan jest młody i nawet do twarzy panu z takim chłopięcym psikusem, dawniej w ogóle by nie było o to historii, trochę śmiechu, ale teraz oni powariowali, pan wie, stracili zupełnie poczucie humoru.

Nagle zaproponowałem:

— Nie miałyby pani ochotę na wódkę?

— Z rozkoszą — powiedziała. — Zmarzłam. I chętnie sobie poplotkuje.

Poszły dwie małe wódki pod parówki z musztardą. Buźka miała na imię Lilka. Dowiedziałem się, że jest z Radomia i lubi tańczyć. Jak zechcę, to mogę zadzwonić, nawet do pracy, pójdziemy zatańczyć, ona nie pozwoli opuścić mi się na dno. Żadne dno, jeszcze po wódce — dobrze, ale ja zapłacę, panie Krzysztofie — mowy nie ma — pan ma kłopoty — słuchaj, Lilka, żadnych kłopotów, fortuna o mnie dba, mam prace zlecone. Zapłaciłem.

Kiedy wychodziliśmy, przypomniała sobie, że słyszała jak Kapucha mówił w bufecie, że szkoda mnie, bo jestem zdolny. I że on jeszcze i teraz mógłby mnie uratować, on jeden.

— Jak? — spytałem.

— Mówił, że on potrafi. Tylko ty powinienes okazać dobrą wolę.

— Jak? — powtórzyłem.

— Ja nie wiem. On mówi, że ty wiesz, tylko jesteś uparty.

Dalej szliśmy w milczeniu. Odprowadziłem ją do rogu ulicy, a potem powiedziałem:

— To do widzenia. Dziękuję za ploteczki.

— Chętnie służę.

Tylko komu, myślałem, komu służysz ploteczkami tak chętnie? Teraz należałoby jej zaproponować spotkanie. Wiewiórka wyjeżdża i nigdy nie wróci. Ale nie chciałem mieć dziewczyny, z którą musiałbym mieć się na baczności. Najpiękniejsze miasto świata, psiakrew. Powiedziałem Lilce, że jestem zajęty, te wszystkie prace zlecone... Podstawiła mi zimny policzek do pocałunku. I zaraz, korzystając z tego, że zapaliło się zielone światło, przebiegła na drugą stronę ulicy.

Dostałem od kolegów adresy dwóch instytucji, które mogłyby mnie zatrudnić. W jednym wypadku chodziło o gazetę fabryczną, w drugim — o biuletyn związkowy. I tu i tam przyjęto mnie, kiedy się zgłosiłem, z otwartymi ramionami. A potem, po kilku dniach, w jednym i drugim miejscu usłyszałem to samo: że już nieaktualne. Lilka z personalnego miała rację: szła za mną koperta z opinią syjonisty i bluźniercy i nikt mnie w sektorze uspołecznionym do pracy nie przyjmie. Może nawet ona sama, Lilka, te koperty adresowała. Postanowiłem na razie pracy nie szukać. Odczekam. Coś się musi stać.

— Nie mogę za tobą jechać do Anglii — powiedziałem przyglądając się prześwietlonym powiekom Wiewiórki. — Nie mogę, moja droga.

— Nie dadzą ci paszportu — wtrąciła rzeczowo.

— Nie tylko dlatego. Jestem polonistą, jestem niewolnikiem języka, nic innego nie umiem i nic innego nie chcę umieć. Dla mnie już na zawsze równina mazowiecka, wierzbopłaczka i kotlet schabowy w gospodzie ludowej.

— Proszę bez sentymentalizmów! Ja też jestem niewolnicą języka. Może jeszcze bardziej niż ty. Posłuchaj tylko. Odchylenia od normy przejawiają się u chorych bardzo często właśnie w sposobie wyrażania się. Trzeba mieć niezwykle czułe ucho. Co ja z tego wychwyć w angielszczyźnie?

Ucałowałem jej wilgotne złote powieki. Szepnąłem:

— Na co więc dziewczyna liczy?

— Na nic. Nie muszę być psychiatrą. Nie muszę należeć do elity. W ogóle nic nie muszę. Dostateczną ulgą będzie nie brać w tym wszystkich udziału. Nie odpowiadać za to, co się dzieje.

— Wyjdiesz za mąż? — zaryzykowałem.

— Może.

Wyszedłem do kuchni po herbatę i zimne kotlety. Profesorowa drzemała w fotelu obok radia. Kiedy wróciłem, Hanka była już w sukience i rozczesywała włosy. Jedliśmy z apetytem kotlety i parzyliśmy sobie usta herbatą. Wyjdzie za mąż, pomyślałem, to się na pewno uda, one zawsze mają wyjście, otoczą się dziećmi,

odnajdą w tym nową treść życia, a może i swoje najprawdziwsze powołanie. Kto wie, czy Wiewiórka, razem ze swoją psychiatrią, nie jest w gruncie rzeczy stworzona do tego, żeby rodzić i odchowywać. Jej mąż... Będzie mu grała palcem na nosie, będzie wybuchła nieoczekiwanym śmiechem, trzaśnięta, to znów łyzy pojawią się w jej zielonych oczach, a ten obcojęzyczny mąż będzie je obcałowywał. Widocznie Hanka rozmyślała o tym samym, bo odezwała się:

— Nie musi być amantem.

— Kto?

— Pan mąż. Ma być tylko dobrze wychowany. Uśmiechnięty i czuły. Ja będę najlepszą z żon.

— Wierzę.

— Nauczę się nawet gotować.

— Co będzie ze mną? — spytałem.

Podniosła oczy, teraz ciemne w słabym świetle dalekiej nocy lampki.

— Weźmiesz sobie dziewczynę.

Pomyślałem, że buźka z personalnego bardzo się mną interesuje, ale mimo to powiedziałem:

— Kto mnie teraz zechce? Bez forszy, bez pracy?

— Och, na pewno się jakaś znajdzie. Przecież masz gitarę!

— Wstała, zawędrowała za moje krzesło i otoczyła mnie ramionami. — Krzysiu, nie będziesz się na mnie gniewał? — pytała tuląc pachnący policzek do mojej szyi. — Powiedz, że rozumiesz i że nie masz żalu. Nie masz, prawda?

Najgorsze są takie bezpośrednie pytania. Jak szybkie uderzenia. Nie można się od nich wykręcić. Rozumiałem ją dobrze. Uciekała od naszych problemów i od naszej rozterki. Była po mojej stronie, naturalnie, ale nie miała sił być ze mną. A może, w zarozumiałości swojej, uważała, że jej wyjazd jest też jakąś formą działania, może sądziła szalona, że usuwając siebie wyjmuje jakąś cegiełkę ze ścian gmachu i że dzięki temu cała konstrukcja się w końcu zawali? Ja takich złudzeń nie miałem. Byłem samotnym szermierzem sprawy, w której zwycięstwo nie wierzyłem. Walczyłem bez nadziei i tylko po to, żeby nie być śmiesznym.

— Mam — powiedziałem całując dłonie, które dotykały moich warg. — Ale moje rozżalenie nie powinno wpływać na twoją decyzję.

Zawsze, kiedy Hanka zbiera się do domu, robię się gadatliwy, teraz też.

— Ten Kapucha — mówiłem. — Nie wiem, czy zauważyłaś, że oni są w gruncie rzeczy osamotnieni. Nikt spoza ich kręgu nie myśli tak jak oni. Nawet dawni antysemita słuchają wystąpień Kapuchów z zażenowaniem i o całej tej propagandzie nienawiści

myślą z zawstyżeniem. Nikt też, prócz płatnych agentów, nie pędzi do Kapuchy z donosami.

— A jednak rządzi — mruknęła.

— Tak, rządzi, bo nie wszystko zależy od nas. I świadomość tego wzmacnia nasz bezwład i strach. Brak nam wiary w to, że cokolwiek można zmienić. Wszystko zdążyło się już skompromitować: postęp, socjalizm, prawa człowieka, walkę z ludobójstwem. Męczeństwo tamtej wojny poszło na marne i na olbrzymim cmentarzu sześciu milionów ryją groby nowe hieny szukając resztek złotych zębów i pierścionków. I żeby nas pognębić do końca nazywa się to patriotyzmem, a my musimy oblewać się rumieńcem wstydu za tych szmalcowników. Czy postęp istnieje? Czy ta bestia ludzka, którą najłatwiej pobudzić do mordu i nienawiści, kiedykolwiek zmądrzeje? Człowiek leci w kosmos, ale kiedy stamtąd wraca, nie wydaje się bynajmniej natchniony, sady na Placu Czerwonym tę samą drętwą mowę, co każdy aparatczyk. Nie wierzymy już nad Wisłą w nic — i wszystko, co u narodów górętszej krwi budzi wciąż jeszcze młody entuzjazm, u nas kwitowane jest ironicznym uśmiechem. My, starzy wyjadacze, wiemy dobrze, że wszystkie rewolucyjne przemiany prowadzą do jednego finału: rządów Kapuchy. Do triumfu aparatu Berii. Wielu rzeczy nie mogę im wybaczyć, ale najbardziej tego, że przez nich stają się czarnym reakcjonistą. Nie potrafię współczuć z młodzieżą, która demonstruje przeciw wojnie w Wietnamie, bo wiem, że jej zapał bezczelnie wykorzystują rządzące oprychy. A zresztą, nie widzę u tej młodzieży podobnego zapału w mojej obronie. Mam nadzieję, że ty przynajmniej w tym twoim Londynie nie będziesz się mieszać do tych spraw.

— Kto wie. — Uśmiechnęła się i dała mi prztyczka w nos. Trzaśnięta.

Pod bramą swojego domu powiedziała:

— Wiesz, wyznałam w końcu rodzicom, że nie mam zamiaru wracać. Jak widzisz, nie wytrzymałam nerwowo. Obeszło się bez spazmów. Mama spisała sobie na kartce wszystko, co mam koniecznie zabrać. Kupiła mi nowe ręczniki i prześcieradła. Dobrze zrobiłam, prawda?

Przyznałem, że dobrze. Kamień spadł mi z serca, ale tego już Hance nie powiedziałem, bo pomyślałaby, że przesadzam.

— Krzysiu... ale ty do nich czasem zajrzysz, co? — poprosiła. — Oni będą bardzo samotni. A ciebie tak lubią. Wciąż pytają, jak ci się układają sprawy.

Obiecałem, że czasem zajdę. Dopóki nie będę miał innej dziewczyny, pomyślałem. Potem to już nie będzie wypadało.

Zauważyłem u siebie nowe zamiłowanie: lubię podpalać pa-

piery. Właśnie podpalać, a nie palić. Układam je w popielnicze, a potem podpalam z kilku stron. Ten krótki moment, kiedy zajmują się ogniem, jest najbardziej podniecający. Dalej to już nie jest takie ciekawe, papier przepala się na popiół, a ja się nawet nie przyglądam. Żeby móc śmiało oddawać się temu zajęciu, kupiłem żelazną popielnicę, bo tamta szklana pękła od rozżarzenia. Muszę to robić ostrożnie, najlepiej kiedy Profesorowej nie ma w domu, moja nowa namiętność budzi u niej zrozumiałą niepokoj. Boi się, że zajmą się firanki i mieszkanie spłonie. Po każdym seansie pirotechnicznym wietrzę mieszkanie, a popiół wysypuję do ubikacji ukradkiem, kiedy stara śpi lub szoruje się w łazience.

Zadzwoił Tadek Gawron. Proponuje wspólny wypad na czyjeś tam imieniny. Jakaś Małgorzata. Będzie magnetofon i trochę niewiast. Ja powinienem przyholować swoją gitarę. Nie wiadomo dlaczego wymówiłem się od tych imienin. Naprawdę nie wiem dlaczego. Gitary, magnetofon, chichoty dziewcząt, dowcipkowanie — nagle to wszystko wydało mi się nie do zniesienia. Zestarałem się wyraźnie w ciągu ostatnich trzech miesięcy, gitary nie tknąłem ani razu. Wydało mi się, że moja odmowa bardzo Tadka zmartwiła. Zapytał, co u mnie tak w ogóle. Nic, czekam. Nie pracujesz? Nie pracuję. Obiecał, że jeszcze zadzwoni. Proszę cię bardzo, powiedziałem, ale raczej obojętnie, zdawkowo.

Kapucha śnił mi się nie jeden raz, ale po raz pierwszy tak, że nie wrzeszczałem na niego i nie groziłem mu. Byłem małym chłopcem, a pan Kapucha był moim nauczycielem. I lał mnie pałą przez tyłek. „Ja zrobię z ciebie człowieka!” Byłem mały, słaby, bezbronny, płakałem rzewnie w poczuciu winy i łykając łzy na coś tam jednak nie chciałem się zgodzić, pewnie nie chciałem być tym człowiekiem, którego Kapucha chciał ze mnie wykrzesać. Zły byłem potem na siebie o ten płacz we śnie, o całą tę ilość żalu wylaną z powodu jakiegoś Kapuchy. Ten sen mnie upokorzył. Kiedy się obudziłem, pomyślałem najpierw o tym, że podpale papierki, a dopiero potem o zapaleniu papierosa. Przyglądając się słabiutkim złotym płomykom przez chwilę o niczym nie myślałem, jestem tego pewny.

Ostatnie spotkanie z Hanką. Piliśmy czekoladę.

— Kiedy wrócisz — powiedziałem — urzniemy się, Wiewiórko. Razem.

Takie gadanie dla ozdobienia sytuacji. Ciężko było.

Na dworcu powiedziała mi:

— Krzysiu, jak tylko twój Kapucha wyleci na bruk, natych-

miast depeszuj. Jeśli do tego czasu wszystkie mosty nie będą spalone — wróć.

— Innych życzeń nie masz? — spytałem bez uśmiechu.

— Mam. Sąd nad kilkunastu łajdakami.

Powiedziałem:

— Nigdy się nie zobaczymy, dziewczyno, za dużo żądasz. Nikt z mojego powodu nie podpali Europy.

Na dworcu rodzice Wiewiórki popłakali się. Siwy pan nie odrywał chusteczki od oczu. Matka-sawantka przypominała Hance jednym tchem o wszystkim, co zapakowała do siatki na drogę. Ja stałem z boku, nie wypadało pchać się do przodu, ja byłem kimś dalekim. Kiedy pociąg ruszył, Wiewiórka zawołała:

— Krzysiek, przystać ci kilka numerów *Playboy'a*?

Trzaśnięta. Trzaśnięta. Pociąg ją unosił, wymalowaną jak do ślubnej fotografii. Powinienem jej być powiedzieć, że jej oczy wyglądają lepiej bez tuszu na powiekach. Nigdy nie umiałem się zdobyć na tę uwagę. A teraz to już właściwie wszystko jedno.

Lilka z personalnego nie dzwoniła, nie kwapiła się z zajęciem miejsca po Wiewiórcie i zacząłem myśleć, że może jednak wyczuła w moim stosunku do niej jakąś rezerwę, podejrzenia, które dotknęły ją, bo były krzywdzące. Trochę mnie to dręczyło, nie przejawiałem jednak żadnej inicjatywy, nie próbowałem jej przeprosić, nie miałem żadnej pewności i obawiałem się, że nigdy już nie będę nic o niej wiedział na pewno. Znowu zadzwonił nasz znakomity siatkarz, Tadek Gawron. Zapytał, czy może do mnie przyjść. Jego głos brzmiał nienaturalnie. Zdziwiła mnie też trochę ta delikatność, nigdy między nami nie było podobnej ceremonialności, wpadał bez uprzedzenia i nawet Wiewiórka nie miała mu tego za złe. Coś się z nim stało pomyślałem.

Jego wygląd potwierdził moje obawy. Był błądy i czymś jakby strwożony. Ciekawiło mnie, co to jest, ale nie naciskałem. Sam się wygada. Miętosił między wargami papierosa, podałem mu ogień, a potem obaj przyglądaliśmy się niezdarным płomykom wychylającym się spomiędzy skrawków papieru w popielnicze. Tadek zapytał:

— Hanka wyjechała?

Pomyślałem sobie, że on nie musi wszystkiego wiedzieć i zastrzegłem się:

— Na trzy miesiące.

— Ja ci mówię, że ona nie wróci — powiedział.

— Jej sprawa — mruknąłem.

— Nie wróci — powtórzył. — I wcale jej się nie dziwię.

Postanowiłem nie zabierać głosu. To okropne, ale nie można już nikomu wierzyć. Tadek zapytał współczująco:

— Przeżywasz?

— Jakaś dziewczyna się znajdzie — powiedziałem. Nie mogłem oprzeć się zwierzeniu. — Ale Wiewiórka była dla mnie w sam raz. Przyzwyczailiśmy się do siebie.

Płomień w popielnicze zgasł, czarny, cienki jak tiul popiół powoli się rozsypywał, kilka lekkich płatków uniosło się nad stołem od poddmuchu naszych oddechów.

— Krzysiek, nie wiem jak ci to powiedzieć — odezwał się mój kolega. — Ale muszę ci to powiedzieć. Nie mogę z tym żyć. Od kilku tygodni nie śpiam. Jestem bez formy.

— Wyglądasz nędznie — przyznałem.

— Możesz mnie zbić, nie będę się bronił. To ja zrobiłem ci ten kawał z okiem Lenina.

Siedziałem nieruchomo. Myślałem: kawał. Boże mój, on to nazywa kawałem!

— On mnie zaszantażował! — spowiadał się Gawron. — Groził, że nigdy już nie pojedę z drużyną. Groził... wciąż groził. — Chwycił mnie za rękę. — Ale nie wiedziałem, że oni zrobią z tego aż taką historię. Krzysiek, wierz mi! Myślałem, że będzie trochę śmiechu i to wszystko. Wierz mi, Krzysiek.

Ale potem, kiedy mnie wykopano, milczał. Nie miałem jednak zamiaru go uderzyć. Pierwszy raz miałem przed sobą człowieka, który utracił sen dlatego, że zrobił komuś świństwo. I który przyszedł to świństwo wyznać. Sam, nie proszony i nie podejrzewany. Pomyślałem, że będzie można z tej okazji wypić kieliszek. Spytałem:

— Byli jacyś świadkowie?

— Portier widział jak przyklejałem.

— Opisz wszystko, jak było! — zażądałem.

— Teraz? — spytał.

— Tak, teraz. Nie ma na co czekać.

Rzucił się w to pisanie po desperacku, jak samobójca z mostu do rzeki. Podczas gdy on pisał, gryząc wargi, sapiąc i kreśląc, ja układałem w myśli list do Hanksi: Wiewióreczko moja śliczna, Kapucha wpadł, wielki sąd w drodze...

Tekst Tadeka był trochę patetyczny, nieporadny i wykwinny zarazem, trochę było za dużo oburzenia, a za mało zjadliwości. Nie szkodzi. W taksówce, którą pojechaliliśmy do naszej centrali, układałem w dalszym ciągu swój zwycięski list: pobaw się tam trochę jeszcze, obejrzyj „Hair”, wycygań jakieś pieniądze na kapelusze i botki i wracaj do twojej porzuconej pracy magisterskiej, do stęsknionych dzieci alkoholików, do... trzy kropki, podpis.

Portier w pierwszej chwili się przeraził, kiedy Tadek zażądał od niego, żeby poświadczył, że widział jak zalepiano Leninowi oko.

— Niech się pan nie boi — namawialiśmy. — Kapucha teraz wyleci na zbity łeb.

— Mówisz pan? — nie wierzył Winnica.

— Przysięgam! — zawołał Gawron.

— Dobrze mu tak. — Portier nagle się rozpromienił. — Wiecie, panowie, co to za złodziej? Procent bierze od premii, które ludzie dostają. Mówi, że załatwi wyższą i sobie bierze część. Ode mnie też wziął. Wypisali tysiąc złotych, a czterysta zabrał Kapucha.

Spisałem to wszystko, co powiedział portier i dałem mu do podpisania. Z gotowymi zeznaniami poszliśmy do Beñki. Zobaczywszy mnie nachmurzył się, a po przeczytaniu oświadczeń, Tadka i portiera też się nie rozpromienił. Siedział zamyślony.

— Małe dzieci jesteście — powiedział. — Dzielnica będzie się teraz starała ukrećić łeb całej sprawie. Przecież to oni chcieli wykończyć Markowskiego, im potrzebny był dyrektor syjonista, żeby wszystko pasowało do tezy. No dobrze, zostawcie to. Będę musiał działać ostrożnie. Zawiadomię dyrektora i radę zakładową. — Pomachał naszymi zeznaniami. — Pewnie, że to jest mocny dokument. Trochę dla nich za mocny.

Ja układałem w myśli następny list do Wiewiórki: moje sprawy rozwijają się dobrze, Kapucha trochę mi słałuje, przyjeżdż go doglądać, zanim będzie za późno...

Rada zakładowa została zasypana skargami na Kapuchę. Nagle przestano się go bać i ludziom otworzyły się usta. Zebrała się rada zakładowa na posiedzenie, podczas którego miano uchwalić usunięcie Kapuchy z pracy i przyjęcie z powrotem mnie.

W ten sposób naprawa Rzeczypospolitej zaczęłaby się od naszej Centrali, o czym mógłbym z triumfem donieść Hance. Ale takiego listu nie udało mi się napisać. Zanim zebrała się rada, Kapucha już został przeniesiony i nie pozwolono ruszyć jego sprawy. Był pod ochroną, przygarnął go komitet dzielnicowy, ten sam, który zaaranżował u nas syjonistyczną rozróbę wokół dyrektora. Kiedy na radzie mówiono o tym, że Kapucha to łapownik i szantażysta, przedstawiciel Dzielniccy odpowiedział: „Tak, może — ale to żarliwy towarzysz”.

Z dyrektorem inaczej się załatwiono. Sekretarz dzielnicy zawezwał go do siebie i poprosił, żeby, dla dobra partii, sam podał się do dymisji. I ten stary dureń to zrobił. Chciał oszczędzić partii ostatecznej kompromitacji. Nie ma dyrektora, to nie ma oka Dajana.

— Kto przychodzi na jego miejsce? — spytałem Tadka.

— Wiadomo kto. Jakiś tajniak.

Kraj wydany szpicłom na łup, pomyślałem. Tajniacy są dzieka-

nami, redaktorami, ambasadorami, tajniak kieruje szkolnictwem, tajniak pisze piosenki i tajniak jeździ na spotkania z zachodnimi komunistami rozprawiać na tematy ideologiczne. Boże mój, co z nami zrobili.

— A co ze mną? — spytałem.

— Ciebie też nie ma. Dostaniesz skierowanie do innej Centrali. Nie jesteś zadowolony?

— Nie — odpowiedziałem.

Wiewiórka miała rację. Nie mogłem jej donieść nic optymistycznego. Tyle, że będę miał pracę. To już coś. Kapucha się pośliznął i chociaż dostał kopniaka w górę, ale ja swoje zadośćuczynienie mam. Napisałem w tym sensie list do Londynu: będę jakoś żyć, nie wiem jak, ale udało mi się uratować godność. Zaadresowałem list i wrzuciłem go do skrzynki. Strasznie byłem dumny z tej uratowanej godności i pomyślałem, że właściwie jest nareszcie pretekst, żeby wypić jednego, nie więcej. Wszedłem do „Bistro”, popatrzyłem na facetów zataczających się przy ladzie i powiedziałem sobie: nie, wycofuję się. Wtedy jeden z tych facetów odwrócił się, czknął — i nagle miałem przed sobą Kapuchę. Pot wystąpił mi na czoło. Nie dam się, pomyślałem, rąbnę go. Skopię jak psa.

— Brzozowszcak! — wołał Kapucha. — Magister! Cześć, chwała. Kopę lat! Napijemy się po jednym?

— Nie... nie mogę... — broniłem się rozpaczliwie.

— Stój! — Kapucha złapał mnie za rękaw. — Stój, nieładnie. Nie zostawia się starego kumpla. Dwa jarzębiaczki proszę! Zagryziemy? Napijemy się, Brzozowszcak, napijemy, wódka nam się należy. Przecież my dwa stare towarzysze broni. Przecież my razem... Gdyby nie my... — bełkotał. — Stasiak nie zapomina! Zawsze mówiłem: szkoda tego Brzozowskiego, zdolny, inteligentny. Porządny człowiek. Nic, wybiesz się. Nic się nie bój. Stasiak Kapucha pomoże. Kapucha teraz figura, w Dzielnicy zasiaduje, wiesz chyba. W razie czego — zadzwonisz, Stasiak załatwi. Na Kapuchę można liczyć. Znasz mnie? Znasz? No to ja mówię, że ty mnie nie znasz. Jaki ja człowiek jestem... Znasz? — dopytywał się uporczywie. — Nie znasz. No to co, po koleżeńsku. Twoje zdrowie, Brzozowszcak.

Ginałem od kwaśnego zapachu rozkładającego się alkoholu, który zbliżał się, narastał, aż wreszcie owionął mnie i oszołomił, kiedy znalazłem się w centrum sfermentowanej trąby powietrznej. Poczułem na swoim policzku grube mokre wargi Kapuchy, słyszałem cmoknięcia, strugi obcej śliny ściekały po mojej twarzy, czułem że moje spieczone wargi zderzają się z jego skronią gdzieś w pobliżu zażawionych oczu. Nie mogłem się wyrwać z potężnych ramion Kapuchy i nie mogłem uciec jego pocałunkom. Wy-

szedłem z baru upokorzony, przejęty wstrętem do siebie i świata, a wszystko to działo się w mieście, które już dawno przestało być najpiękniejsze. Idąc wycierałem policzek chusteczką, ale nic nie pomagało, ślina po pocałunkach Kapuchy wzała się już pod skórę twarzy i sączyła się z niej, bezustannie, ciepła i lepka, jak ropiejąca rana.

KORAB

Warszawa, 1970

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 199 — TOMASZ STALIŃSKI

CIEŃ W PIECZARZE

Nowa powieść autora książki „Widziane z góry”, tematem której jest inteligencja polska w kraju.

Str. 368

Cena F. 30 (dol. 6,00; £ 2,5)



TOM 200 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

Zawiera m.in.: Charles de Gaulle — *Bitwa o Wisłę; Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę; gen. Sztienienko — Powstanie Warszawskie.* ◆ PAMIĘCI HELENY RADLIŃSKIEJ — *Wspomnienia M. Czapskiej, K. Bagińskiego, W. Pełczyńskiej J. Hoffmana, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej.* ◆ POLEMIKI — KSIĄŻKI — LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4; £ 1,5)

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

Kapitołińskie gęsi i flamandzkie krowy

Pewnej nocy, 390 lat przed naszą erą, gęsi zamknięte na Kapitolu narobiły wrzasku, obudziły konsula Manliusa i udaremniły wycieczkę Gallów, nie mających, jak wiemy z historii antycznej, zbyt przyjaznych zamiarów wobec imperialistów z Rzymu.

2.361 lat później, to znaczy w roku pańskim 1971, zwierzęta zamierzały ponownie odegrać istotną rolę w historii. W lutym br. trzy krowy zjawiły się mianowicie na Brukselskiej sali obrad ministrów rolnictwa sześciu państw Wspólnego Rynku. Przybyły one tam w towarzystwie ok. 50 młodych rolników, aby przedzić Brukselę o niebezpieczeństwie zagrażającym jej ze strony chłopów, nie żywiących dla władz rolniczej Europy bardziej przyjaznych uczuć niż Gallowie dla Rzymu.

Jak wiemy z historii, już nie antycznej a współczesnej, flamandzkim krowom nie udało się wznieść na wyżyny kapitołińskich gęsi, chociaż dokonały one ogromnie akrobatycznego wyczynu, wspinając się po reprezentacyjnych schodach aż na trzecie piętro Pałacu Kongresów w Brukseli. Fiasko krowiej interwencji należy, być może, przypisać odmienności zastosowanych środków. Miejsce przejmującego gęgania zajęło mianowicie monotonne „muu”, a pewne rzeczowe dowody obecności jakie trzy szalenie zdenerwowane i przejęte historyczną misją krasule pozostawiły w charakterze „memento” na posadzce sali obrad oraz na marmurowych schodach, szybko znikły dzięki natychmiastowej interwencji fachowego personelu oraz gruntownemu przewietrzeniu dostojnych komnat.

Piszę o fiasku, albowiem po gęsiej interwencji Rzym się jeszcze jakiś czas trzymał, natomiast Bruksela padła po kilku tygodniach. Do pozytywnych następstw krowiej wizyty należy zaliczyć fakt, iż wielu specjalistów rolnych Wspólnego Rynku przy tej

okazji zobaczyło nareszcie, z bliska i na żywo, te pożyteczne zwierzęta. Do negatywnych zaś — że 100.000 właścicieli krów najechało Brukselę i to tak skutecznie, że do dziś jeszcze straszy się tu dzieci „czarnym wtorkiem”.

Łatwiej powiedzieć...

Ale po kolei. Zaczęło się od uroczystego aktu, kiedy to w dniu 25 marca 1957 roku z upoważnienia Jego Królewskiej Mości Króla Belgów oraz Prezydentów: Federalnej Republiki Niemiec, Republiki Francuskiej i Republiki Włoskiej, jak i Jej Królewskiej Mości Arcyksiężnej Luksemburga i Jej Królewskiej Mości Królowej Niderlandów, premierzy i ministrowie spraw zagranicznych 6 krajów podpisali w Rzymie traktat o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Od razu w pierwszym paragrafie traktat samochwalczo zapowiada, że „misją EWG jest utworzenie wspólnego rynku, ...harmonijny rozwój działalności gospodarczej w całości wspólnoty, stała ekspansja, zrównoważony i szybki wzrost poziomu życia jak również istotne zbliżenie między krajami członkowskimi”.

Choć to banalne sformułowanie łądząco przypomina niektóre fragmenty przemówień z ostatniego (i z poprzednich) Zjazdu KPZR, to jednak traktat rzymski, wielokrotnie już przez fachowców ze wschodu skazywany na uwiad i katastrofę, dał inne rezultaty niż kolejne pięcioletki. Nie należy jednak z tego wnosić, iż proces integracji na Zachodzie przechodził tak radośnie jak np. rozwój braterskiej współpracy w ramach RWPG. Nie wchodząc w bardzo skomplikowane detale, powiedzmy w skrócie, że od chwili podpisania traktatu rzymskiego rolnictwo było i ciągle jest najtrudniejszym elementem tworzenia gmachu wspólnoty.

Najprostsze wyjaśnienie polegałoby na stwierdzeniu, że podczas gdy obalenie granic, np. przemysłowych, było stosunkowo proste, to w dziedzinie rolnictwa jest to zagadnienie ciągle jeszcze nierozwiązane. Zachodni przemysł bowiem, jak nas pouczał Władysław Gomułka, ekonomista, i tak należał do międzynarodowego kapitału żydowskiego, był narzędziem światowego, głównie amerykańskiego imperializmu, co w tłumaczeniu na polski oznacza po prostu, że we wszystkich krajach szóstki przemysł miał podobną strukturę i zawierał sporo elementów ponadnarodowych powiązań. W związku z tym, mimo różnic w kosztach wytwarzania, w wydajności pracy itp., przemysł stosunkowo łatwo poddawał się integracyjnym prądom i rygorom.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z gospodarką rolną, tradycyjnie zróżnicowaną i zindywidualizowaną, o cechach często jeszcze z XIX stulecia. W tych warunkach wszelka próba narzucenia sześciu (a w istocie, jeżeli uwzględnić dysproporcje wewnątrz krajowe, znacznie większej liczbie) organizmom rolnym jednego wzoru, wspólnych i obowiązkowych zasad polityki cen

i zbytu, musiałyby wywołać eksplozję i zakończyć się bankrutem.

Polityczna biurokracja...

Postanowiono więc postępować z wolna i z ostrożnością. Dwoma wielkimi torami rozwijała się wspólnorolnicza polityka rolna. Najpierw przyjrano się dysproporcjom rynkowym, różnicom w kosztach produkcji i w cenach zbytu i postanowiono stworzyć odpowiedni fundusz w Brukseli, aby drogą odpowiednich subsydiów wyrównywać różnice i szanse w łonie wspólnoty. Równocześnie jednak badano ogólną strukturę zachodnioeuropejskiego rolnictwa i przygotowywano się na odparcie skutków wielkiej rewolucji na wsi. Mechanizacja i chemizacja bowiem musiały nieuchronnie doprowadzić do powstania ogromnych nadwyżek produktów rolnych i do spadku ich cen, zmniejszając równocześnie na wsi zapotrzebowanie na siłę roboczą a podnosząc ciężar inwestycji ponad możliwości tradycyjnego, rodzinnego gospodarstwa chłopskiego.

Niestety, dość szybko okazało się, że stopień skomplikowania systemu chłopskiego, trudności wynikające ze zróżnicowania, a przede wszystkim wąskie interesy poszczególnych państw wspólnoty, a nieraz i zaścianek samych ministrów (reprezentowali oni przecież nie tylko rządy, ale i partie „swoich” wyborców), uniemożliwiają jakiegokolwiek naprawdę skuteczne i długofalowe wspólne działanie. Rozdzierani przez „swoje” narodowe interesy, zmieniani nieraz wprost w czasie sesji brukselskich — sześciu ministrów ciągnęło latami politykę łątania dziur, gaszenia pożarów kolejno, jak się ujawniały. Zamiast podjąć próbę sformułowania polityki wspólnej i globalnej, sześciu ministrów dokonywało finansowych łamańców, aby podtrzymać ceny coraz większych nadwyżek produktów chłopskich, doprowadzając nawet do skandalicznego niszczenia nadmiarów i powodując zarazem społeczną stagnację na wsi.

Wypełniał się kocioł chłopskiego gniewu. Nie trzeba przecież dodawać, że na tle kolosalnego rozwoju przemysłowego, coraz wyraźniejszego dobrobytu ludności miejskiej, eksplozji społeczeństwa konsumpcyjnego, wieś czuła się pokrzywdzona, była zawiedziona, a w niektórych rejonach wręcz zrozpaczona.

W obliczu bezradności małych i przypadkowych nieraz polityków, nie będących w stanie przełamać opłotków własnego małego okręgu wyborczego, rosła odpowiedzialność Komisji Wspólnego Rynku, czyli ogromnego kompleksu polityczno-urzędniczego w Brukseli. Tu trzeba dodać, że państwa „szóstki” oddały Komisji EWG pewną część swoich uprawnień, dzięki czemu ten organizm — odmiennie, niż np. sekretariat RWPG — jest niezależny od rządów tworzących Wspólnotę.

Mimo iż, jak każdy aparat biurokratyczny, maszyna wspólnoty jest także ciężka, oporna i bez większej

wyobraźni, to jednak dość wcześnie z pl. im. Roberta Schumanna w Brukseli (autora formuły zachodniej integracji) zaczęły rozlegać się alarmy. Uwaga — szeptano — robi się gorąco!

... i urzędnicza eurokracja

Przez długie lata uwaga siedziby EWG — szklanego pałacu tak wadliwie zbudowanego, że „eurokraci” w zimie lodowacieją, a w lecie się duszą — skierowana była prawie wyłącznie na produkcję lawiny zarządzeń i postanowień, regulujących zupełnie nieprawdopodobnie szczegółiki wspólnorynkowego rolnictwa. Prawie wyłącznie, albowiem zza tego papierowego muru rozlegały się jednak głosy trzeźwości. Pozostawały one głosem na pustyni.

Pierwszy poważniejszy memoriał na temat konieczności kompleksowego podejścia do rolnictwa i wydarcia się poza cenowe akrobacje, opublikowany został w Brukseli jeszcze w roku 1960. Odpowiedziała mu urzędowo-rządowa cisza. Komisja usiłowała wrócić do tematu w dwa lata później, ale znowu bez skutku. Minęły jeszcze dwa lata i w roku 1964, mimo, iż ziemia już drżała w Zachodniej Europie, Rada Ministrów Rolnictwa państw Wspólnego Rynku odmówiła rozpatrzenia projektu reformy struktury rolnictwa i pogarszającego się położenia chłopów. Minęły jeszcze 4 latka beztróskiej i radosnej twórczości aż w roku 1968 Komisja przedkłada sześciu rządcom memoriał, noszący nazwisko jego autora, byłego ministra holenderskiego, obecnie wiceprzewodniczącego zarządu EWG, Sicco Mansholta. Ten wysoki, łysy, spokojny, odważny, i dowcipny Holender tym razem wyszedł z nerw i poszedł na całego.

Z sytuacji grożącej stale wybuchem nie ma — powiedział — innego wyjścia, niż:

a) z 10 milionów farmerów w krajach EWG do roku 1980 powinna zostać najwyżej połowa. Reszcie należy umożliwić przekwalifikowanie się i opuszczenie rolnictwa.

b) 5 milionów ha należy wyjąć spod uprawy rolnej i przekazać pod zalesienie.

c) Poprzez umiejętną politykę komasacji i spółdzielczości należy powiększyć rozmiary poszczególnych gospodarstw aż do poziomu zapewniającego możliwość i opłacalność nowoczesnych inwestycji.

d) Specjalne kredyty i subwencje ze wspólnej kasy mają ułatwić realizację poprzednich trzech punktów.

Ledwie Mansholt skończył a już się zaczęło. Co się działo, rany boskie?! Z „mięsa” jakim Mansholta obrzucono można by złożyć nowy międzynarodowy słownik inwektyw. Sam memoriał wyrzucono do lamusa, a ministrowie w strachu przed niezadowolonymi zdeorientowanymi wyborcami, powrócili do ekonomii typu „krótka koldra”. Mansholt, choć zły i zmęczony, próbował tłumaczyć, że on przecież niczego nie wymyślił, że chłopci i tak uciekają od ziemi, a jego plan ma im to tylko ułatwić, zorganizować,

ma zapewnić rozumne warunki migracji, dla tych co chcą się przekwalifikować, a godziwe warunki gospodarowania dla tych, co nie chcą ziemi opuścić. Ale wszystko nadaremnie... Nie trzeba dodawać, że nikt się nie potrudził nawet o dokonanie jakiegś, jak się to mówi na wschodzie, twórczej krytyki planu Mansholta i o przedstawienie np. innej, bardziej realnej jego wersji.

Ba, było nawet wprost przeciwnie. W ich prowincjonalnej polityce koniunkturalni macherzy zaczęli posługiwać się planem Mansholta jako piorunochronem. Jak tylko coś nie grało na wsi, to natychmiast padało hasło: „To winna Bruksela, to wina Mansholta”. W ten sposób, miał próby unowocześnienia mentalności najbardziej z natury konserwatywnej klasy jaką jest chłopstwo, miał próby doprowadzenia jej świadomości do zrozumienia konieczności narzucanych przez wysoko rozwiniętą gospodarkę przemysłową, poduczono chłopom mylące hasło, powiedziano: „kolega”, wskazano dalekiego — i myślano — mitycznego winowajcę.

No i popełniono błąd. Chłop, ta ciemna masa, nie zrozumiał polityków. Zamiast wziąć na uspokojenie, poszedł na barykady.

Czerwone, czarne i zielone

Może nie dosłownie, bo barykad na ulicach Brukseli nie było. Ale to co było wystarczy, aby ułożyć cały szereg różnokolorowych taniutkich metafor. Najdalej idąca mogłaby określić to się 23 marca 1971 w Brukseli działo jako: „Czerwony wybuch w czarny wtorek Zielonej Europy”.

Czegoś podobnego stolica Belgii jeszcze nie widziała. Owszem, w roku 1950 tzw. „sprawa królewska” czyli masowa niechęć do Leopolda III, niepopularnego z uwagi na mało bohaterską przeszłość wojenną, wyprowadziła na ulice Brukseli ogromne tłumy i doprowadziła do jego abdykacji. Potem, w roku 1958 starły się manifestacje zwolenników i przeciwników tzw. szkolnictwa wolnego, czyli rządowych subsydiów, dla katolickiego nauczania. W końcu, zima 1960-61 widziała dramatyczny i krwawy zryw belgijskiej klasy robotniczej, bo i taka była i jest.

Ale teraz, w trzeci dzień wiosny 1971 r., siła wybuchu była większa niż poprzednio, furia niszczenia bardziej ślepa, rachunek krzywd do wyrównania mniej klarowny, a bardziej namiętny. Do niewątpliwych rewindykacji gospodarczych dołączyły się mianowicie i niechęć chłopów do miasta i uraz Flamandów wobec sfrancuziałej stolicy.

No, ale przede wszystkim była to wielka premiera kontynentu. Stara i dostojna Bruksela stała się sceną pierwszej w historii manifestacji europejskiego a nie narodowego niezadowolenia. W szeregach manifestantów maszerowali bowiem, obok chłopów flamandzkich czy walońskich, także ich koledzy z Niemiec i Francji, Włoch i Holandii. Nawet z Sycylii, tego biedniackiego fol-

warku Europy, chartery za 100 dolarów *aller-retour* przywiozły tamtejszych małorolnych.

To właśnie w godzinach między 13 a 19, we wtorek 23 marca 1971, narodziła się prawdziwa zielona Europa, Bruksela zdobyła ostrogi prawdziwej stolicy EWG, a policja belgijska dokonała pierwszej interwencji ponadnarodowej, lejąc chłopów pałami i obrzucając ich granatami z gazem łzawiącym bez względu na rasę, narodowość, wyznanie i wykształcenie. Padł też, niestety, pierwszy trup w historii współnorynkowego protestu.

W ciszy gabinetów

W tych samych godzinach tego samego dnia, zgromadzeni w Brukseli wokół dużego stołu „eurokraci” z jednej strony a ministrowie rolnictwa z drugiej, poznali na czym polega ich odpowiedzialność i poznali granice chłopskiej cierpliwości. Oraz przekonali się, że — jak pouczał cytowany już Władysław Gomułka-ekonomista — „cierpliwości tej bezkarnie przekraczać nie można”.

A przecież nic nie zwiastowało Brukseli zniszczenia i trwogi. Manifestacja spokojnie się rozwijała i miała stanowić jedynie zewnętrzną formę nacisku na obradujących właśnie w Brukseli ministrów rolnictwa, miała wesprzeć postulaty jakie ministrom przekazała delegacja zwołanej na ten sam dzień do Brukseli sesji COPA czyli komitetu organizacji chłopskich wspólnego rynku.

Tylko ministrowie coś czuli. Na dzień manifestacji przenieśli się przezornie z Pałacu Kongresów do mocno obstawionego Pałacu Karola Wielkiego położonego przy pl. Schumanna, w bezpiecznej odległości od trasy chłopskiego marszu. I mieli, jak się okazało, rację, tym bardziej że tym razem mogli ich odwiedzić nie flegmatyczne krowy, a ich roznamiętnieni właściciele.

W poczuciu tak tanio zdobytego fałszywego bezpieczeństwa sesja ministrów rozpoczęła się znowu od beznadziejnych sporów o ceny. Jedne kraje forsowały podwyżkę cen produktów hodowlanych, inne zbożowych, jedni chcieli podwyżki globalnej, inni tylko częściowej i zróżnicowanej. Włosi nie chcieli podwyżki w ogóle, jak tylko pod warunkiem uchwalenia równocześnie konkretnego programu subsydiów dla terenów rolniczo-zacofanych (to znaczy włoskich właśnie), a Niemcy i Holendrzy nie chcieli podpisywać czeku *in blanco*, no bo przecież ich rolnictwo zacofane nie jest i nie tylko, że miałoby guzik z takiego programu, ale musiałyby jeszcze płacić na innych.

I tak by sobie ministrowie gaworzyli bez końca, gdyby nie wieśniacza niedelikatność i gdyby nie pewne odgłosy dochodzące z oddalonego centrum Brukseli. Co prawda, sami ministrowie jakby w przeczuciu szykującej się awantury, wyznaczyli już przedtem dzień 1 kwietnia jako ostateczny termin odblokowania sprawy rolnej, co prawda żaden kraj nie wzięły na siebie odpowiedzialności za zerwanie rozmów i proklamowanie wspólnego

rynkowej niemożności, ale mało osób ma wątpliwości, że to rwąca rzeka chłopskiego gniewu wpłynęła na szybkość i jakość decyzji ministrów.

Maratońskie conclave

Mniejsza znowu o detale: takiego maratonu eurokraci jeszcze nie przeżyli. 40 godzin rokowań w trzy dni, z tego 25 godzin nieprzerwanego posiedzenia. Tempo takie, że pierwsza zaśląbla pielęgniarka niosąca pomoc ślaniającym się ministrom. I wreszcie triumf. Koniec. Kropka. Bruksela, która we wtorek 23 marca poszła spać przerażona, a w środę obudziła się wściekła, odechnęła z ulgą dopiero w czwartek w południe.

W dwa dni potem jak we wszystkich językach Wspólnoty wysyłano Mansholta na szafot, jak transparenty wołały: „Chłop doi krowę, a Mansholt doi chłopą” lub „Hitler zniszczył patriotów, Mansholt niszczy chłopów”, zielona Europa uspokoiła się, kiedy ministrowie szóstki uchwalili zaproponowany przez tegoż Mansholta kompromisowy program, który, choć w znacznie mniejszej skali, to jednak podejmuje podstawowe założenia planu z 1968 r.

Nie odróżniam owsa od ryżu i nie mam odwagi wgłębiać się w szczegóły bardzo skomplikowanego, nafaszerowanego cyframi końcowego *dossier* marcowej sesji. Ponieważ jest to jednak dokument historyczny, więc powiem w skrócie, że wychodzi on z politycznego aksjomatu, iż należy myć i ręce i nogi. Należy więc załatwiać równocześnie i sprawę cen, to znaczy prowadzić politykę doraźnych korekt i krótkotrwałych rozwiązań, a zarazem należy przystąpić do przekształcania struktury zachodnioeuropejskiego rolnictwa, uginającego się pod kolosalnymi nadwyżkami, a nie będącego jednocześnie w stanie zapewnić chłopskim rodzinom godziwego (według standartów EWG) poziomu egzystencji i szans awansu życiowego.

Było bowiem rzeczą jasną, że chłopci sycylijscy czy hodowcy francuscy nie najechali Brukseli wyłącznie w kwestii ceny szczypiorku czy jajek. Zdawali sobie z tego sprawę w mniejszym stopniu sami chłopci, ale na szczęście — w większym stopniu ministrowie. Dlatego też, przy akompaniamencie huków petard, wybuchów granatów z gazem łzawiącym, wycia syren karetok pogotowia i szów policyjnych czy straży pożarnej, osłupiali ze zmęczenia ministrowie przyjęli propozycję zniechęconego Mansholta.

Z grubsza proponuje on aby z kwoty ok. 2,5 miliarda dolarów, do których doszłyby jeszcze pewne rezerwy z lat poprzednich, a z której ok. 2,2 miliarda przeznaczona się dziś co roku na wyrównania do cen płaconych producentom, magazynowanie nadwyżek itp., coraz większy procent przeznaczać na wydatki związane z unowocześnieniem i przekształceniem rolnictwa.

W tej wersji, plan Mansholta, który stracił swój przesadny zresztą gigantyzm z roku 1968, stanowił jedyną alternatywę ministerialnego bezruchu i kolejnej eksplozji chłopów. Jest to kom-

promis, który nie zadowolił nikogo, niemniej stanowi przełom w dotychczasowej jednostronnej i krótkowzrocznej polityce rolnej wspólnoty. Wystarczy powiedzieć, że ze wspólnej kasy pokrywać się będzie do 65 % subwencji i odszkodowań przynawanych tym chłopom w zacofanych rejonach Europy, którzy dobrowolnie zrezygnują z uprawiania ziemi.

Smutny los stolicy Europy

Voilà, gdzie jesteśmy. Po raz pierwszy zza lady małego kramiku, jakim była do tej pory polityka rolna Wspólnoty, widać już naprawdę zarysy zielonej Europy, a zza okien wyniosłych pałaców w Brukseli dostrzega się suchą skorupę sycylijskiej ziemi.

Namiętności już dawno opadły, a Bruksela zaleczyła rany. Dokonano dokładnych obliczeń i wiadomo, że straty sięgają kilkadziesiąt milionów franków belgijskich. Jeden z radnych z właściwą dla Belgów skrupulatnością obliczył, iż straty wynoszą ok. 1.000 fr. na głowę europejskiego manifestanta. Magistrat debatuje obecnie nad tym kto ma płacić: władze miejskie, towarzystwa ubezpieczeniowe czy... komisja Wspólnego Rynku. Miasto było tak dalece zaskoczone europejskością manifestacji i tak bardzo nieprzygotowane do ponad-narodowych najazdów kontestacyjnych, że debata na temat usuwania skutków czarno-zielonego wtorku toczy się w oparciu o dekret... z 10 vandemiera roku IV. Jak się państwo domyślają, chodzi tu o dekret jeszcze z czasów rewolucji francuskiej, przy czym wspomniana data określa — jak mi się to udało stwierdzić po żmudnych obliczeniach — dzień 2 października roku 1795.

Zmiana i unowocześnienie tego stanu rzeczy są tym bardziej konieczne, że przykład chłopów mógłby stać się zaraźliwy. Ponieważ w Brukseli ma swoją siedzibę sporo europejskich instytucji, więc los dumnej stolicy byłby wtedy rzeczywiście nie do zazdroszczenia.

W Brukseli mówią w związku z tym, że chłopci to jeszcze nie najgorsze co mogło na miasto spaść. Jak będzie nasz piękny gród wyglądać — pytają tu z niepokojem — kiedy dojdzie do manifestacji np. zintegrowanych sił szoferów ciężarówek...?!

BRUKSELCHYK

Pisane 13 kwietnia 1971.

P.S. Najsmutniejsza w tym wszystkim jest radość Warszawy z trudności rolnych — i innych — EWG. W ten sposób ignorancja i głupia pisanina pod zamówienie „ekonomistów z Rakowieckiej” zastępują poważne studia i uniemożliwiają uwzględnienie problematyki wspólnorolniczej w polskiej praktyce ekonomicznej. Przedłużająca się dominacja przed-grudniowej szkoły myślenia sprawia, że w Warszawie nie chcą zrozumieć:

a) że sprawnie działający Wspólny Rynek to partner trudny, a może nawet niebezpieczny, ale na pewno interesujący i — pod warunkiem wczesnego rozeznania — potencjalnie korzystny.

b) że natomiast wadliwie funkcjonujący organizm wspólnorolniczy musi powodować straty i w tym celu musi poszukiwać ofiar. W tej sytuacji szukać ich będzie przede wszystkim na wschodzie, a tam przede wszystkim w jego najłagodniejszych ogniwach. Jak na razie PRL do mocnych ogniw obozu pokoju i socjalizmu nie należy.

Natomiast przykład Jugosławii, która się w Brukseli już dawno zameldowała wskazuje, iż można się wiązać na zasadzie wzajemnych korzyści ze Wspólnym Rynkiem zachowując przy tym suwerenność oraz ideologiczne dziedzictwo.

B.

Dept. Stanu U.S. o Wschodniej Europie

27 marca 1971 r. w ramach Wydziału Nauk Politycznych SUNYA (Stanowego Uniwersytetu Nowojorskiego w Albany) odbył się wykład Johna Bakera z Departamentu Stanu na temat „USA, ZSSR a Europa Wschodnia” — dla studentów, których program studiów obejmuje strefę Europy Wschodniej. Wykład miał donieść znaczenie zważywszy, że słuchaczami byli Amerykanie, studenci, dla których termin „Europa Wschodnia” wiąże się albo z nieokreśloną nazwą, liczbą i położeniem jakichś mikro-państw, które w ich pojęciu przysięgły dożgonną lojalność i posłuszeństwo Sowietom. Wszelkie ruchy godzące w tę „lojalność” były przyjmowane obojętnie przez młodzież amerykańską do czasu wypadków w Czechosłowacji gdzie właśnie młodzież odegrała tak dominującą rolę. Aczkolwiek obraz jest nadal mętny a wypadki naginane do indywidualnych pojęć, to jednak zainteresowanie Europą Wschodnią poważnie wzrosło. Studenci stają się świadomi problemów, dociekają ich źródła i chcą wiedzieć.

Baker położył główny nacisk na sytuację ekonomiczną poszczególnych krajów, która może stać się źródłem zbliżenia Ameryki do Europy Wschodniej. Na bardzo ogólnikowo zakreślonej kanwie ekonomicznej Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii, Rumunii i Polski zarysowuje się możliwość współpracy handlowej i kulturalnej. Europa Zachodnia łatwiej znalazła drogę do porozumienia i wymiany handlowej; jest to wymiana „małych form” niemniej jednak istnieje i rozwija się. Ameryka zaś traktowała Europę Wschodnią jako „blok” nie uwzględniając poszczególnych krajów. Podejście to jednak musi ulec zmianie ponieważ z monolitu Europy Wschodniej wyłaniają się państwa, których indywidualność „rozsadza” ów monolit. Współpraca ekonomiczna między USA a Europą Wschodnią ukazuje możliwości rozwoju bliższych stosunków bez stwarzania sytuacji, która zagrażałaby systemowi politycznemu. Stany Zjednoczone wstrzymywały się od interwencji militarnej w 1956, 1968 czy 1970 roku. Przy zachowaniu takiego stanowiska wymiana ekonomiczno-kulturalna może być kontynuowana i może wzrastać.

Sowiety natomiast chcą całą ekonomię Europy Wschodniej kontrolować w swoisty, rosyjski sposób. Wszelkie zaciskania kontroli ekonomicznej przez Rosję nie dają rezultatów a przeciwnie, prowadzą do desperackiego usiłowania wyłamania się poszczególnych krajów spod tej kontroli.

Wykładowca mówił bardzo przystępnie i używał języka trafiającego w sedno spraw i pojęć. Najwięcej mówił o Polsce — bez sentymentów — natomiast z trzeźwym podziwem i estymą dla potencjału siły witalnej Narodu. Zwrócił uwagę na fakt, że kultura i obyczaje Polski, Czechosłowacji, Rumunii i Węgier należą bezsprzecznie do kultury Zachodniej Europy; studenci winni zaniedbać utożsamiania tych krajów tylko z egzotyką odległych, nieznanych okolic i z malowniczym folklorem a pozbawionych rozwoju ekonomicznego i kulturalnego czy technicznej myśli naukowej. Takie rozumowanie jest li-tylko wynikiem ignorancji.

Bułgaria i Albania stanowiły wyjątek w całości Europy Wschodniej.

Na zakończenie wykładowca powiedział, że ani Azja ani Bliski Wschód nie przedstawiają sobą zarzewia konfliktu. „Polski Grudzień” natomiast dowiodł, że państwa Europy Wschodniej dążyły i nadal dążyć będą — bez względu na cenę — do całkowitej autonomii i współpracy w rozwoju ekonomicznej i kulturalnej świata.

Maria CZYMBURA

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Przez dwa tygodnie gazety były wypełnione przemówieniami, przemówieniami, przemówieniami... Nadał ton sekretarz generalny, który czytał swoje *exposé* przez 6 godzin bez przerwy. A więc XXIV zjazd komunistycznej partii Związku Sowieckiego zakończył się. Rozjechało się 4.949 delegatów, reprezentujących 14.455.321 członków partii, rozjechali się również goście — 101 delegacji zagranicznych partii komunistycznych (co prawda jeśli by się chciało to można by tę cyfrę zakwestionować: w charakterze osobnej delegacji figurowali przedstawiciele pisma *Problemy pokoju i socjalizmu*, a Niemcy reprezentowały aż cztery partie komunistyczne. Ale bądźmy wspaniałomyślni: 101 — to piękna cyfra i imponująca).

Rozjechali się delegaci i goście, mogą teraz odpocząć obywatele sowieccy, czytający i oglądający jedynie materiały zjazdowe.

Sześciogodzinny referat Breżniewa to jednocześnie triumfalna relacja o sukcesach osiągniętych przez pięć lat — od czasu XXIII zjazdu, który zatwierdził usunięcie Chruszczowa i powstanie nowego „kolektywnego” kierownictwa oraz o planach na najbliższą *piatiletkę*. Myślę, że w dalszym ciągu można przerobić znane przysłowie: „Powiedz mi jakie on wygłasza referaty, a powiem ci kim on jest”. Starsi, jak ja, dobrze pamiętają referaty zjazdowe Stalina: elementarne proste, pełne wyczelowanych sformułowań, z których każde mogło być sloganem, koniecznie zawierające kilka anegdot (cytat z Sałykowa-Szczedrina, albo Czechowa), zawsze podające konkretne przykłady wrogów i przyjaciół. Mamy w świeżej pamięci referaty Chruszczowa — nieforemne, zamieszane, wypełnione pojątkami, pochwałą, ordynarnymi dowcipami i przekręcanymi cytatami z ewangelii.

W swoim *exposé* Breżniew nie wymienił ani jednego nazwiska (nie licząc, ma się rozumieć, nazwiska Lenina), nie było w nim nawet cienia humoru. Nudnym głosem, z silnym południowym akcentem mówca czytał tekst, którego myśl przewodnią można by

Nowość

TOM 198 - BIBLIOTEKI «KULTURY»

Seria „Dokumenty”

Zeszyt 34

LIST DO EMIGRANTA

obrazujący jak krajowa lewica widzi emigrację
i jak sobie wyobraża z nią współpracę.

Str. 128.

Cena F. 12 (dol. 2,50; £ 1)

streścić w ten sposób: jak było, tak będzie, wszystko powinno być po dawnemu, na swoim miejscu. Przeszło 100 lat temu Konstantin Leontjew mówił, że Rosję trzeba koniecznie „z lekka zamrozić” by zapobiec rewolucji. Tę myśl wyraża i Breżniew: zamrozić Rosję, utrzymać ją w obecnej sytuacji, powoli przetrwać to wszystko co imperium wchłonęło, odrzucając jakiegokolwiek eksperymenty. Najbardziej śmiała, a może nawet jedyna śmiała akcja KPZS w ciągu ubiegłych pięciu lat — agresja Czechosłowacji — także tłumaczy się chęcią utrzymania *status quo*, rozprawienia się ze wszystkim i ze wszystkimi, którzy chcą jakiegokolwiek zmian.

Ten, kto chciałby zrozumieć co Breżniew w rzeczywistości powiedział w swym referacie, nie powinien być go raczej słuchać, ale tekst przeczytać, i to koniecznie w oryginale. A oto dlaczego. Już od paru dziesiątków lat stworzono specjalny rytuał, swego rodzaju szyfr, za pomocą którego autorzy referatów czytanych na zjeździe podkreślają to wszystko, co wydaje im się specjalnie ważne. Rzuciwszy okiem na stronie *Prawdy* zobaczymy, że tekst referatu Breżniewa przy każdym prawie akapicie przerywany jest nawiasami, w których czytamy kursywą: oklaski, albo — długotrwałe oklaski, albo — żywiołowe, długotrwałe oklaski. (Za czasów Stalina była i czwarta kategoria — burzliwe, długotrwałe oklaski przechodzące w owację, — ale ta była zarezerwowana jedynie dla wodza. Owacjami spotykano go i odprowadzano). Trzy obecnie używane kategorie podkreślają miejsca, na które propagandyści powinni zwrócić uwagę. „Oklaski” — zauważyć, „długotrwałe oklaski” — to ważny ustęp, „żywiołowe, długotrwałe oklaski” — to myśl zasadnicza.

W pierwszej części referatu Breżniewa, poświęconej stosunkom zagranicznym Związku Sowieckiego, „burzliwymi, długotrwałymi oklaskami” podkreślono dwa miejsca: ustępy poświęcone Polsce i Czechosłowacji. Nawet wspomnienie o „bohaterskiej walce narodu wietnamskiego” nie było tak zaszczycone. Ale kiedy Breżniew oświadczył: „Z głęboką satysfakcją stwierdzamy, że w bratniej Polsce zostały pokonane zaistniałe tam trudności. PZPR przedsięwzięła kroki, mające na celu wzmocnienie więzów z klasą robotniczą i z wszystkimi pracującymi tak, aby socjalizm mógł opierać się w kraju na coraz solidniejszych podstawach. Komuniści Związku Sowieckiego z całego serca życzą polskiemu przyjacielom jak największych sukcesów”, — te słowa spotkały się — jak pisze *Prawda* — z „burzliwymi, długotrwałymi oklaskami”.

Oceniając wydarzenia w Czechosłowacji w 1968 roku Breżniew nie musiał nawet męczyć się nad znalezieniem sformułowań. Zacytował jedynie uchwałę plenum KC komunistycznej partii Czech i dodał: „Podzielamy całkowicie wnioski, do których doszła kompartia Czechosłowacji”. I tu również rozległy się „burzliwe, długotrwałe oklaski”.

„Ramy socjalistycznej współpracy są nienaruszalne” — tak sformułował Breżniew wytyczne sowieckiej polityki w krajach

Paktu Warszawskiego. Sowiecka polityka zagraniczna również opiera się na dążności do zachowania *status quo* w stosunku do wszystkich innych krajów. Należy tu jednak zaznaczyć, że obecny *status quo* zasadniczo różni się od sytuacji ustalonej przed pięć laty. Strefa interesów sowieckiego imperium znacznie się rozszerzyła. W pełni świadomości swojej siły, Breżniew zamierza prowadzić rokowania o utrwalenie tych granic.

Może najbardziej sensacyjną cechą XXIV zjazdu był brak jakiegokolwiek sensacji. W pierwszym rządzie odnosi się to do stosunków z Chinami, o których Breżniew powiedział tylko, że nie należy tracić nadziei na ich poprawę.

Prasa światowa, z satysfakcją podkreślająca pokojowość Breżniewa, zaznacza razem z prasą sowiecką, że nowa dziewięć *piatiletka* w Związku Sowieckim będzie *piatiletką* „spożywców” („konsumenta”). Jako dowód cytuje się słowa Breżniewa: „Najbardziej szerokie zaspokojenie materialnych i kulturalnych potrzeb ludzi jest najwyższym celem społecznej gospodarki w socjalizmie”. W poprzednim przeglądzie cytowałem słowa Stalina na XVII zjeździe partii w 1934 r., że „socjalizm nie oznacza ani nędzy, ani ograniczeń”. 37 lat później Breżniew mówi to samo: że nie wolno zmuszać ludzi do stania w ogonkach, że trzeba dać obywatelom niezbędne produkty żywnościowe, odzież itd. Z dumą oświadcza, że spożycie mięsa zwiększyło się o 17%, a po kilku minutach przyznaje, że „wzrost wytwórczości niektórych produktów żywnościowych, specjalnie mięsa... nie pokrywa zapotrzebowania, co prowadzi czasami do arytmii w handlu”. Breżniew nie zdradza ochoty zatrzymywania się nad powodami tego dziwnego zjawiska: że drugie przemysłowe państwo w świecie nie może wykarcić i ubrać jak należy swoich obywateli, ani zaspokajać ich elementarnych potrzeb. Bagatelizując to mówi: „Te trudności są związane częściowo z obiektywnymi przyczynami wewnętrznymi i zewnętrznymi”. Sekretarz generalny przyznaje jednak — i to bodajże jest nowe — że „partia i naród z powodzeniem rozwiązały wielki i złożony problem — zharmonizowania dalszego rozwoju gospodarki narodowej i wzmocnienia obronności kraju z wybitnym wzrostem dobrobytu mas pracujących”. Sekretarz generalny stwierdza, że państwo sowieckie może zmienić obowiązującą od 55-ciu lat formułę „armaty zamiast masła” na „armaty i masło”.

Nawet powierzchowna analiza cyfr nowego planu pozwala wątpić o realności obietnic Breżniewa. Na XXIII zjeździe Chruszczow obiecał doprowadzić Związek Sowiecki do komunizmu w 1980 roku (Nikita Siergiejewicz lubił dokładność). Breżniew obiecuje do 1976 roku polepszyć zaopatrzenie w mięso i zapałki. Ale i to nawet jest wątpliwe. Zresztą plan tego w rzeczywistości nie ukrywa. W planie na przykład mówi się, że w końcu *piatiletki* średnia zarobków robotniczych zwiększy się o ponad 30% i osiągnie 146-149 rubli miesięcznie. W tym miejscu jednak dodano, że powiększenie zarobków uzyska się przez podniesienie płac na Syberii, Dalekim Wschodzie i na Północy. Powszechnie wiadomo,

że te rejony Związku Sowieckiego, niegdyś zatrudniające miliony więźniów, cierpią obecnie na brak siły roboczej. Wystarczy stwierdzić, że według ostatnich danych statystycznych, ludność zachodniej Syberii zmniejszyła się w dekadzie 1960-1970 o 800.000 ludzi. Twórcy nowego planu pięcioletniego chcą przyciągnąć do tych dalekich i trudnych do życia rejonów nowych robotników, dając im wysokie wynagrodzenia, a jednocześnie zwiększyć średnią zarobków w całym kraju.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy dużo pisano w prasie sowieckiej o konieczności szerszego wykorzystania nowej techniki dla zautomatyzowania kierownictwa, upowszechnienia zastosowania komputerów, rraszyn elektronicznych itd. W referacie Breżniewa o tych wszystkich „kapitalistycznych” nowościach ledwie się wspomina. Przyznając, że istnieje rewolucja naukowo-techniczna, sekretarz generalny po starym opiera wszystkie swoje nadzieje na propagandzie i agitacji, na podniesieniu dyscypliny, na zwiększeniu świadomości robotników. Nie nowa technika i reforma ekonomiczna, a dyscyplina i uświadczenie — oto środki za pomocą których Breżniew chce „zwiększyć dobrobyt pracujących”. Zasadniczym środkiem ma być zwiększenie wydajności pracy. Ale to jednak zadanie bardzo trudne. Leonid Iljcz nie bardzo jest zadowolony z narodu sowieckiego, który zachowuje jeszcze „przeżytki przeszłości w świadomości i postępowaniu”. Niezmiernie ciekawa jest opracowana przez Breżniewa lista wad sowieckiego społeczeństwa: „łapczywość, łapownictwo, pasożytnictwo, oszczerstwo, anonimy, pijaństwo itp.”. Jeśli uważać łapczywość za wadę czysto kapitalistyczną, a łapownictwo — tradycyjnie rosyjską, to oszczerstwa i anonimy należałoby określić jako wady czysto sowieckie. Niemożność wytrzeźwienia tych „przeżytków przeszłości” zadziwia Breżniewa, który zaznacza, że przecież ponad 50 % ludności to są ludzie poniżej 30 lat. A więc o przeżytkach jakiej przeszłości mówi się teraz?

Główną dewizą Breżniewa jest ostrożność. Nie chce on dawać żadnych obietnic, nie ustala żadnych terminów, ale za to powołuje się na cytata z Lenina, która nawet w wypadku niewykonania planu pozostawia nadzieję. „Rewolucyjna działalność — rewolucja” — mówił Lenin — „nie idą na marne nawet wtedy, gdy całe dziesięciolecie oddzielają siew od żniw”. Minęło już pięć i pół dziesięcioleci od siewu, a być może na żniwo trzeba będzie czekać równie długo, a może i dłużej. W każdym jednak wypadku żniwa kiedyś będą — tak zapewnia Lenin.

Oprócz Breżniewa i Kosygina (który przeczytał projekt planu pięcioletniego) zabierało głos około 50-ciu delegatów (zapisało się do głosu trzy razy więcej) oraz wielka ilość gości.

Przed wszystkim o gościach. Najbardziej nikczemne (trudno znaleźć inne określenie) było wystąpienie Gustawa Husaka, który z całego serca dziękował wszystkim, którzy w sierpniu 1968 wtargnęli do jego ojczyzny, a w pierwszym rządzie wielkiemu sowieckiemu narodowi. Pamiętnikarze wspominają, że Hacha podpisując w Monachium dokument oddający Czechosłowację Hitle-

rowi — płakał. Czy Husak płakał schodząc z trybuny pałacu kremlowskiego — tymczasem nie wiadomo.

Edward Gierek wyłożył krótko swoje credo: „Stosunek do komunistycznej partii Związku Sowieckiego i do Związku Sowieckiego jest najlepszym kryterium prawdziwego stosunku do jedności sił socjalistycznych i antyimperialistycznych”.

Tylko dwa wystąpienia odbiegały od standartowych zapewnień o wierności i przyjaźni do partii sowieckiej i do państwa sowieckiego: przemówienie Ceausescu, i Enrico Berlinguera. Stosując niezawodny szyfr — tj. analizę rodzaju oklasków — stwierdziłem, że wszystkie wystąpienia gości kończyły się „burzliwymi, długotrwałymi oklaskami”. Wszystkie wraz z Rumunem Ceausescu, ale z wyjątkiem wystąpienia przedstawiciela największej partii komunistycznej w Zachodniej Europie, Włocha Berlinguera. Niezadowolone z jego wystąpienia odnotowano wzmianką: „Długotrwałe oklaski”.

W wypowiedziach delegatów, jak zwykle napisanych według jednego wzoru i tymi samymi słowami, zwróciłem uwagę na nowe zjawisko, które wydaje mi się ważne.

Jedna i ta sama myśl powtarza się w przemówieniach sekretarzy kompartii Uzbekistanu, Azerbejdżanu, Armenii, Łotwy i szeregu innych republik.

Ta nowa myśl szczególnie wyraźnie występuje w przemówieniu sekretarza uzbeckiej kompartii Sz. Raszydowa: „Narody naszej ojczyzny złączyły się w świętym związku z narodem rosyjskim... Język rosyjski stał się drugim ojczystym językiem wszystkich narodów ZSSR. Język rosyjski to potężna podnieta do stapania się narodów”.

A więc po pierwsze rozwija się proces stapania się wszystkich narodów z rosyjskim (kiedyś, bardzo dawno temu, nazywano to rusyfikacją), a po drugie ważnym instrumentem — „stymulantem” tego procesu — staje się język rosyjski.

Sekretarz azerbejdżańskiej kompartii, G. Alijew, rozwija myśl Raszydowa: „Wiele opracowań napisano o rozwoju poszczególnych związkowych republik, narodów i szczepów, co niewątpliwie jest bardzo ważne i potrzebne. Jednocześnie w opracowaniach naukowych kładzie się niedostateczny nacisk na problem zbliżenia narodów, stworzenia historycznie nowej społeczności — narodu sowieckiego wchłaniającego w siebie wszystkie narody ZSSR.

Do tej pory mówiło się w Związku Sowieckim o kulturze „narodowej w formie a socjalistycznej w treści”. Raszydow i Alijew wysuwają nowe hasło: kultura — „rosyjska w formie, a socjalistyczna w treści”. Alijew twierdzi, że to pomogłoby „dalszemu zwiększeniu pracy ideologicznej w organizacji partyjnej, wychowaniu mas robotniczych w duchu internacjonalizmu, stałoby się silnym orężem w walce z naszymi przeciwnikami”. To jest niedwuznaczne przyznanie się do tego, że nawet określenie „narodowa w formie” przeszkadza „w ideologicznej pracy” organizacji partyjnej. Wydaje mi się, że nie bez znaczenia fakt, że w walce

z narodową formą i za przekształceniem języka rosyjskiego w „drugiego ojczysty” wypowiedają się przede wszystkim kierownicy kompartii republik muzułmańskich — Uzbekistanu i Azerbejdżanu.

Dziennikarze zachodni z największą uwagą analizowali wystąpienia delegatów, starannie licząc ile razy każdy z nich wymienił nazwisko Breżniewa. I rzeczywiście sporo delegatów dwa, a nawet po trzy razy wymieniało w swoich wystąpieniach nazwisko generalnego sekretarza, podkreślając głębokość myśli jego *exposé*. Tkaczka A. Smirnowa dziękowała mu za pochwalenie klasy robotniczej, a sekretarz moskiewskiego komitetu partii Griszyn za wielki wkład do marksizmu-leninizmu. Szereg razy słyszano się sakramentalne już zdanie: „...i osobiście tow. Breżniew”.

Na trybunę Breżniew wchodził na pół kroku przed wszystkimi, komunikat o jego ponownym wybraniu na sekretarza generalnego pisma podały oddzielnie, a nie razem z innymi członkami biura politycznego.

Ale mimo to wydaje mi się, że mówiąc o rezultatach zjazdu nie można twierdzić, że Breżniew zajął pozycję, która by choć trochę przypominała pozycję Stalina, czy nawet pozycję Chruszczowa w ostatnich latach jego rządów.

Nawet najbardziej pochlebne oświadczenia o wybitnych zaletach sekretarza generalnego brzmiały jakoś nieprzekonywująco, i były jak gdyby naciągnięte. Odnosi się wrażenie, że wskrzesza się kult nie Breżniewa, a sekretarza generalnego. Najbardziej charakterystyczną, najbardziej ważną cechą XXIV zjazdu staje się całkowite zwycięstwo aparatu partyjnego, który umocnił swoją absolutną władzę.

Aparat partyjny, stworzony przez Stalina, raz jeszcze dowiódł swojej potęgi. Dowiódł na ostatnim zjeździe, że jest silny sam w sobie, że może się obejść bez wodzów, bez wybitnych indywidualności. Dowiódł, że może sobie pozwolić na to, aby sekretarzem generalnym zrobić człowieka przeciętnego, nieznacznego, szarego.

I to jest główna lekcja zjazdu: cała siła, cała władza w rękach partii, ściślej w rękach partyjnej maszyny.



Na zakończenie kilka cyfr charakteryzujących partię. Do partii należy 9 % dorosłej ludności w kraju. Robotnicy stanowią 40,1 % członków partii (i 55 % ludności), kołchoźnicy — 15,1 %, urzędnicy — 44,8 %. Wśród delegatów zjazdu było tylko 9-ciu ludzi ze stażem przedrewolucyjnym i 21, którzy wstąpili do partii w 1917-1921 roku. Ponad 2/3 delegatów wstąpiło do partii po 1946 roku. Po uzupełnieniu składu biura politycznego szeregiem nowych członków, przeciętny wiek tego najwyższego organu partyjnego zmniejszył się z 63-ich do 61 lat.

Adam KRUCZEK

« Listy »

Dopiero na początku tego roku, po kilku niewienczonych powodzeniem próbach, udało się czechosłowackiej emigracji „posierpniowej” wydać pierwszy numer swego czasopisma. Nazywa się ono *Listy* i jest „czasopismem czechosłowackiej opozycji socjalistycznej”. Tytuł nawiązuje do zasłużonego tygodnika, który w okresie Novotnego grupował czołowych działaczy rewizjonistycznych i który poddany systematycznym represjom i likwidacjom nie wyrzekł się swej linii i odradzał się pod nowymi postaciami dzięki wytrwałości współpracowników.

Nowe, emigracyjne *Listy* chcą być również kontynuacją i substytutem tych wszystkich gazet czeskich i słowackich, *Reportera*, *Politiki*, *Kulturnego života* i innych, które reżym okupacyjny skazał na milczenie.

Zadanie piękne, warunki nie łatwe. W okresie, gdy reżymowa propaganda trąbi o milionowych wprost subwencjach dla organizacji emigracyjnych, rzeczywistość przedstawia się wręcz odwrotnie. Żywot pisma wisi wciąż na włosku właśnie z powodu braku pieniędzy. Nie otrzymują wynagrodzenia ani redaktorzy ani autorzy, brak nawet grosiwa — skarży się redaktor — na uruchomienie sekretariatu redakcji. Zwykle koleje losu.

Ideologię pisma określa zapowiedź kontynuacji linii, którą kierowały się czołowe gazety „praskiej wiosny”. Nie jest to zapowiedź jeszcze zbyt precyzyjna, albowiem we wiośnie tej działały siły dość rozmaite a nawet sobie przeciwstawne i tylko sowiecka interwencja przeszkodziła w pełniejszym ujawnieniu się wewnętrznych sprzeczności ruchów demokratycznych. Ale nie ulega wątpliwości, że każdy ruch odnowy właśnie w Czechosłowacji musi nawiązywać do tradycji roku 1968 i nawiązywać będzie. Nie ulega też wątpliwości, że nawrót do stanu sprzed okupacji sowieckiej jest wstępnym żądaniem wszystkich ruchów demokratycznych i to jest jakimś ogólnym czechosłowackim spoiwem politycznym.

Kontynuacją jest również redakcja. Nie wszystkie nazwiska mi coś mówią, ale naczelnym redaktorem jest wybitny działacz tego okresu, Jiri Pelikan, jakże często „piętnowany” przez sowieckie, polskie i inne gadzinówki. Artykuł programowy jest pióra innego wybitnego działacza, członka biura politycznego wybranego na XIV (nadzwyczajnym) zjeździe KPCz, Zdeńka Hejzlara.

Linia rewizjonizmu komunistycznego jest widoczna w starannie zebranych i opublikowanych w *Listach* proklamacjach i wypowiedziach tych partii komunistycznych, grup odszczepieńczych względnie działaczy, którzy nie pogodzili się z sowiecką okupa-

cją Czechosłowacji. Niestety, dodajmy tu od siebie, rejestr protestów nie jest zbyt budujący. Szanując stanowisko KP Australii, uczciwość heretyków austriackich i francuskich lub — niezbyt już konsekwentne — stanowisko KP Włoch, należy stwierdzić, że ruch komunistyczny dziwnie łatwo przeszedł do porządku dziennego nie tylko nad okupacją ale i nad własnymi protestami.

Zawartość numeru daje się podzielić na część programową i część informacyjną. Obydwie są ciekawe. W artykule wstępnym redakcja daje wyraz przeświadczeniu że:

„...szansa naszego społeczeństwa ujawni się wcześniej niż na ogół się sądzi. Spoczywa ona nie tylko w 'warunkach zewnętrznych'... Główna nasza szansa tkwi w nas samych. Trzeba, by ludzie poczuli swą siłę i wyzwolili się spod ucisku strachu przed władzą, która choć brutalna i pewna siebie w działaniu, trzęsie się ze strachu przed społeczeństwem”.

Czołowe miejsce w numerze zajmuje proklamacja konspiracyjnego „socjalistycznego ruchu obywateli czechosłowackich”, uchwalona w dniu święta narodowego, 28 października 1970 roku. To dążenie do tworzenia programów, które obserwujemy ostatnio we wielu krajach bloku sowieckiego jest symptomatyczne i daje dużo do myślenia. Jeszcze jeden przejaw zaostrzającej się walki, obawy, by w istotnym momencie brak jasnych wytycznych działania nie okazał się źródłem rozbitcia i nie był wykorzystany przez „siły porządku i prawa”. Do publikowanej proklamacji redakcja zgłasza akces, choć nie bez mglistych zastrzeżeń: „obecnie wielu z nas ujęłoby inaczej niektóre myśli”.

Celem walki — w myśl proklamacji — jest „wyzwolenie spod okupacji, prawo naszego ludu do określenia własnej drogi do socjalizmu, która by odpowiadała naszym tradycjom, warunkom, psychice — a przede wszystkim — woli większości naszych obywateli”. Sceptyk doda: a co będzie, jeśli socjalizm w żadnej swej postaci nie będzie odpowiadał woli większości? Realista zauważa jednak, że nie ma chyba słowa tak podatnego na transformację jak uniwersalne pojęcie „socjalizm”, i jakim więc by nie był przyszły ustrój kraju, zawsze go będzie można nazwać socjalizmem.

Istotniejszą częścią proklamacji są wytyczne działania, tkwiące rzeczywiście w czeskiej tradycji działalności pozytywnej:

„Nie jesteśmy rzecznikami hasła 'im gorzej tym lepiej', jak nam to podsuwa propaganda [...] nie dążymy do rozbitcia lecz do zjednoczenia obywateli. Jedność roku 1968 udowodniła, że ruch ogólnonarodowy jest rzeczą możliwą [...] Ludzie, z którymi nigdy nie będziemy mogli się złączyć, stanowią garstkę”. „Każdy obywatel może działać. Nie czekajmy na kierownictwo i wodza [...] Solidarność zawsze była naszą najsilniejszą bronią. Walczmy o każdy drobiazg”. „Wiemy czego chcemy... Programem minimum jest dla nas 'Program działania KPCz' z kwietnia 1968, materiały XIV zjazdu, dyskusje nad ustrojem politycznym, reformą gospodarczą, nad radami zakładowymi...”.

Jest to jednak tylko jedna z możliwych płaszczyzn działania.

Wydarzenia grudniowe na polskim Wybrzeżu wywarły chyba duży wpływ również na sposób myślenia Czechów i Słowaków, do nich bowiem nawiązuje i artykuł wstępny i specjalny artykuł pióra Pelikana, „Nauki płynące z Polski”. Autor ostatniego wyciąga dwa wnioski: po pierwsze — lud nie jest bezbronny nawet w warunkach okupacji i może odstąpić słabe miejsca systemu policyjno-biurokratycznego. Po drugie — „tzw. obóz socjalistyczny pęka w szwach: nie może temu zapobiec nawet doktryna Breżniewa”.

Tyle o sprawach programowych. Nie mniej ciekawa jest strona informacyjna. Redakcja dysponuje dobrym serwisem, pochodzącym w lwiej części z tzw. „kół dobrze poinformowanych” i z powodzeniem stara się poczynić wyłom w systemie dezinformacji i ogłupiania, realizowanym przez reżym okupacyjny. Strzały są celne.

Życzymy czasopismu wolnych Czechów i Słowaków wiele optymizmu. Nie ma wolnej Polski bez wolnej Czechosłowacji i wzajemnie!

Ondrej DOLAN i Józef LEWANDOWSKI

Podajemy adres dla prenumeraty i korespondencji:

„Listy”
c/o MPL
via Torre Argentina 21
00 186 ROMA
Italia.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kraj

Historia naturalna polskiego naukowca

W Polsce pracuje obecnie prawie że czterdzieści tysięcy pracowników naukowych, z tego piątą część stanowią pracownicy samodzielni (w szkolnictwie wyższym profesorowie i docenci), a na resztę składają się adiunkci, starsi asystenci i asystenci. Poza Polską Akademią Nauk i szkolnictwem wyższym pracuje dotąd tylko czwarta część ogółu pracowników samodzielnych, ale fundusze na badania przypadają głównie im właśnie, gdyż państwo jest skłonne wspierać przede wszystkim tzw. badania stosowane. Uczelnie wyższe produkują znaczną liczbę nowych kadr naukowych, jak również stanowią główne — obok PAN — siedlisko myśli naukowej, ale ich faktyczne możliwości badawcze są bardzo ograniczone przede wszystkim ze względu na braki zaopatrzenia i wyposażenia. Wystarczy wspomnieć, że według danych z ankiety dokonanej w 1964 r. wśród młodszych pracowników naukowych wyższych uczelni tylko dwie trzecie miało względnie zadowalające warunki pracy. Tylko jedna piąta miała pokoje do pracy do własnej dyspozycji, a trzecia część nie posiadała w uczelni nawet swojego biurka lub stołu. W katedrach eksperymentalnych politechnik czwarta część ankietowanych pracowników pracowała w domu. Zapotrzebowanie na personel pomocniczy było pokryte tylko w dwóch trzecich. Badania przeprowadzone przez Międzyuczelniany Zakład Badań nad Szkolnictwem Wyższym wskazują na szereg istotnych braków nie tylko w zaopatrzeniu placówek naukowych, lecz również w ich generalnym ustawieniu. Za mało jest możliwości faktycznego skupienia się na pracy naukowej, gdyż sama ta praca jest dość chaotycznie zorganizowana, zbyt dużo czasu zajmują różne obowiązki administracyjne, a wreszcie ludzie są pochłonięci w znacznej mierze dodatkowymi zajęciami zarobkowymi. Kierowanie pracą naukową ma charakter albo nazbyt autorytatywno-biurokratyczny, albo znów przełożeni zajęci własnym tematem nie mają dość czasu

i zainteresowania dla swych podwładnych. Nic dziwnego przeto, że trzy czwarte badanych pracowników naukowych nie odczuwało odpowiednio aktywnego stosunku do swej pracy ze strony władz nadrzędnych (*System społeczny katedry*, Warszawa: PWN, 1969, str. 16).

Zdolność systemu społeczno-politycznego do należytego wykorzystania potencjału naukowego ma wręcz zasadnicze znaczenie zwłaszcza w krajach uprzemysłowionych i rozwijających się. W Polsce coraz więcej pisze się i mówi o czynnikach powodujących zahamowania w tym właśnie względzie. Bardzo znamieny jest głos w tej sprawie Mariana Mazura w książce pt. *Historia naturalna polskiego naukowca* (Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1970). Autor jest wybitnym polskim cybernetykiem i obecnie kieruje Pracownią Epistemologiczną w Zakładzie Prakseologii PAN, założonym szereg lat temu przez prof. T. Kotarbińskiego. Zadaniem tej pracowni jest zajmowanie się problemami twórczości naukowej i organizacji badań naukowych.

Prof. Mazur wytyka przede wszystkim daleko idące niezrozumienie istoty twórczej pracy naukowej przez tych, którzy naukę odgórnie organizują. „Jest prawdziwym nieszczęściem, że struktura instytutów naukowo-badawczych została oparta na strukturze instytucji administracyjnych (str. 29). ... W instytutach występuje zasadnicza sprzeczność, polegająca na tym, że w kierunku od dołu ku górze zakres władzy wzrasta, a znajomość rzeczy maleje (str. 31-32). ... W obecnej strukturze instytutów naukowcy w pracowniach naukowych są w zasadzie jedynymi pracownikami uprawiającymi zawód naukowca, oni mają największą wiedzę w zakresie rozwiązywanych przez siebie zagadnień, tylko ich praca nadaje instytutom sens istnienia — i ci właśnie ludzie są najniżej wynagradzani. W sprawie zmian w instytucie nikt nie zasięga ich zdania, o zapadłych postanowieniach dowiadują się ostatni i nie o wszystkich, są zawsze obiektem cudzych decyzji, sami nie decydują o niczym (str. 33-34). ... Badania naukowe, zwłaszcza na politechnikach, są prowadzone głównie w godzinach dodatkowych (str. 25-36). ... W dotychczas stosowanej u nas polityce wobec naukowców ignoruje się rolę pasji badawczej, przywiązując wagę do motywów o wiele słabszych i nie zawsze zgodnych z charakterem pracy naukowej (str. 41). ... Brak zrozumienia motywacji działania naukowców prowadzi też do absurdów w rodzaju pojmowania pracy naukowej jako obowiązku spełnianego w wyznaczonych godzinach (str. 42). ... (Organizatorzy nauki) za środek mający pobudzać naukowców do pracy uważają dyscyplinę ich przebywania w budynku instytutu w określonych godzinach, z listami obecności, a nawet — co za potworność! — z automatycznymi zegarami kontrolnymi. Kontrola organu do myślenia utożsamiała im się z kontrolą organu do siedzenia (str. 44)”.

Zdaniem prof. Mazura brak jest współpracy między administracją a nauką, gdyż w istocie rzeczy administracja „zobowiązuje instytucje naukowe do różnych rzeczy, sama nie zobowiązując

się wobec nich właściwie do niczego" (str. 54). Trzeba tutaj dodać, że w modelu centralistycznego zarządzania biurokracja podporządkowuje sobie naukę tak dalece, że aż ją przygniata, czyni czymś wprost nieważnym, swoistą kadrą pomocniczą dla biurokratów. „W instytucjach resortowych asystent czy nawet starszy asystent to człowiek uważany, i w konsekwencji sam się uważający, za małoważnego, do czego łatwo przywyka, widząc, że jego bezpośredni zwierzchnik, kierownik pracowni, jest także małoważny i o niczym nie decyduje. W takiej atmosferze mają się rozwijać bojownicy rewolucji naukowych i postępu technicznego" (str. 68). Administracja z natury swej działalności nie ufa pracownikom naukowym, dąży do obciążenia ich formalnym dowodem niemal za wszystko co robią. Przy tym sama nie mogąc podolać nadmiarowi sprawozdawczości i planowania, przerzuca je na pracowników naukowych, którzy zresztą nie mają dostatecznego personelu pomocniczego ani o charakterze technicznym, ani też o charakterze biurowym. Sztywność planowania opartego na założeniu, że wszystko musi dać pozytywny wynik, doprowadziła do preferowania tematów „bezpiecznych” w sensie ich wykonania w przewidzianym czasie, a więc w rezultacie nieraz mało ambitnych naukowo. Nie pomogło nawet dodanie do planowania zasady odpłatności, gdyż zakłady pracy boją się ryzyka i wolą zamawiać takie opracowania, które w gruncie rzeczy niczego nie wnoszą, a stanowią tylko dobry pretekst do wydatkowania zaplanowanych kwot.

Nasuwa się z tego wszystkiego dość oczywisty wniosek, że społeczeństwo polskie traci wiele mając naukę zorganizowaną w taki sposób, jaki dotąd jest powszechnie przyjęty. Trzeba byłoby dać znacznie większą samodzielność zarówno poszczególnym pracownikom naukowym, jak też tym bardziej ich zespołom. Organizacja pracy naukowej musi uwzględniać istotę twórczości, a więc zapewniać bardzo znaczną swobodę działania. Zamiast stosowania bezpośredniego przymusu trzeba przejść na rozmaite rodzaje pobudzania. Jeśli nawet społeczeństwo nie stać na lepsze wynagrodzenie pracowników naukowych, można przecież stworzyć im atrakcyjne bodźce apelujące do ich ambicji zawodowej. Zamiast straszyć i zniechęcać, można zabezpieczać i zachęcać. I tak przecież już współcześnie poszczególne ambitne zespoły naukowe w Polsce wykazują mnóstwo inicjatywy i pomysłowości w przebijaniu się przez gąszcz niechętny sobie — lub co najmniej obojętnej — biurokracji. Można opowiadać mnóstwo anegdot na temat przemysłności ludzi nauki w staraniach o aparaturę, wyjazdy zagraniczne, dodatkowe etaty, lokale do pracy itd. Prawda, że w obecnym układzie stosunków spora część tej energii obraca się na zabiegi w prywatnym interesie danego pracownika naukowego. Z drugiej strony jednak bardziej elastyczna organizacja pracy naukowej pozwoliłaby na ujawnienie energii, a zarazem skierowanie jej na cele społecznie pożyteczne.

Powstaje jednak pytanie jak dalece reforma jest rzeczywiście możliwa w obecnym modelu socjalizmu. Prof. Mazur sporo narze-

ka na urzędników, ale przecież jest to w gruncie rzeczy najbardziej pokrzywdzona grupa zawodowa. Jej podstawowym obowiązkiem jest utrzymywanie pracowników naukowych w odgórnie określonych granicach swobody działania i biada urzędnikowi, który tego nie rozumie. Danie dużo większej swobody ludziom nauki oznaczałoby faktycznie wprowadzenie do modelu znacznych elementów swobodnej gry sił społecznych. Prawda, że społeczeństwo mogłoby na tym zyskać, ale za to równowaga tradycyjnych ośrodków władzy zostałaby poważnie zachwiana. Nie przypadkiem nawet w ramach Partii ludzie roszczący sobie prawo głosu z racji swych kwalifikacji naukowych są eliminowani (vide los partyjnych filozofów i socjologów w marcu 1968 r. w Uniwersytecie Warszawskim) gdy tylko powstaje możliwość zachwiania utrwalonego układu sił. Z pewnością nie jest intencją Partii marnotrawienie potencjału naukowego. Przeciwnie, zrobiła ona bardzo dużo aby ten potencjał rozwinąć i wykorzystać dla rozwoju społeczeństwa. Z drugiej strony jednak centralistyczny model sprawowania władzy jest zawsze bardzo zagrożony przez wszelkie grupy zyskujące dla siebie swobodę działania nie dość kontrolowanego odgórnie. Literaci, dziennikarze, naukowcy — są to wszystko kategorie zawodowe mające bezpośredni dostęp do bardzo ważnych zasobów społeczeństwa. Dając im swobodę działania ośrodki władzy centralnej ryzykują, że kontrola przynajmniej po części wymknie się z ich rąk. Łatwiej im jest przeto stosować zabieg faktycznego ufikcyjniania danej dziedziny przez narzucenie ludziom ją uprawiającym celów faktycznie odmiennych od zamierzonych. Zamiast techniki przyczyniającej się do modernizacji zakładów pracy — technika na pokaz dla gości zagranicznych. Zamiast socjologii uprawiającej krytyczną refleksję na tematy społeczne — socjologia panegiryczna lub co najwyżej gromadząca fakty nieistotnie. Zamiast nauk politycznych przyczyniających się do nieustannego doskonalenia aparatu władzy — nauki polityczne mające rozciągnąć dymną zasłonę wokół tego aparatu.

W gruncie rzeczy jest to jednak tylko dalsze nagromadzenie sprzeczności, które wcześniej czy później muszą się ujawnić i wybuchnąć z wzmoczoną siłą. Zabieg ufikcyjniania jest więc li tylko społecznie bardzo kosztownym zabiegiem opóźniającym. W przeciwieństwie do reakcyjnych reżymów arystokratyczno-feudalnych lub post-kolonialnych, komunizm faktycznie jest zainteresowany w uruchomieniu olbrzymich zasobów energii społecznej (i na tym zresztą polega jego rola historyczna). Teoria elit w jej tradycyjnym brzmieniu nie pasuje do komunizmu i trudno się zgodzić z Dżilasem i innymi rozgoryczonymi marksistami, że klasie rządzącej w komunizmie chodzi li-tylko o utrwalenie własnego panowania. Społeczeństwo rządzone przez komunistów jest dynamiczne i problemem elity jest jak utrzymać się na powierzchni kotłujących się prądów. Zabiegi stosowane przez elitę są nie tyle cyniczno-satanistyczne (taka interpretacja właśnie najlepiej psychicznie odpowiada rozczarowanemu marksistom),

ile przede wszystkim dyktowane chęcią utrzymania za wszelką cenę modelu, który pęka w szwach.

Rozwój nauki stwarza duże oczekiwania zarówno w społeczeństwie jak i wśród pracowników naukowych. Co gorzej, te wręcz przesadne nieraz oczekiwania są podzielane choćby po części przez samą elitę wychowaną przeciw na światopoglądzie „jedynie naukowym”. Jedni biorą naukę na serio, dla innych zaś jest ona jedynie pretekstem do poprawy własnej sytuacji życiowej. Wszyscy jednak swymi oczekiwaniami stwarzają silny nacisk, wobec którego rządząca elita musi zabrać stanowisko. Byłoby oczywiście naiwnością przypuszczać, że wspomniane oczekiwania są zawsze sensowne i uzasadnione. Kręci się przecież w nauce mnóstwo neurotyków, pomyślników i szarlatanów, których kompetencje są w wielu przypadkach wprost niesprawdzalne. Pod płaszczykiem nauki ludzie załatwiają mieszkania teściowym i kochankom, przemycają przez granicę damską bieliznę, wałkonią się w tzw. domach pracy naukowej, obgadują i wykańczają jeden drugiego (w archiwach partyjnych można znaleźć sporą liczbę donosów). Trzeba się wstawić w położenie ludzi władzy, którzy w każdym konkretnym przypadku muszą decydować kogo i dlaczego popierać, gdy kryteria są w istocie rzeczy dla nich mroczne.

Książka M. Mazura, podobnie jak wspomniane już poprzednio badania socjologiczne Międzyuczelnianego Zakładu Badań nad Szkolnictwem Wyższym, wskazują na archaiczność obecnego modelu organizacji nauki w Polsce. Trzeba ten model gruntownie zmienić, jeśli nauka ma stać się rzeczywiście jedną z podstawowych sił rozwoju społeczeństwa. Swobodnie dobierające się zespoły badawcze, a nie zbiurokratyzowane instytuty, muszą stać się podstawowymi komórkami pracy twórczej. Planowanie i finansowanie trzeba oprzeć na konkretnych zadaniach, a nie na intencjach. Cała administracja musi zacząć pełnić rolę służebną w stosunku do zadań i realizujących je zespołów. Ingerencja do nauki z zewnątrz powinna ograniczyć się do rozdzielania środków według określonej hierarchii ważności zadań badawczych, bez narzucania władzy i popierania „swoich”. Ludziom nauki trzeba zapewnić rozsądny udział w owocach ich pracy. Zarządzanie pracą naukową musi przyczyniać się do rozładowania istniejących tarć natury ambicjonalnej, a nie do nieustannego ich jątrzenia na zasadzie „dziel i rządź”.

Zamiast obiektywnie zmuszać ludzi nauki do szukania dla siebie miejsca za granicą, trzeba stworzyć klimat zachęty, współpracy i życzliwości wzajemnej. Zastanawiające, jak wiele administratorzy nauki gnieźdzący się w Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego oraz w Wydziale Nauki KC PZPR za rządów gomułkowszczyzny, osobiście działali dla zniechęcenia ludzi nauki do pracy, odizolowania ich, a następnie wykończenia psychicznego lub ewentualnego wypchnięcia poza granice kraju. Jeśli już mowa o szkodnikach i o wrogach ustroju, to doprawdy można by ich sporo znaleźć wśród gorliwych zbieraczy donosów i promotorów polityki personalnej na skalę Pocijowa, na jakich

Gomułka opierał swe rządy. Ludźmi tymi kierowała przede nie-nawiść do wszystkiego co myślące i niezależne, a więc obce ich instynktowi małych posiadaczy, którym na fali historii udało się wydzwignąć do roli pseudo-marksistów (zresztą przeważnie bez żadnej głębszej znajomości doktryny).

Biurokracja w Polsce obciąża Partię zawistnym i zdemoralizowanym elementem małomieszczańskim, który uwiesił się władzy i jest żywotnie zainteresowany w ukróceniu wszystkiego co wyrasta ponad przeciętność, w tym między innymi nauki. Trzeba byłoby wielkiej odwagi politycznej, aby odzegnać się od tego elementu i sięgnąć do twórczych sił narodu, tkwiących w ludziach którzy chcą i umieją dobrze pracować. Bez zasadniczych przemian w tym właśnie względzie rozsądne głosy ludzi, jak M. Mazur i inni, pozostaną li-tylko biadaniem bez szerszego odzewu.

Dla małomieszczanina-biurokraty nauka jest przede wszystkim źródłem nieustannego zagrożenia jego własnej pozycji przez: wykazanie mu niewiedzy i niekompetencji (stąd urzędnicy tak wielbią pouczać naukowców), danie innym okazji wywyższenia się ponad niego (ograniczenie wyjazdów zagranicznych pracowników naukowych jest podyktowane w znacznej mierze po prostu zazdrością urzędników), poddanie w wątpliwość sensu tego, co biurokrata robi (stąd kult cenzury), możliwość stworzenia antybiurokratycznej koalicji wyzyskiwanych przez biurokrację twórczych sił narodu. Najgorsze, że małomieszczanin-biurokrata w gruncie rzeczy nie wierzy w nic i nikomu, z sobą samym włącznie, a stąd nie jest zdolny do jakiegokolwiek konstruktywnej akcji poza obroną za wszelką cenę własnych przywilejów. Według niego ustroj socjalistyczny jest li-tylko okazją dla ludzi przeciętnych do nie robienia niczego konstruktywnego, a tylko do trwania na swych marnych posadkach i epatowania swą pretensjonalnością. Nauka — tak, ale tylko taka, która polega na przeżuwanie rzeczy znanych i co najwyżej udziwnianiu szarzyzny codziennego bytowania. Jak dla tradycyjnego chłopca realne było tylko morgi, tak dla małomieszczanina biurokraty realne jest tylko pokazywanie innym, że nimi pogardza, gdyż oni są w gruncie rzeczy takim samym śmieciem jak on sam. Stąd nieustanne poszukiwanie szansy odegrania się na innych, ukuczenia im, ukazania ich nicości. Reżymy totalitarne czerpią swą siłę w dużej mierze właśnie z utrwalenia się w społeczeństwie nieustannej nagonki jednych ludzi przeciwko drugim. Ta nagonka zrównuje wszystkich w dół i uniemożliwia krystalizację nowych elit, które mogłyby skutecznie zagrozić elicie rządzącej.

Małomieszczenie nieustannie ciągną cały system społeczno-polityczny w dół, gdyż uniemożliwiają należyte wykorzystanie potencjału narodowego. To oni są w znacznej mierze odpowiedzialni za to, że zamiast gospodarki narodowej mamy *gospodrakę* narodową (w *Zyciu Warszawy* kiedyś tak właśnie przekrecono toast noworoczny Gomułki), że instytuty naukowe są siedliskiem papierkomanii i że ogólne zniechęcenie nabrało skali powszechnej. Gierek słusznie chyba zaczął od gestów przychylnych wobec

nauki. Jednakże sprawa jest dużo głębsza, gdyż dotyczy układu sił społecznych. Bez stworzenia wielkiej koalicji wszystkich ludzi pracy przeciw małowieszczaństwu, nauka polska nie ma szansy.

Trzeba przede wszystkim stworzyć prawdziwych urzędników i zastąpić nimi skompleksowanych pariasów, którzy brzydzą się samym sobą (zob. co sami o sobie sądzą urzędnicy w świetle polskich badań socjologicznych). Trzeba dać wysoką rangę zawodowi kompetentnego i odpowiedzialnego administratora. Trzeba wreszcie wyraźnie rozgraniczyć kompetencje rozmaitych ośrodków władzy, których daleko idące zagmatwanie i pomieszanie prowadzi do powszechnej nieodpowiedzialności. Jeśli jakkolwiek nowa elita polityczna w Polsce potrafi oderwać się od drobnowieszczaństwa, zrezygnować z tradycyjnej zawiści o morgi, lepsze ubranie, zagraniczną kciekę itd., przedzierzgnąć pseudo-biurokratów (bo przecież trudno nawet mówić w Polsce o biurokracji w pruskim czy nawet francuskim wydaniu) w kompetentnych zawodowców, wtedy dopiero dla nauki zabłyśnie zielone światło.

Aleksander MATEJKO

Amerykańskie Związki Zawodowe a polski Grudzień

REZOLUCJA RADY WYKONAWCZEJ CENTRALI
AMERYKAŃSKICH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH AFL-CIO
Z DN. 19 LUTEGO 1971 R. W SPRAWIE POMOCY DLA
POLSKICH ROBOTNIKÓW WALCZĄCYCH O CHLEB
I WOLNOŚĆ

Polscy robotnicy podjęli ponownie rewolucyjną walkę przeciwko ekonomicznemu i politycznemu uciskowi narzuconemu Polsce przez dyktatorski reżym wspierany przez Sowietów. Wysoka podwyżka cen mięsa i innych artykułów żywnościowych wprowadzona na krótko przed świętami Bożego Narodzenia stała się iskrą zapalną. Iskra ta doprowadziła do masowych strajków i demonstracji na Wybrzeżu Bałtyckim. Naród polski, a w szczególności robotnicy, z nienawiścią przyjmują zależność ich kraju od Związku Sowieckiego. Nie byli oni w stanie znieść dłużej komunistycznej tyranii, chronicznego gospodarczego zastoju, które doprowadzają do ustawicznego braku żywności przy równocześnie rosnących cenach. Dlatego wyszli na ulicę.

Dopiero wówczas, gdy czołgi, interwencja wojska i milicji okazały się niewystarczające dla zdławienia robotniczej rewolty, rząd, celem uspokojenia wzburzonej opinii, obiecał podnieść płace najniższej uposażonych i zwiększyć dodatki rodzinne.

Jako członek, kontrolowanej przez Moskwę, Rady Wzajemnej Pomocy

Gospodarce, Polska sprzedaje Rosji towary poniżej cen światowych, płacąc przy zakupach — wyższe. Nawet komunistyczni przywódcy zmuszeni byli przyznać, że ich polityka wzmoczonego eksportu żywności odbywała się kosztem ograniczania elementarnych potrzeb ludności. Pogarszając i bez tego trudną sytuację żywnościową, rząd polski zaniedbywał udzielania pomocy wsi od momentu, gdy w roku 1956 rozpadły się gospodarstwa spółdzielcze, a ziemia stała się z powrotem własnością indywidualnych rolników. W takiej właśnie sytuacji przywódcy partyni, nie wyłączając Gierka, zadekretowali zwwyżkę cen podstawowych artykułów żywnościowych od 10 do 20 %, obniżając jednocześnie ceny lodówek elektrycznych i telewizorów, znajdujących głównie nabywców wśród małej części lepiej uposażonej ludności.

W Polsce, podobnie jak w innych krajach rządzonych przez komunistów, gospodarka narodowa nie była w stanie dostarczyć elementarnych artykułów konsumpcyjnych szerokim rzeszom ludności pracującej. Co więcej, w Polsce tak jak i we wszystkich innych państwach rządzonych totalitarnie nie ma wolnych związków zawodowych, które mogłyby bronić interesów robotniczych. Tak zwane polskie „związki zawodowe” są zwykłymi agencjami rządowymi, służącymi do wykonywania poleceń wszechpotężnej Partii komunistycznej — PZPR (dop. red.). W dniu 12 grudnia 1970 roku — na 2 dni przed krwawym stłumieniem rewolty robotniczej, kierownictwo „Związków Zawodowych” zadeklowało w programie nadanym przez warszawską rozgłośnię Polskiego Radia pełne poparcie dla podwyżki cen, wyjaśniając zgodnie z wytycznymi Partii, że „nowa polityka cen ma na celu zmianę struktury spożycia”. Nic dziwnego, że przywódcy takich „związków zawodowych” nie mogą liczyć na zaufanie polskich robotników, nie mówiąc już o poparciu ze strony prawdziwych związków zawodowych w jakimkolwiek kraju. Jednym z głównych żądań wysuwanych w czasie grudniowej Rewolty było powołanie do życia „niezależnych związków zawodowych odpowiedzialnych wyłącznie wobec klasy robotniczej”.

Przyczyny i skutki kryzysu w Polsce wskazują jasno na antyludzkie oblicze systemu komunistycznego. Baza społeczno-ekonomiczna panowania Partii — system gospodarczy jest nieuleczalnie chory i notorycznie niewydajny.

Żadna „zmiana warty”, ani administracyjne zarządzenia lub próby znalezienia „koźłów ofiarnych”, ani nawet tymczasowa rezygnacja ze znielowanego „planu bodźców ekonomicznych” nie są w stanie postawić na nogi chronicznie kulejącego systemu i zaopatrzyć ludność w odzież, żywność oraz dostarczyć coraz bardziej potrzebnych mieszkań. Jedynie wolność polityczna może stać się środkiem wiodącym do dobrobytu i rzeczywistego postępu społecznego.

Kraj nasz darzył zawsze przyjaźnią i gorącą sympatią Naród Polski, który dał Ameryce wiele wybitnych postaci, które przyczyniły się do naszej potęgi gospodarczej i postępu. Starając się pomóc innym krajom, Stany Zjednoczone kierowały się zawsze zasadą, że „głód nie zna polityki”. W tym duchu 50 lat temu rząd Stanów Zjednoczonych powołał do życia „Amerykański Program Pomocy”, by ratować miliony głodujących Rosjan. Rząd Stanów Zjednoczonych zaofiarował wówczas cierpiącym głód Rosjanom żywność i lekarstwa, nie kierując się żadnymi względami politycznymi i bez żadnych uprzednich propozycji ze strony władz sowieckich. Warto przypomnieć, że władze sowieckie oceniły wówczas wysoko ten bezinteresowny pełen zrozumienia potrzeb ludzkich akt, realizowany pod kierownictwem niezjącego obecnie Herberta Hoovera, zaś ówczesny Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, Włodzimierz Lenin oświadczył, „że naród sowiecki nigdy nie zapomni pomocy udzielonej mu przez ludność Stanów Zjednoczonych”.

Zasady udzielonej wówczas pomocy mogą obecnie posłużyć dla naszego kraju jako wzór dla zorganizowania podobnego programu dla ludności pol-

skiej, cierpiącej na chroniczny brak żywności i odzieży. W tej sprawie zwracamy się do Rządu Federalnego, by rozpatrzył nasze propozycje, których realizacja przyczyni się niewątpliwie do wzmocnienia więzi między narodami i podniesienia dobrobytu.

Rada Wykonawcza AFL-CIO kieruje jednocześnie apel do Wolnych Związków Zawodowych na całym świecie, aby podjęły one wszystkie możliwe kroki dla uwolnienia z aresztów tych polskich robotników, którzy zostali uwięzieni za udział w grudniowych demonstracjach.



Oświadczenie złożone przez Josepha Currana, przewodniczącego Związku Zawodowego Robotników Żeglugi Morskiej Stanów Zjednoczonych. Joseph Curran jest ponadto wice-przewodniczącym amerykańskiej Centrali Związków Zawodowych AFL-CIO. J. Curran stwierdził co następuje:

„Przemawiając w imieniu amerykańskich robotników żeglugi morskiej, oświadczam, że popieramy walkę robotników polskich zarówno jeśli chodzi o jej metodę jak i cel, którym jest poprawa warunków pracy i stworzenie wolnych związków zawodowych, reprezentujących ich interesy.

Chcemy zapewnić polskich robotników, że w pełni rozumiemy problemy, w obliczu których stoją. W przeszłości walczyliśmy o te same cele i dlatego obecnie solidarnie stoimy za nimi, wspierając ich również w walce o prawo do swobodnej krytyki tego wszystkiego, co jest ze szkodą dla ludzi pracy i całego Polskiego Narodu”.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIŃĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25.00.

Sprawy i troski

Nowa emigracja

Przez dworce Niemieckiej Republiki Federalnej przejeżdża dziennie kilkaset pociągów. Ludzie, wysypujący się z nich na perony nie budzą żadnego zainteresowania: zaafierowany tłum, który śpieszy do wyjścia. Od dwóch miesięcy jednak dworzec w Hanowerze przyjmuje niecodziennych podróżnych. Pisze o nich niemal codziennie prasa niemiecka. Oczekują na nich dziennikarze telewizji amerykańskiej i szwajcarskiej.

Ich kamery skierowane są na zatrzymujący się krótko w Hanowerze express Moskwa-Paryż. Od końca stycznia po dzień dzisiejszy wysiada z niego, niemal codziennie, od 20 do 40 ludzi, którzy nigdzie się nie śpieszą. Trzymają kurczowo w ręku jedną, lub dwie walizki, czasem sznurami przewiązane, często przypominające wieśniacze tobołki. Zawierają one zresztą cały ich dobytek. Stoją ci ludzie na peronach, rodziny całe ze zmęczonymi podróżą dziećmi, bezradni, zagubieni w tym obcym dla nich świecie. Rozglądają się wokoło, szukając tych, którzy powinni przecież ich oczekiwać. Jakże jednak ich rozpoznać? Nie widzieli się przez 25 lat. Cwierć wieku — to szmat czasu, który przeorywa ludzkie twarze, rzeźbi je zmarszczkami. Cwierć wieku — to okres, w którym dziecko staje się dorosłym człowiekiem.

Peron pustoszeje, pozostaje tylko ta grupa, która tworzy jakiś żywy obraz, reprezentujący Wschodnią Europę. Przygląda jej się z napięciem czterdziestoletni, tęgawy i łysiejący już Niemiec. Ubrany odświętnie, nosi nawet ostatniej mody szeroki krawat w kolorowe, geometryczne wzory i takąż chusteczkę w kieszeni marynarki. Brak mu odwagi, by spytać kogoś z przyjezdnych o nazwisko tej, którą oczekuje. Zresztą wielu z przyjezdnych nie zrozumie nawet jego pytania po niemiecku. Stoi zatem bezradny. Dopiero potem instynkt jakiś, więzami krwi dyktowany, kieruje go w stronę staruszeńki w chustce na głowie. Patrzy na siebie przez chwilę i dopiero później, ze łzami w oczach pada ją sobie w objęcia: matka i syn. Staruszka ociera oczy. „Nie

mam prawa płakać — mówi. — Słuchaj, podczas tej srogiej zimy w 1945 roku, na dworcu śląskim czekałam z sześciorgiem dzieci na odjazd ostatniego pociągu na Zachód. To oczekiwanie trwało 25 lat. Troje dzieci pozostało w Polsce, córki wyszły za mąż, urodziły się. A my dziś jesteśmy z tobą. Więc nie będę płakać”.

Siostry całują się z bratem. Nie mówią nic, trudno przecież odnaleźć wspólny język po tylu latach rozłąki.

Dziennikarz amerykańskiej telewizji NBC komentuje:

„W ciągu ćwierćwiecza wyrosło nowe pokolenie, które o wojnie uczy się z podręczników historii. A tymczasem rodziny, w wyniku tej zawieruchy światowej rozdzielone, dziś dopiero mogą się połączyć. Decyzja władz polskich, zezwalająca na wyjazd do NRF Polaków pochodzenia niemieckiego jest pierwszym, konkretnym rezultatem Ost-Politik, wschodniej polityki kanclerza Brandta”.

Od końca stycznia, kiedy zaczęto realizować postanowienia układu polsko-niemieckiego z grudnia 1970 roku, do końca marca przyjechało z Polski 5.250 osób. Według obliczeń niemieckiego Czerwonego Krzyża — do końca 1972 — 98 tysięcy ludzi, posiadających w Niemczech rodziny powinny otrzymać zezwolenia na wyjazd. W roku 1973 ma się rozpocząć emigracja Polaków, pochodzenia niemieckiego, których liczba jest nieokreślona. Niemcy twierdzą, że jest ich 750.000, co wydaje się bardzo wątpliwe. Ta kategoria ludzi napotka z pewnością na większe trudności i to z obu stron: polskiej, która twierdzi, iż w kraju nie ma mniejszości niemieckiej, oraz niemieckiej — której władze staną wobec problemu przyznania im obywatelstwa ludziom, którzy w 1945 ich się wyparli, przyjmując obywatelstwo polskie. Mając zbyt świeżo w pamięci okres okupacji hitlerowskiej, woleli wówczas pozostać w obozie „zwycięzców”, wyobrażając sobie iż w ten sposób wybiorą łatwiejsze życie i moralne i materialne. Lata osobistych doświadczeń przekonały ich, że to oni zostali zwyciężeni, że pokonały ich niedostatek, brak perspektyw jutra oraz praca ponad siły, która pozwala z trudem wiązać koniec z końcem.

Jeśli kanclerz Brandt stawiał uparcie sprawę powrotu rozdzielonych rodzin, to czynił to zarówno ze względów humanitarnych, jak i politycznych, by przekonać o słuszności swej polityki silną przeciw opozycję. Ważny to bowiem argument, jaką siłą moralną reprezentują Niemcy Zachodnie, skoro wraca się tam po latach jako do ukochanej ojczyzny. Jaką są dziś potęgą gospodarczą — mimo systematycznej zwyczajki cen, na którą narzekają obywatele — skoro stanowią przedmiot marzeń setek tysięcy ludzi. Prasa niemiecka codziennie wygrywa z ręcznie te dwa aspekty zagadnienia. Mający nastąpić przyjazd Polaków pochodzenia niemieckiego sprowadzi się natomiast w dużej mierze do zagadnienia emigracji gospodarczej, niewątpliwie ważnej dla NRF, która zagranicznej siły roboczej ogromnie potrzebuje, ale obecnie zapotrzebowanie się w nią na rynku włoskim, hiszpańskim, portugalskim, jugosłowiańskim. Odpadnie wówczas strona humanitarna.

Scena powitania matki z synem na dworcu hanowerskim była wyjątkowym wydarzeniem. Przybywający z Polski imigranci posiadają w Niemczech bliższe, lub dalsze rodziny. Ale jeśli niektórzy pozuwają się nawet do więzów pokrewieństwa, to nie przyjeżdżają do Hanoweru na powitanie swych bliskich: nie zawsze można zwolnić się z pracy i za dużo taka sentymentalna eskapada kosztuje.

Są jednak i tacy Niemcy, którzy, lękając się widać brania sobie na kark ubogich krewniaków, odmówili wręcz wysłania im zaproszeń. Uczynił to za nich niemiecki Czerwony Krzyż, który od pierwszej chwili zajmuje się uchodźcami. Od razu na peronie apetyczne dziewczęta z opaskami Czerwonego Krzyża rozdają przybyłym paczki żywnościowe: pomarańcze, tabliczki czekolady, paczki fistaszków. Zadzwolenie maluje się na twarzach obdarowanych. Rzucają się zwłaszcza na pomarańcze, obdzierają ze skórki, zaczynają jeść. „Jezus Maria — mówi jedna z kobiet — tak od razu dają nam delikatesy”... Widząc to, jakiś Niemiec, ze złotym łańcuchem na wydatnym brzuchu — prawie karykatura tych, których widziało się na obrazkach w monachijskich piwiarniach, rozwinął „prywatną inicjatywę”. Pogrzebał w torbie podróżnej, wyjął z niej dwa batoniki roztopionej czekolady i dał je dwum ładnym dziewczynom. „To mój własny prezent dla was” — powiedział.

Ten gest rozwiązał języki. Zaczęto opowiadać dzieje wyjazdu. Ludzie, czekający teraz na pociąg do obozu we Friedlandzie mają za sobą na ogół te same doświadczenia. Od lat starali się o możliwość emigracji, lecz podania ich pozostawały bez odpowiedzi. Stopniowo tracili nadzieję, że kiedyś je w ogóle otrzymają. Po wizycie w Polsce kanclerza Brandta, zaczęli zezwolenia otrzymywać. Wówczas pozostało im zaledwie kilka dni czasu, by zdobyć 5.000 złotych na opłacenie paszportu. W ciągu 4 tygodni musieli zlikwidować cały dobytek. „Jesteśmy zrujnowani, jak po pożarze” — mówią. Nawet za bilet przez Niemiecką Republikę Demokratyczną — którego cena wynosi 45 marek — musieli zapłacić w dewizach. „Wydatki, związane z wyjazdem przedstawiają równowartość roku pracy w Polsce całej mojej 5-osobowej rodziny” — kończy swe opowiadanie technik ze Śląska.

Każdy emigrant ma prawo zabrać ze sobą, poza ubraniami, pościel, rower, auto na jedną rodzinę (co w wypadku tych ludzi jest pozwoleniem czysto teoretycznym) jedną książkę na osobę, oraz kolekcję znaczków pocztowych, której wartość nie przekracza 5.000 złotych. Bardziej „uprzywilejowani” są chłopcy-emigranci. Każdy z nich może wywieźć 100 kg. zboża, 25 kg. mięsa i 100 kg. kartofli. Wolno również chłopskiej rodzinie zabrać ze sobą dwie krowy, parę koni oraz 5 baranów, lub kóz. Te bagaże wysyłane są bezpośrednio do Friedlandu. W ciągu lutego przyjęto tam 53 wagony towarowe. Wyładowano z nich m.in. 4 konie, 4 krowy, 5 prosiaków, 10 kaczek, 9 gęsi i 11 indyków.

Pierwszym etapem uchodźców z Polski jest Friedland. Obóz ten zresztą ma już swą historię w Niemczech. Od czasu zakoń-

czenia wojny przewinęło się przezeń dwa miliony trzysta tysięcy osób: pierwsi wysiedleńcy polscy z lat 1945/46, a następnie Niemcy jeńcy wojenni, którzy powrócili ze Związku Sowieckiego. Dzisiaj jeżdżą tam dwa pociągi, które przywożą Polaków. Pierwszy — o świcie — gdy obóz spowity jest w gęstej mgłę o 5.45 rano. Drugi — o 17.04, gdy kończy się niemal dzień pracy. Co dzień przybywa przeciętnie 50 osób, które kierowane są do baraków. Obóz dysponuje liczbą 1038 łóżek.

Pod żadną szerokością geograficzną nie ma przyjemnych obozów. Bez względu na to, czy otoczone są, czy też nie — drutami kolczastymi — zawsze nasuwają myśli o tragedii i upokorzeniu człowieka. Zwłaszcza nam, Polakom. Zwłaszcza obozy, znajdujące się na niemieckiej ziemi. Nie wiem, co czują uchodźcy, ale ogarną mnie beznadziejny smutek. Jakby czytając w mych myślach, kolega ze szwajcarskiej telewizji powiedział: „Ci ludzie mieszkają tu w lepszych warunkach, aniżeli robotnicy włoscy, przyjeżdżający na pracę do Szwajcarii”.

Istotnie, obóz jest dobrze wyposażony. Czyste baraki. Łóżka, ustawione systemem piętrowym, ale dobrze działające urządzenia sanitarne. Nowoczesne budynki administracji. Zresztą uchodźcy przebywają we Friedlandzie tylko 3 dni. Przewodniczący Niemieckiego Czerwonego Krzyża określa go dlatego mianem „drzwi do wolności”.

Pierwszy dzień poświęcony jest na oględziny lekarskie. Drugiego dnia rozpoczyna się pielgrzymka po biurach. Najpierw rejestracja: skąd uchodźca przybył i gdzie ma rodzinę. Następnie zwraca im się koszty wyjazdu oraz rozdziela zapomogi finansowe. Wreszcie etap najważniejszy: porady i dyskusje na tematy zawodowe, na temat ich przyszłości. Odbywają się one z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Pracy oraz prowincji NRF. To nie koniec formalności. Trzeba jeszcze przejść przez specjalne biuro, które określa się mianem „service des recherches”. Jako pretekst służy pytanie; czy uchodźca zna jeszcze Niemców w jego mieście, czy osiedlu. W istocie rzeczy wypytuje się go o najdrobniejsze szczegóły, dotyczące sytuacji politycznej i gospodarczej oraz warunków życia w danym miasteczku, wsi, osiedlu oraz w dawnym miejscu pracy. Ci, którzy kierują rozmową — notują przy tym, każde słowo „przesłuchiwanego”. Te formalności wydawały się np. niektórym zagranicznym dziennikarzom nieco do śledztwa zbliżone...

Te rozmowy stały się ostatnio bardzo ważne. Olbrzymia większość przybywających — to ludzie zdolni do pracy, ale nie posiadający określonego zawodu. Firmy w Niemieckiej Republice Federalnej uganiają się za zagraniczną, bo tańszą, siłą roboczą. Kręcą się więc po Friedlandzie specjaliści agencji, ofiarowujący od razu uchodźcom pracę za 1.000 marek miesięcznie. Wielu przybyłym wydaje się, że jest to rozwiązanie jak z bajki, nie marzyli nawet o tak astronomicznych poborach. Gotowi są natychmiast akceptować, nie dyskutując w ogóle warunków pracy. Władze NRF zdają sobie sprawę, że w wielu wypadkach stanowi to czys-

ty wyzysk. Przedstawiciele Ministerstwa Pracy wyjaśniają: „Nie śpieszcie się, rozważcie otrzymane propozycje. Starajcie się najpierw opanować zawód i — co bardzo ważne — język. Wtedy zarobicie więcej i zdołacie się lepiej prządzić. Poza tym lata pracy w Polsce będą wam zaliczone do otrzymania emerytury. Macie prawo do ubezpieczeń społecznych”.

Specjalną „nagonkę” urządził się na przyjeżdżających tu chłopów. Prawda, że liczba ich jest znikoma. Jak dotąd przybyło zaledwie 45 wieśniaków z Dolnego Śląska. Wyławia się ich przed obozem w Friedland, ofiarowując 500 marek miesięcznie, mieszkanie i utrzymanie. Wieśniacy niemieccy chętnie zdobyliby takich parobków, bo muszą sami uprawiać ziemię zajmować się gospodarstwem. Imigranci ze wsi wykazują jednak rozwagę chłopka-roztropka. Są z natury nieufni. Zresztą większość ludzi młodych woli pójść do pracy w przemyśle.

Z dużą pomocą przychodzi im, przebywający w obozie ksiądz Scheperians. Stara się o pracę dla chłopów w fabrykach, zapewniając im jednocześnie posiadanie własnego gruntu — około 800 m². Urządził w ten sposób wiele osób w Westfalii i Dolnej Saksonii.

Wreszcie uchodźcy rozjeżdżają się. Rozpoczyna się dla nich najtrudniejszy okres wejścia w nowy świat. Znikomy procent jedzie do swych rodzin. Rodzice znajdują oczywiście miejsce w domach dzieci. Ale jeśli nawet o rozdzielone rodzeństwo chodzi, nie zawsze jest to łatwe. Dzieli ich te ćwierć wieku, lata inaczej przeżyte, różna mentalność. Niektóre zamieszkałe w Niemczech rodziny przyjmują krewnych uprzejmie, pokazują nowy samochód, kolorową telewizję. Czasami poczuwają się do obowiązku, by dać krewniakom kilkadziesiąt marek. I bardzo często na tym się kończy.

Przewodniczący niemieckiego Czerwonego Krzyża podkreślił w rozmowie z zagranicznymi dziennikarzami zimne przyjęcie, jakiego doznają uchodźcy. Ciężar urzędzenia ich spada więc na władze NRF. Pierwszy problem — to kursy języka niemieckiego: *jedna trzecia przybyłych* — to młodzież, która nie ukończyła jeszcze lat 18-tu i *która mówi wyłącznie po polsku*. Okazuje się, że za mało jest dla nich szkół językowych, nie przewidziano tej trudności. Dorośli — na ogół zdolni do pracy (zwraca uwagę znikoma liczba emerytów i ludzi starych) nie mają zwykle żadnego zawodu. Według oficjalnych statystyk w lutym przyjechało 3.730 osób. W tej liczbie 1.155 kobiet oraz 1.370-ro dzieci i młodzieży. Uderza zupełny brak inteligencji. W liczbie 1.115 mężczyzn zdolnych do pracy, znajdował się jeden lekarz, jeden ekonomista, 8 techników i 9 nauczycieli. 58 górników, 47 hutników, 73 szoferów ciężarówek; ci mogą ewentualnie znaleźć od razu pracę. Trudniej jest urządzić urzędników — było ich 123 — kilkuset niewykwalifikowanych robotników, drobnych kupców. Stosunkowo niewiele ludzi wysłano do Północnej Nadrenii-Westfalii, resztę rozproszono po Hesji, Dolnej Saksonii i Bawarii. Mieszkają tam w

małych mieszkaniach dla cudzoziemców, które stanowią zresztą rodzaj obozów-osiedli

Dzieci tych, którzy przez 25 lat oczekiwali na odjazd na Zachód pociągu ich marzeń, wychowały się w Polsce, tam ukończyły szkoły, przeżyły pierwszą miłość. Ich psychika, sposób życia i myślenia ukształtowały się na ziemi śląskiej, opolskiej lub mazurskiej. Dlaczego więc tę ziemię porzucili?

Przybyli niechętnie odpowiadają na to pytanie. Niektórzy tłumaczą, że nie chcą narażać rodzin, które pozostały w Polsce. Innym trudno to sprecyzować. Niektórzy mówią naiwnie, zwłaszcza tutejszym dziennikarzom: „Niemcy Zachodnie — to kraj z bajki. Są tu wielkie supermarkety, gdzie można wszystko kupić bez ogonków. Miasta olśniewają neonami, a na drogach sznury samochodów”. Są nawet i tacy, którzy już we Friedlandzie pytają o cenę auta, mając zbyt entuzjastyczne przeświadczenie, że rok pracy w Niemczech przyniesie im więcej korzyści materialnych, aniżeli 10 lat przepracowanych w Polsce...

Zaledwie kilka osób dodało, że przyjechali do Niemiec, bo panuje tu wolność słowa i demokracja. Brak tej wolności w kraju nie wpłynął zasadniczo na ich decyzje. Ci ludzie nie będąc oczywiście zwolennikami obecnego ustroju, trzymali się z dala od problemów „wielkiej polityki”, są tacy, którzy nie znają nawet nazwisk obecnych przywódców politycznych, jeszcze mniej orientują się w ich rozgrywkach o władzę i w ogólnej sytuacji politycznej. Z wyjątkiem kilkunastu osób spośród 5.000 przybyłych nikt nie wysuwa na pierwszy plan poczucia przynależności do Niemiec.

W istocie rzeczy jest to bardzo swoista emigracja gospodarcza. Rodzaj nowoczesnych saksów. Emigracja szarych, zwykłych, prostych ludzi, zwabionych mitem dobrobytu Niemiec i korzystających z pretekstu rodzinnych powiązań. Część młodzieży uniwersyteckiej i niektórzy intelektualiści opuścili Polskę po wydarzeniach marca 1968 roku. Lata 1969-70 były okresem masowych wyjazdów Żydów polskich, czy może ściślej „żydowskich Polaków”, najczęściej starych komunistów. Dzisiaj przyjeżdżają ze Śląska, z ziemi opolskiej, z Mazurów ci, którzy mieli dość zmagania się z trudnościami dnia powszedniego, z brakiem perspektyw na lepsze jutro. Porzucili polski dom nie tyle za chlebem, ile z chęci posiadania samochodu, wygod, i po to, żeby nie stać w ogonkach za podstawową żywnością.

Niemal wszyscy uchodźcy szczerze i najwięcej mówią o tych sprawach. 72-letnia Gertruda Niemczyk, poza radością połączenia się wreszcie z synem, razem z którym mieszka w Selle, ciągle jeszcze jest pod wrażeniem pomarańczy i bananów, które może kupić w najmniejszym sklepie.

39-letnia Erna Kuczka z Ratyborza mieszka na razie z mężem i trojgiem dzieci w miniaturowym mieszkanku, w obozie, koło Hamburga. Co jej się najwięcej w Niemczech podoba? To, że nie traci czasu na wystawianie w ogonkach i że nie wraca do domu z pustym koszykiem. O czym marzy? O własnym, obszer-

nym mieszkaniu i samochodzie. Czy nie są to zbyt ambitne marzenia? Nie, bo w tym kraju warto oszczędzać. Po miesiącu pobytu pani Kuczka kupiła już elektryczny młynek do kawy. A dwóch sąsiadów z tego samego osiedla zaoszczędziło w ciągu roku 16 tysięcy marek, nie odmawiając sobie ani jedzenia, ani drobnych, gospodarskich inwestycji.

Z małymi zmianami, zależnymi od osobistych gustów, niemal wszyscy uchodźcy odpowiadają w ten sposób. Z wyjątkiem młodych, którzy — na szczęście — mają większe ambicje. 18-letnia Krystyna Leńska, która wraz z matką i bratem przyjechała ze wsi mazurskiej do swej babki, zamieszkałej koło Hanoweru, studiuje z zapałem język niemiecki. Chce zostać tłumaczką z polskiego i rosyjskiego. Pozwoli jej to nie tylko umieć zarabiać, ale umożliwi kontakty ze światem.

Zaoszczędzi jej to — być może — wielu rozczarowań. Tych, jakich doznał młody technik — prosił mnie o nie podawanie jego nazwiska:

„Pracuję i materialnie dobrze mi się powodzi. Mam samochód. Ale czuję się niezmiernie samotny, brak mi środowiska. Owszem, po pracy idziemy z kolegami na sznapsa. Kiedy widać już dno butelki, oni wracają do swych domów. Patrzę na mnie tak, jakby chcieli powiedzieć: 'Co ten Polak tu między nami szuka?'”.

Proces asymilacji, przeniknięcia w nowy świat — dla wielu uchodźców nie będzie łatwy. Już dziś zwracają na to uwagę niemieckie gazety. Kiedy bowiem robotnicy z Opola przywykną do zewnętrznej dekoracji i migocących neonów, kiedy potrafią już zrozumieć programy niemieckiej telewizji — to dostrzegą zapewne, że i tutaj trzeba stać w ogonkach do kas supermarkatów, że nie wszystko złoto, co się świeci. Że pieniądź nie zawsze może dać szczęście, no i zastąpić ciepło ludzkich kontaktów. Zwłaszcza w nocy, gdy nie będą mogli od razu zasnąć po zbyt ciężko przepracowanym dniu — odczują pewnie samotność.

Będą i tacy, którzy się przyzwyczajają i z radością staną się śrubkami społeczeństwa konsumpcyjnego. Za rok, gdy ich znowu odwiedzę, napiszę o tym.

Alicja ZAWADZKA-WETZ

Tragiczna śmierć Marka Orłańskiego

W dniu 19 lutego 1971 roku zmarł tragicznie w Stockholmie 23-letni Marek Eliaż Orłański. Już jako kilkunastoletni uczeń Marek Orłański ujawnił nieprzeciętne zdolności matematyczne.

Będąc w IX klasie liceum został laureatem ogólnopolskiej olimpiady matematycznej. Od najmłodszych lat interesował się również logiką i filozofią i posiadał w tej dziedzinie dużą erudycję.

Jako student wydziału matematyczno-fizycznego. U.W. należał do tych, z którymi wiązano duże nadzieje dla nauki.

Jesienią 1967 roku przemęczenie studiami i zły stan nerwów zmusiły Marka do wzięcia urlopu zdrowotnego. W okresie tego urlopu, w dniu 10 marca 1968 Marek został aresztowany na ulicy, przewieziony do Pałacu Mostowskich a następnie do więzienia na ul. Rakowieckiej. Dostarczone natychmiast prokuratorom Jerzynie i Banasińskiemu zaświadczenia lekarza-psychiatry, stwierdzające, że przetrzymywanie Marka Orłańskiego w więzieniu może mieć katastrofalne skutki, wywarło efekt wręcz odwrotny: tym bardziej znęcano się nad bezbronnym, chorym chłopcem. Umieszczono go w celi z kryminalistami-psychopatami, którzy znęcali się nad politycznym współwięźniem. Jak wiadomo, w Polsce Ludowej więźniowie polityczni lokowani są celowo wśród kryminalistów we wspólnych celach.

Systematycznie bity i łżony przez współwięźniów, a w dodatku moralnie torturowany przez oficera śledczego, niejakiego Orlewicza, Marek szybko wpadł w stan odrętwienia. W dniu 5 maja 1968 wezwani przez prokuraturę lekarze orzekli stan groźny, wymagający leczenia szpitalnego. Pomimo to, pozostawiono Marka w celi więziennej do 17 czerwca.

Dopiero gdy życiu Marka zagrażało już bezpośrednio niebezpieczeństwo, przeniesiono go 17 czerwca 1968 do szpitala więziennego w Grodzisku Mazowieckim, gdzie umieszczono go z przebywającymi na obserwacji psychopatami-przestępcami kryminalnymi. W momencie przewiezienia go do Grodziska, ten i tak wątły młodzieniec ważył o 15 kg mniej niż w chwili aresztowania. Stracił mowę, był w stanie całkowitego odrętwienia („stupor”), nie przyjmował pokarmów i był sztucznie odżywiany.

Dopiero z początkiem lipca 1968 przewieziono go w stanie przedagonialnym do Instytutu Neurologiczno-Psychiatrycznego w Pruszkowie. W normalnej klinice stan jego zaczął ulegać stopniowej poprawie.

Dnia 2 sierpnia 1968 roku raz jeszcze zjawił się przy łóżku funkcjonariusz MO z zamiarem przeprowadzenia przesłuchania. Wbrew ustnemu i pisanemu oświadczeniu lekarza, stwierdzającemu, że w obecnym stanie zdrowia pacjenta mogłoby to stan ten pogorszyć i reaktywować objawy choroby. Przesłuchanie to milicjant przeprowadził. Pogorszenie istotnie nastąpiło. Jednakże troskliwa opieka pełnych poświęcenia lekarzy i pielęgniarek przywróciła Marka do stanu, który dawał nadzieję wyzdrowienia.

W grudniu 1968 nastąpiło postanowienie o „umorzeniu postępowania karnego” przeciwko Markowi z powodu braku znamion przestępstwa i... z powodu choroby.

Sytuacja w Polsce oraz troska o zdrowie syna skłoniła rodziców Marka do emigrowania (ojciec Mieczysław Orłański był w okresie 1956-1958 redaktorem „Zeszytów Teoretyczno-politycz-

nych” a następnie serii „Biblioteki myśli socjalistycznej”, w której wyszło szereg niedostępnych dotąd tekstów).

Po przyjeździe do Szwecji w 1969 roku Marek Orłański został poddany leczeniu a następnie podjął studia uniwersyteckie. Rozwinięta w więzieniu choroba nie przestała go dręczyć. W okresach nawiedzającej go manii prześladowczej wszędzie dopatrywał się prześladowających go agentów. Zmarł tragicznie 19 lutego 1971 r.

Socjaldemokratyczny *Aftonbladet* poświęcił mu artykuł poświęcony. Podtytuł brzmi: „Jego los musi być znany światu!”.

(Osoby odpowiedzialne za los Marka Orłańskiego: prokuratorzy Jerzyna, Kosztirko, oficerowie śledczy Orlewicz i Banasiński, władze więzienne na Mokotowie).

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

O religii bez namaszczenia

Kościół i Państwo

Na marginesie wizyty marsz. Tito u Papieża *Le Monde* z 31 marca rb. zamieścił artykuł, z którego przytaczamy wyjątki, więcej niż aktualne dla czytelnika polskiego:

Marszałek Tito w czasie audiencji u Papieża w dn. 29 marca rb. poruszył szereg zagadnień wagi międzynarodowej, przypomniał m.in. że stały pokój w Europie i w basenie morza Śródziemnego jest dla Jugosławii sprawą pierwszorzędnej wagi i podkreślił, że zarówno Watykan, jak i Jugosławia pragną rozwiązać te najważniejsze zagadnienia na zasadach pokojowej koegzystencji.

„Zarówno ton, jak i okoliczność w jakich odbyła się rozmowa Papieża z marsz. Tito wykluczają wniesienie czegokolwiek nowego do sprawy. Tym niemniej niektóre przemilczenia wydają się dziwne. I tak, nie znajdujemy w oświadczeniu Papieża żadnej aluzji do socjalistycznego charakteru reżymu jugosłowiańskiego, zaś Tito ze swej strony nie poświęca ani słowa religijnemu charakterowi misji Pawła VI. Papież, powołując się na fakt, że występuje jako „kapłan” i „pasterz” przypomina, że akcja Kościoła przebiega na zupełnie innej płaszczyźnie niż akcja Państwa, ale w żadnym momencie nie robi aluzji do specyficznej natury konfrontacji pomiędzy katolicyzmem i marksyzmem.

Tak samo marszałek Tito, ograniczając się do uznawania Watykanu jako normalnego Państwa, które nie posiada żadnej misji kościelnej, unika jakiegokolwiek wzmianki o gminach katolickich w Jugosławii. A zatem „polityka wschodnia” wprowadzana przez Watykan, a jednocześnie faworyzowana przez Belgrad, zmierza do zawarcia porozumienia o materialnej koegzystencji.

Jest zrozumiałe że — biorąc pod uwagę to co się działo dawniej — Watykan i Belgrad cieszą się ze spotkania, które komentują pozytywnie; ale u źródła, na szczeblu diecezji i grup, które chciałyby odnowić Kościół w duchu synodu, echa są mniej przychylnie. Albowiem porozumienie dwóch Państw, dwóch aparatów rządowych, nie rozwiązuje wszystkich trudności, a nawet przeciwnie stwarza nowe problemy. Odzyskawszy swobodę działania, biskupi jugosłowiańscy rządzą w sposób autorytatywny i nie zawsze akceptują ewolucję młodych księży i wojujących katolików w kierunku autonomii myśli i czynu. Z drugiej strony odpowiedzialni za politykę jugosłowiańską, obawiają się aby kontestacja religijna nie odbiła się na porządku społecznym. Kons-

tatuje się zatem, iż, paradoksalnie, dawne przymierze „dwóch mieczów”: Kościoła i Państwa odradza się między władzą marksistowską a hierarchią katolicką.

To niebezpieczeństwo zarysowuje się również i w niektórych innych demokracjach ludowych, mianowicie w Polsce. Jeżeli „polityka wschodnia” jest usprawiedliwiona w tej mierze, gdzie obrona instytucji kościelnych jest konieczna, aby zachować wolność praktykującego katolicyzmu, byłoby paradoksalne, aby wewnętrzna ewolucja Kościoła Katolickiego w tym, czy innym kraju była hamowana przez wzajemne gwarancje, jakie sobie dają z jednej strony państwo socjalistyczne, a z drugiej Watykan, uważany za najwyższą zwierzchnią instancję dla wszystkich katolików”.



Ostatnio bawił w Rzymie kard. Wojtyła i biskupi Kominek i Dąbrowski. Faktycznym powodem przyjazdu było omówienie stosunków: „Kościół-Państwo”. Według pogłosek kursujących w Watykanie ma wkrótce zjawić się w Rzymie minister Spraw Zagranicznych PRL, celem oficjalnego zaproszenia Papieża do Polski. Mówi się że sprawa wizyty Papieża jest praktycznie przesądzona i ma nastąpić w dniach 13-15 sierpnia br. Program przewiduje 13 sierpnia — Katowice, 14 — Oświęcim, 15 — Częstochowa. Mówi się również że beatyfikacja O. Maksymiljana Kolbe miałaby miejsce 15 sierpnia w Częstochowie.

W Rzymie przewiduje się również nawiązanie w najbliższym czasie stosunków dyplomatycznych między Watykanem i PRLelem. Problemem jest osoba ambasadora Papée gdyż mimo wszystko Watykan nie lubi stawiać sprawy brutalnie. Przewiduje się więc że amb. Papée otrzyma albo wysokie odznaczenie papieskie, lub też jakieś stanowisko w Watykanie.

Złudzenia Watykanu co do Rosji nas nie dziwią. Jest to tradycja od czasów Possewina. Sytuacji nie zmienił fakt, że po wzięciu msgr. Casaroli w Moskwie patriarcha Nikodem mianował biskupami prawosławnymi poza granicami ZSSR dwóch eks-księży katolickich, co było skwitowaniem awansów, w stylu najbardziej klasycznym, jeśli idzie o Rosję. Bardziej nas dziwi stanowisko kard. Wyszyńskiego po doświadczeniach z PZPR w 1956 r. *Tertium gaudens* jest niewątpliwie tow. Gierek, który co prawda nie jest w stanie poprawić sytuacji gospodarczej kraju ani załatwić postulatów robotniczych ale z dużą zręcznością próbuje rozładować nastroje emigracji i inteligencji krajowej sławną odbudową Zamku w Warszawie, a obecnie neutralizuje wizytą Papieża polski Kościół i katolików. Co na tym zyska Kościół i polskie społeczeństwo? W każdym razie konsulaty PRL w Stanach Zjednoczonych już rozpoczęły naciski na liczne polonijne biura podróży, by organizować wycieczki do Polski w sierpniu, z okazji wizyty Papieża.

Polemiki

Polacy nie gęsi i swój marksizm mają

Mikołaj Rej wypominał swoim rodakom, że Polacy nie gęsi i język swój mają. Ale to było w okresie Renesansu. W wieku XX-tym trzeba, być może, przypominać rodakom, że Polacy nie gęsi i filozofię swoją mają. Stworzyliśmy polską filozofię analityczną, polską fenomenologię i w ostatnich czasach polski marksizm. Jaki jest cel podkreślania tych faktów? Chyba taki, że chociaż jesteśmy narodem prowincjonalnym, to wcale nie głupim. I również taki, że gdy historia da nam pół szansy (jak to było w okresie dwudziestolecia) potrafimy stworzyć rzeczy znakomite, nie tylko na polską miarę, ale na miarę światową. Tak było w filozofii, ale nie tylko w filozofii. I chyba też taki że odpowiedzialność za polską myśl i polską kulturę ponosimy my wszyscy: tutaj na Zachodzie i tam w kraju. W okresie gdy myśl twórcza jest dławiona w kraju, szczególna odpowiedzialność spada na nas tutaj. Musimy kontynuować tradycje polskiej kultury, bo kultura ta nie została stworzona przez jakiś tam reżym polityczny, ani nie jej celem jest służyć jakiemuś tam reżymowi. Reżymy przychodzą i odchodzą. Kultury trwają. Aby jednak wiedzieć co kontynuujemy, trzeba wiedzieć co stworzyliśmy. Stąd też konieczność przypomnienia od czasu do czasu, że „Polacy nie gęsi...”.

Moim zadaniem nie jest zestawienie katalogu naszych osiągnięć twórczych w różnych dziedzinach, ale przedyskutowanie kilku punktów spornych w odniesieniu do polskiego marksizmu, szczególnie w świetle uwag p. Szperaka zamieszczonych w *Kulturze* (nr 9, 1970), a zatytułowanych „Dygresje o polskim marksizmie”. W samej rzeczy tytuł jest trafny, bo większość uwag p. Szperaka odpowiada podstawowej definicji terminu „dygresje”: „uwagi nie na temat”. Jego uwagi dają asumpt do przedyskutowania kilku metodologicznych problemów dotyczących filozofii i polskiej filozofii w szczególności.

Moja główna teza jest prosta: do czego zabraliśmy się w filozofii w wieku XX-tym tam stworzyliśmy rzeczy bardzo dobre i znakomite, tzn. oryginalne: w filozofii analitycznej, w fenomenologii i w marksizmie. Nawet w marksizmie! Jest to szczególnie godne podkreślenia, ponieważ jak wiadomo marksizm jest filozofią jałową. Stworzenie rzeczy nowych, interesujących i oryginalnych w ramach systemu myślowego (jakakolwiek jego denominacja), który stara się stłumić każdy załazek myśli twórczej w imię panującego dogmatu jest osiągnięciem niezwykłym. I to też starałem się wykazać w swej książeczce *Polski marksizm* („Odnova”, Londyn 1969). Książeczka ta nie jest i nie była zamierzona jako studium marksizmu w Polsce od początku istnienia marksizmu. Jej tytuł wtedy musiały być inny: „Marksizm w Polsce”, a nie „Polski marksizm”. Wyraźnie to podkreślałem pisząc, że chodzi mi o pokazanie jak dogmatyczny i wulgarny marksizm stalinowski został przekształcony w nową twórczą tradycję. Starałem się pokazać, innymi słowy, że nawet w odniesieniu do wojowniczego i dogmatycznego marksizmu, żywotność i twórczy charakter zastanej myśli filozoficznej były takie, że nawet ten marksizm został przekształcony w interesującą i owocną doktrynę filozoficzną.

Kołakowski, Schaff, Baczek, Morawski nie wyskoczyli sroce spod ogona, aby rzecz ująć lapidarnie. Nie zostali oni też ukształceni przez „przodującą myśl nauki radzieckiej”. Odnosi się to także do Schaffa, który spędził lata w Związku Sowieckim, gdzie uzyskał dwa wyższe stopnie naukowe. Jest rzeczą godną podkreślenia, że Schaff napisał swoją pracę na stopień doktora nauk (stopień uważany za wyższy niż nasza docentura) na temat: słowa i rzeczy. W pracy tej, jak to łatwo widać, kontynuował on tradycje filozofii semantycznej; tradycję filozofii w atmosferze której wzrastał we Lwowie, w tym samym Lwowie, w którym Kazimierz Twardowski założył twierdzę polskiej filozofii analitycznej, z której to wyszli najznakomitsi polscy filozofowie analityczni. Jest również rzeczą godną podkreślenia, że Schaff uzyskał stopień doktora nauk gdy miał lat 31. Był on w tym czasie szóstym, który uzyskał ten stopień w filozofii i ze względu na jego młody wiek było to nie lada sensacją. Być może niewiele to znaczy. Niewiele, ale coś znaczy. To, że Schaff zajmował się tak intensywnie semantyką w latach 1950-tych i 1960-tych też coś znaczy. Tradycje semantyczne polskiej filozofii analitycznej przeniknęły do fenomenologii, do filozofii katolickiej i oczywiście do marksizmu. Fakty te trzeba widzieć w pewnej perspektywie, aby nie ulec zaślepieniu i twierdzić, że ponieważ Schaff jest politrukiem, wobec tego przez samą tę definicję nie mógł wnieść żadnych nowych myśli do marksizmu. Nie wolno Schaffa rozgrzeszać za wczesne lata 1950 kiedy to był politrukiem *par excellence*. Ale też nie wolno zapominać, że napisał on szereg dzieł filozoficznych, w których to starał się klarować i rozwijać problemy filozoficzne. Nie miejsce tu na ocenę w jakim stopniu był oryginalnym myślicielem, a w jakim stopniu tylko popularyzatorem, inte-

grującym idee innych i wyrażającym je w języku marksistowskim.

Pan Szperak uważa, że opinia Schaffa, że człowiek może być sfrustrowany i wyobcowany nie tylko w społeczeństwie kapitalistycznym, lecz także w społeczeństwie socjalistycznym i że zadanie filozofii polega na dostrzeżeniu tej alienacji jest „śmiesznie dyletancka”.

Otóż opinia ta ani nie jest śmieszna, ani dyletancka. Jaką burzę wywołała w Polsce książka Schaffa (*Marksizm a jednostka ludzka*), w której ta opinia była wyrażona; p. Szperak chyba sam pamięta. Można argumentować, że my wszyscy na Zachodzie o tym wiedzieliśmy i wiemy. Ale rzecz nie w tym! To co wiedzą burżuazyjni teoretycy i „zbląkane” burżuazyjne masy o marksizmie, to się dla marksistów nie liczy. Prawdziwa wiedza o marksizmie jest w posiadaniu jedynie samych marksistów. Szczególnie tych, którzy żyją w ustroju socjalistycznym. Z tego też wynika, że gdy przodujący filozof marksistowski powiada, że procesy alienacyjne mogą być plagą społeczeństwa socjalistycznego, to ma to zupełnie inną wymowę, niż gdy „burżuazyjna propaganda” mówi te same rzeczy.

Przyznanie, że człowiek może być wyobcowany w społeczeństwie socjalistycznym jest zaprzeczeniem jednego z fundamentalnych dogmatów marksizmu. Konsekwencje tego zaprzeczenia mogą doprowadzić do nieobliczalnych skutków dla całego systemu. Stąd też taka żywiołowa reakcja przeciw Schaffowi ze strony ortodoksyjnych marksistów i zawodowych aparatczyków. Stąd też wielkie zainteresowanie książką Schaffa na Zachodzie; została ona przetłumaczona na angielski i wydana przez McGraw Hill, w Ameryce, w roku 1970.

Pan Szperak powiada że cytowanie opinii Schaffa i przemilczanie olbrzymiego dzieła życia Ossowskich jest szokujące. Nie jest. Dlaczego? Dlatego, że Ossowscy nigdy nie byli marksistami *per se*. Jestem niezmiernie wdzięczny Aleksandrowi Zabrzeskiemu, który w uwagach „Spór o polski marksizm” (*Kultura*, nr 12, 1970) wykazał dobitnie że jest nieporozumieniem zaliczanie Stanisława Ossowskiego między marksistów jako takich. Jeszcze większym nieporozumieniem byłoby traktowanie Marii Ossowskiej jako marksistki. Mam najgłębsze uznanie dla jej znakomitych dzieł: *Podstawy nauki o moralności*, *Motywy postępowania*, *Socjologia moralności*. Dałem temu wyraz w swej książce *Polish Analytical Philosophy* (London-New York 1967), gdzie traktowałem ją jako przedstawicielkę polskiej filozofii analitycznej. Pan Szperak najwidoczniej nie zadał sobie trudu przeczytania tego, co tam napisałem o Marii Ossowskiej. Sugerowanie, jak to robi p. Szperak, że dorobek Marii Ossowskiej należy do marksizmu jest po prostu bzdurą.

Warto tutaj też przypomnieć pewne fakty z lat 1950-tych, kiedy to niektórzy przedwojenni profesorowie filozofii starali się znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia i kompromisu z marksistami, Ossowscy byli nieprzejednani. Dla nich — żadnych kompro-

misów. W roku 1957, już po wielu wielkich zmianach, kiedy to Leszek Kołakowski został redaktorem naczelnym *Studiów Filozoficznych*, zwrócił się on do Ossowskiego o artykuł. Ossowski zapytał: „Czy Pan jest teraz redaktorem naczelnym?” „Tak”, odpowiedział Kołakowski. „A to dobrze. A czyje nazwisko będzie figurowało jako redaktora w tym numerze w którym ukaze się mój artykuł”? Schaff był redaktorem przed Kołakowskim. „Ciągle jeszcze Schaffa”, odpowiedział Kołakowski. „A to w takim razie nie będzie artykułu”. Epizod ten jest charakterystyczny dla postawy Ossowskich, dlatego też wart jest zanotowania.

Słusznie powiada Aleksander Zabrzeski w swoich uwagach „Spór o polski marksizm”, że „problemy alienacji jednostki w ustroju socjalistycznym — które poruszył Schaff w swojej filozofii człowieka — nigdy by nie powstały bez wyników pracy socjologów polskich”. Jak najbardziej się zgadzam. Jak zaznaczyłem wcześniej Kołakowski, Schaff, Morawski, Baczo nie przyszli na świat jako *deus ex machina*. Poza każdym z nich stoi przynajmniej jeden z wybitnych polskich filozofów z okresu 20-lecia. Poza każdym z nich stoi tradycja twórczej myśli polskiej która ich dogłębnie kształtowała. Jak pisałem w *Polskim marksizmie* jednym z największych paradoksów jest to, że jedna z naczynych formuł marksizmu — „byt określa świadomość” — została znakomicie zilustrowana w Polsce przez polskich marksistów. Byt, tzn. cała tradycja kulturalna i myślowa, która panowała w Polsce, a która stanowiła jak gdyby bazę myślową zderzyła się z importowaną z zewnątrz ideologią marksistowską. Rezultat: tradycyjna myślowa kraju (baza) przekształciła świadomość (importowany wulgarny marksizm).

O Kołakowskim po raz drugi

Niewątpliwie jednym z najbardziej fascynujących zjawisk polskiego marksizmu jest Leszek Kołakowski. Każdy kto pisze o polskim marksizmie musi wspomnieć jego nazwisko. Jednak wszyscy ci piszący (nie wykluczając niżej podpisanego) nie bardzo sobie dają radę z interpretacją marksizmu Kołakowskiego. *Nota-bene* p. Szperak popełnia niewiarygodną woltę, gdy cytuje moje opinie o Kołakowskim. Zamiast dać cytaty z tego co mówię o Kołakowskim, wydziera jedno zdanie z tekstu, potem drugie z innej części tekstu, potem trzecie z jeszcze innej części, potem czwarte znowu z innej. W ogóle ta metoda cytowania przypomina mi do złudzenia wczesne lata 1950-te w Polsce, kiedy to preparowało się cytaty, ucinano gdzie trzeba i pokazywało, że filozofowie burżuazyjni mówią głupstwa. Również Pana Szperaka insynuacje, że aby mówić o marksizmie trzeba wejść w gąszcz marksistowskiego żargonu, trzeba zaakceptować marksistowską „siatkę odniesień”, trzeba nawiązać do ustalonej tradycji marksistowskiej w interpretowaniu tekstu — brzmią jakoś znajomo. Gdzieś to już słyszeliśmy. Nie zamierzam polemizować z poszcze-

gólnymi wołtami Pana Szperaka. Niech mi wolno będzie zanotować zasadniczą sprzeczność w jego opiniach, dotyczących mojej książki. Pisze on:

- I. „Autor nie dał nawet najbardziej zwięzłego zarysu doktryny marksistowskiej, takiego, jaki zmieściłby się na paru stroniczkach i od biedy wystarczyłoby, aby na jego tle pokazać, w jakim zakresie polska myśl marksistowska wykazywała oryginalność; bez tego wszystkie wywody autora wiszą w powietrzu”; (str. 119).

W końcu swego szkicu p. Szperak jednak zaznacza że:

- II. „Autor celnie pisze że [marksizm rozwinięty w Polsce] jest *polskim* marksizmem, ponieważ problemy czerpane z doktryny Marksa są w nim traktowane z metodologicznym kunsztem i przenikliwością, które cechują polską filozofię analityczną. „Marksizm ten”, kontynuuje p. Szperak, „nie jest bowiem, jak z tego wynika, stekiem głupstw i nie należy go przekazywać w tej ostatniej formie”. (str. 127).

Jak to więc jest? Moje opinie „wiszą w powietrzu”, ponieważ nie ustaliłem uprzednio siatki odniesień i nie dokonałem korelacji nawet dla siebie, a potem raptem p. Szperak znajduje że zgadza się z moimi opiniami — na czym polega oryginalność polskiego marksizmu. Jeśli moje opinie wiszą w powietrzu, to p. Szperak nie powinien był być w stanie uchwycić tych opinii, a cóż dopiero zgodzić się z nimi.

Ale powracając do Kołakowskiego, który, jak powiedzieliśmy, jest jednym z najbardziej fascynujących fenomenów polskiej filozofii XX wieku, jeśli nie polskiego marksizmu tego wieku. Wielu uważa, że polski marksizm, to Kołakowski. Nie jest to słuszne. Kołakowski nie jest jedynym. Jest on częścią całej tradycji. I w pewnym sensie zasadniczo odbiega od tej tradycji. Jest jakoś inny. Ta inność sprawia, że nie bardzo go można zakwalifikować w obrębie istniejących kategorii marksizmu. Z tego też powodu w swoim studium nazwałem go: kantowskim, egzystencjalistycznym, humanistycznym, analitycznym, spiritualnym MARKSISTĄ. Zaznaczyłem także, że cechy te zazwyczaj wzajemnie się wykluczają. U Kołakowskiego natomiast należą one do jednej *struktury* i że struktury tej jak dotąd nie potrafimy nazwać, właściwie zdefiniować.

Teraz zastanawiam się, czy struktura ta w ogóle należy do marksizmu. Kołakowski był wychowany w systemie marksistowskim, kształtowany przez ten system i do pewnego punktu rozwijającym ten system. Ale powstaje zasadnicze pytanie czy rzeczywiście *reprezentował* ten system. Sam fakt, że mówił iż jest marksistą jeszcze o tym nie świadczy. Powstaje pytanie, czy też nie można lepiej uchwycić osobliwości filozofii Kołakowskiego, gdy się na nią spojrzy z „drugiej strony”, w innym układzie odniesienia, przyjmując inne współrzędne, wychodząc z założenia że marksistą nie był w pewnym zasadniczym sensie tego słowa, i że wobec tego marksizm był dla niego nie celem, ale środkiem. Środkiem dla jakiego celu? Tu też tkwi sedno zagadnienia.

Nie roszczę sobie pretensji, ani do dogłębnego traktowania tematu, ani do posiadania prawdy. To co chcę powiedzieć traktuję jako hipotezę. Otóż moją hipotezą jest, że Leszek Kołakowski właściwie nie był marksistą. Czymże wobec tego był dla niego marksizm? Wielką przygodą. Fascynacją i urzeczeniem. Instrumentem, który miał służyć *nadrzędnemu* celowi. Tym nadrzędnym celem był postęp ludzkości; wydobycie ludzkości ze szponów, które wokół siebie zacisnęła. Chodziło więc o wyzwolenie duchowości człowieka spod degradacji i przymusu fizycznego i moralnego. Chodziło o wyzwolenie jednostki w sensie najgłębszym, metafizycznym. Marks i marksizm wydawały się Kołakowskiemu instrumentem tego wyzwolenia. Nie chodziło tu o koncepcję społeczną człowieka. Nie było takiej koncepcji jednej i konsekwentnej u samego Marksa. Było ich wiele nakładających się na siebie i rozchodzących się.

Dla Kołakowskiego i jemu podobnych marksizm był uniwersalnym modelem, w ramach którego zdawało się że będzie można osiągnąć zbawienie jednostki i społeczeństwa. Marksizm, aby podkreślić raz jeszcze, był pomyślany jak instrument, jako *środek* dla realizacji wielkiej wizji człowieka, wizji *par excellence* utopijnej i mistycznej.

Próby „oczyszczenia” marksizmu był podejmowane przez Kołakowskiego już wcześniej — w połowie lat 1950-tych. Wtedy to wyróżnił on marksizm młodzieżowy, marksizm od brudnej roboty, i marksizm; i szczególnie zwalczał ten od brudnej roboty. Wydaje się, że wtedy jeszcze Kołakowski wierzył że istnieje, przynajmniej jako możliwość ten „dobry” marksizm. W latach 1960-tych dojrzeła świadomość Kołakowskiego, że ten „dobry” marksizm to złudzenie. Z tej świadomości rodzi się radykalna próba spiritualizacji marksizmu. Jakże sobie można wytłumaczyć „spiritualne” eseje Kołakowskiego, szczególnie jego „Jezus Chrystus — Prorok i Reformator” (*Argumenty*, Grudzień 1965) jeśli nie jako wyraźną deklarację, że wartości duchowe ludzkości są ważniejsze niż jakikolwiek system filozoficzno-ideologiczny, że systemy filozoficzne, które wiodą do zaprzeczenia tych wartości same są bezwartościowe.

Gdy spojrzymy na rozwój filozofii Kołakowskiego jako na rozwój filozofii dążącej do wyzwolenia duchowego, filozofii, której celem jest kontynuacja wartości duchowych ludzkości, wtedy wyjaśnia się wiele pozornych sprzeczności. I wyjaśnia się cała wielka przygoda Kołakowskiego z marksizmem. Kołakowski zafascynował się marksizmem, ponieważ myślał, że jest on najlepszym, a być może jedynym, środkiem poprzez który wartości duchowe ludzkości będzie można kontynuować. Pragnął oczyścić ten marksizm, aby mógł służyć wspomnianemu celowi. Potem gdy środki oczyszczenia zupełnie zawiodły, następuje próba spiritualizacji marksizmu, próba przepojenia go substancją, która wydaje się obcą duchowi marksizmu. Jest to okres rozbratu Kołakowskiego z marksizmem, okres uświadomienia sobie, że realizacja uduchowienia człowieka i marksizm są nie do pogodzenia,

okres uświadomienia, że wszystkie modele marksizmu są nie do przyjęcia. Wobec tego musimy szukać realizacji tych wartości poza marksizmem. Jeśli moja rekonstrukcja jest właściwa, to Kołakowski nie jest już marksistą i jest tego świadomy. Jego rozbrat z marksizmem jest jednak innego rodzaju niż ten, jaki obserwowaliśmy u tak wielu rozczarowanych marksistów, którzy łamali lutnię, gdy nie wydawała tonów jakich pragnęli i którzy z marksistów stawali się anty-marksistami; z komunistów, anty-komunistami. U Kołakowskiego jest inaczej. On przeszedł przez marksizm i następnie dokonał transcendencji tego marksizmu. Reprezentuje on — jeśli można to ująć paradoksalnie — po-marksistowski marksizm.

Problem tu jednak jest nie lada. My definiujemy świat, ale też jesteśmy przez świat definiowani. Kołakowski przez długi czas definiował marksizm. Teraz jest przez marksizm, lub też w odniesieniu do marksizmu, definiowany. Jeśli tak, to jest mu niezmiernie trudno stwierdzić, że nie jest marksistą. Takie stwierdzenie mogłoby go doprowadzić do wniosku że właściwie marksistą nigdy nie był. Dlaczego? Dlatego że nie było w marksizmie tego potencjału, który w nim widział. Wziął on bowiem marksizm za model uniwersalnego wyzwolenia, a model ten okazał się modelem uniwersalnego uciemiężenia.

Historia Kołakowskiego jest o tyle pouczająca, że wskazuje na pewne ogólne charakterystyki marksizmu. Charakterystyki te są w jego osobie skonkretyzowane, udratyzowane, przedstawione w postaci osobistego dramatu. Dramat Kołakowskiego jest dramatem całego marksizmu. Wszystko to, co się powiedziało o marksizmie Kołakowskiego można powiedzieć o marksizmie w ogóle.

Marksizm był wielką przygodą intelektualną ludzkości. Wydawał się modelem uniwersalnym, poprzez który można będzie dokonać odnowy społeczeństwa i ludzkości. Wiadomo było od początku, że w modelu były pewne skazy. Cały wysiłek został skierowany na zasklepienie tych pęknięć. Przez dziesięciolecia i pokolenia starano się ulepszyć marksizm, znaleźć te dobre i prawdziwe jego warianty. Gdy wszystkie możliwości twórcze marksizmu wypaliły się, gdy nadzieje pokładane w nim nie tylko nie objawiły żadnych znamion stawania się rzeczywistością, ale wprost przeciwnie coraz bardziej okazują się mrzonką, dochodzi się do wniosku, że cały model był zasadniczo pęknięty, nieuleczalnie chory; że właściwie nie był w tym marksizmie tych wielkich potencji, w które się go inwestowało.

Widziany w tym świetle, marksizm Kołakowskiego jest rekapitulacją rozwoju całego marksizmu. Jeśli ta rekonstrukcja jest właściwa, to objaśnia ona jeszcze jeden aspekt filozofii Kołakowskiego. Kołakowski, będąc już na Zachodzie, był zapraszany i prowokowany, aby stał się przywódcą neo-marksizmu, aby założył pismo skupiające wokół niego osobistości i nadzieje tego „dobrego” marksizmu. Jeśli jest on przeświadczony że marksizm jako forma intelektualna i ideologiczna wypalił się — a taką

jest moja teza — to nie kwapi się do przyzdywania na zgłiszczach systemu, który nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Leszek Kołakowski jest własnością Leszka Kołakowskiego. Ale także Leszek Kołakowski jest własnością kultury polskiej i być może kultury uniwersalnej. Leszek Kołakowski pisze obecnie historię filozofii marksistowskiej od zarania jej dziejów. Czego tam nie będzie, jedynie Pan Bóg i Wszyscy Święci raczą wiedzieć. Można też przypuszczać, że będzie to porachunek z marksizmem, z epoką i z samym sobą. Być może będzie tam odpowiedź dlaczego marksizm się wypalił, lub też dlaczegośmy się tak w niego zapatrzyli i zainwestowali w nim tak wiele, kiedy od samego początku było w nim niewiele. A być może będzie tam tylko usprawiedliwienie, że wszyscy marksiści będąc zaślepieni marksizmem są usprawiedliwieni, bo było to „święte” zaślepienie.

Kim jest Kołakowski jako filozof? Przyszli historycy być może wykażą, że nie był on najznakomitszym polskim filozofem marksistowskim XX wieku, ale najgłębszym polskim filozofem katolickim XX wieku, że w nim dokonała się fuzja filozofii chrześcijańskiej i marksistowskiej w sensie zupełnym, że mimo swego pozornie anty-Chrystusowego nastawienia, był jedynym prawdziwym filozofem katolickim — katolickim w sensie chrześcijaństwa uniwersalnego, a nie instytucji Kościoła, że był odnowicielem duchowej tradycji chrześcijaństwa w sensie najgłębszym: w sensie Chrystusowym. Ale to są na razie supozycje. Historia wykaże ich słuszność, lub niesłuszność.

Henryk SKOLIMOWSKI

Kronika kulturalna

Wokół minionego Konkursu

Raz na pięć lat niemal wszyscy Polacy stają się melomanami, Dni Konkursu Chopinowskiego wyzwalają muzyczne temperamenty, powodują gorące dyskusje w pracy i w domu, stają się animatorem narodowo-kulturalnego snobizmu. Codzienne radiowe i telewizyjne sprawozdania, obszernie recenzje i omówienia w prasie zdziwić mogą kogoś, kto wie, że kultura, a szczególnie muzyka, stanowią margines zainteresowań środków masowego przekazu.

Miniony Konkurs był imprezą przedziwną. Z jednej strony uderzał wysoki, niespotykany dotąd poziom artystyczny, z drugiej raziła nieudolna organizacja, stosowanie nieznanymi bliżej kryteriów przy kompletowaniu składu jury, nieporozumienia w ocenie gry poszczególnych kandydatów, słaba forma polskich uczestników, która potwierdziła — obserwowany od kilku, a może nawet kilkunastu lat — kryzys polskiej pianistyki.

Dla bystrych obserwatorów krajowego życia muzycznego wydaje się zresztą nie ulegać wątpliwości, że jedną z przyczyn wymienionego kryzysu stały się właśnie ostatnie Konkursy Chopinowskie, a mówiąc ściślej sposoby wyłaniania polskiej ekipy narodowej, metody przygotowywania młodych kandydatów i fortepianowa pedagogika, której celem zdaje się być nie kształcenie wszechstronnych pianistów, a Konkurs, jako cel sam dla siebie.



Konkurs Chopinowski jest imprezą monograficzną, poświęconą jednemu kompozytorowi. Wydawałoby się, że o udział w nim ubiegać się powinni młodzi ludzie szczególnie predystynowani do odtwórstwa muzyki autora „Mazurków”. Każdy styl muzyczny wymaga odmiennego temperamentu wykonawczego, innej psychiki, rozmaitych wewnętrznych skłonności. Nawet najwięksi pianiści wszystkich czasów nie obracają się z równą swo-

bodą po całej literaturze fortepianowej: unikają grania muzyki, która im „nie leży”. W Polsce jest inaczej — każdy pianista-wirtuoz musi grać Chopina. Jeśli w myśli zrobi się błyskawiczny przegląd nazwisk krajowej czołówki pianistycznej, okaże się, że wszyscy przeszli swojego czasu przez sito krajowych eliminacji chopinowskich i etapy samego Konkursu. *Konkurs Chopinowski to jedyna droga dla debiutującego pianisty do osiągnięcia sukcesów krajowych i zagranicznych.* Trzeba sobie wybić z głowy granie Beethovena i Ravela, Bacha i Brahmsa, choćby bowiem ktoś znakomicie interpretował muzykę tych mistrzów, zostanie zmuszony karykaturalnymi stosunkami do grania Chopina. Pianistów nie mogących się poszczycić tytułem chopinowskiego laureata nie znają filharmonie i orkiestry symfoniczne, nie interesuje się nimi PAGART¹. Skazani są na granie po małych salkach, częstokroć klubach i świetlicach. Pedagodzy rozpoczynający w Wyższych Szkołach Muzycznych pracę z młodymi studentami zdają się nie dostrzegać indywidualnych skłonności i stylistycznych predyspozycji ucznia, walczą z nimi i niszczą je. Znane jest powiedzenie pewnego czołowego polskiego pedagoga, który nie chciał do swej klasy przyjąć młodego, zupełnie wyjątkowo uzdolnionego ucznia, mówiąc: „Być może, że jest on bardzo zdolny, lecz nigdy nie zrobię z niego laureata Konkursu Chopinowskiego”. Konkurs stanowi jedyny cel, jego istnienie zabija zdrowy rozsądek. Nie wiadomo, czy decydują tu niezdrowe ambicje czołowych pedagogów, ich megalomania, czy nieumiejętność uczenia czegokolwiek poza Chopinem. Pianistyczna młodzież dostrzega owe anomalie, stara się więc, jak może, o to, by znaleźć się w narodowej ekipie chopinowskiej. Ci, których natura obdarzyła predyspozycjami zgoła innymi niż chopinowskie, zmieniają zainteresowania, wyzbywają się zalet najcenniejszych: indywidualności. Rezultatem takiego działania staje się zatracenie własnej osobowości artystycznej. Młodzież — często zupełnie świadomie — popełnia rzecz karygodną: wykoślawia i traci talent. Debiutujący pianiści powiadają, że lepiej niż nie grać w ogóle, jest kiepsko grać Chopina.

Konkurs Chopinowski jest jedyną drogą na estrady. Innej po prostu nie ma. Symptomatyczne są przykłady pianistów, którzy osiągnęli sukcesy na zagranicznych konkursach pianistycznych. Ich osiągnięcia przeszły niemal niezauważone i skwitowane zostały kilkoma grzecznościowymi propozycjami koncertowymi. Dziś o wirtuozach tych nie pamięta nikt. Przed młodymi kandydatami do Konkursu Chopinowskiego otwierają się zaś sale filharmonii, anteny radia i telewizji. O tych, którzy od czasu do czasu wyjeżdżają do Paryża, Moskwy, Genewy i Monachium nie pisze się entuzjastycznych artykułów, nie prezentuje szerszej publiczności. Trudno zrozumieć istotę owej dyskryminacji i przedziwnej, choć samobójczej „polityki”. Jej mechanizmy nie jest zresztą dla wtajemniczonych nie do przeniknięcia.

1. Polska Agencja Artystyczna.

Kilka lat po wojnie, kilku krakowskich wówczas pedagogów stworzyło rewelacyjną w swoim mniemaniu metodę poruszania się po klawiaturze fortepianu. Metoda owa, nazwana później przez kogoś żartobliwie „państwową”, wbrew zdrowemu rozsądkowi przyjęła się szeroko w szkołach muzycznych wszystkich szczebli. Rezultatem stało się utracenie biegłości palcowej, bez której, jak wiadomo, nie ma czego szukać na światowych estradach. To nie był jedyny grzech tej garstki wszechpotężnych pedagogów. Nie wiadomo z jakiego powodu poczęli oni uzurpować sobie prawa do kształtowania oblicza muzyki Chopina. W ich wyobraźni zrodził się jedyny możliwy, ich zdaniem, schemat interpretacji Chopina. Do dziś niewiele się zmieniło, pedagodzy ci twardo egzekwują od własnych uczniów wypieszczony przez siebie obraz chopinowskiej muzyki, nie zgadzają się na inne propozycje, niszczą i tępią je. W swoim zaślepieniu przypominają — przepraszam za porównanie — konie z klapami na oczach. Bowiem minęły czasy Paderewskiego i Hoffmana, dziś w świecie tworzenie chopinowskiego monopolu zakrawać może na dobry żart. Polska pedagogika fortepianowa jest widać pełna humoru, szkoda że cierpi na tym dobre imię polskiej pianistyki.

Miniony Konkurs potwierdził niestety powyższe spostrzeżenia. Nasza ekipa narodowa zaprezentowała — z dwoma wyjątkami samorodnych talentów, których nie zdołano jeszcze popsuć — poziom po prostu opłakany. Wyimaginowana polska szkoła pianistyczna i polska szkoła interpretacji Chopina poniosły kompromitującą klęskę, okazały się fikcjami.

Ta porażka rzucała się w oczy szczególnie jaskrawo w bezpośrednich zmaganiach z pianistami innych krajów, którzy zaprezentowali poziom niesłychanie wysoki.

Powyższa, może nieco zbyt rozbudowana dygresja, dotycząca stosunków panujących w polskiej pianistyce, tylko z pozoru nie wiąże się bezpośrednio z minionym Konkursem. Bez zrozumienia metody działania polskich pedagogów nie można bowiem zrozumieć istoty poważnych niedociągnięć minionego Konkursu.

O światowej randze międzynarodowego konkursu muzycznego decydują dwa czynniki: poziom kandydatów i — w znacznie większej części — skład jury. Konkurs nasz miał dotychczas doskonałą markę, w jury zasiadali tacy pianiści i pedagodzy jak Rubinstein, Benedetti, Tagliaferro, Webster, Levy, Askenase, Zechi, Małcużyński, Horszowski — nazwiska, z którymi każdy muzyk musi się liczyć. Obawiam się, iż dobra opinia należy do pięknej przeszłości. Skrupulatnie zadbano bowiem o to, by ostatni konkurs ogołocić ze szczytów z wielkich nazwisk i muzycznych autorytetów. Jeden Małcużyński nie czyni wiosny. Do udziału

w pracach jury zapraszano według przedziwnego „rozdzielnika” Ministerstwa Kultury, który apriorycznie zakładał, że do Warszawy musi przyjechać pedagog lub pianista z Bułgarii, Czechosłowacji, Wschodnich Niemiec, Rosji, a nawet z kraju, o którym nie bardzo wiadomo, czy w ogóle gra w nim ktoś na fortepianie — Libanu. Wybrano najmniejszą linię oporu. Wiadomo, że Rosja dysponuje kilkoma pianistami o międzynarodowym rozgłosie — Richterem, Gilesem, Kererem. Dlaczego nie zwrócono się do nich? Największą potęgą pianistyczną w świecie są aktualnie Stany Zjednoczone, uczą tam gry na fortepianie Rosina Lhevinne, Gorodnitzky, Webster, Münz, Fleicher — dlaczego z zaproszeniem wystąpiono jedynie do tego ostatniego? Wynikła zresztą z tego niespodziewana i dość przykra historia. Fleicher, zgodziwszy się uprzednio na udział w pracach chopinowskiego jury, w ostatniej chwili odmówił, motywując w dyplomatyczny sposób swoją decyzję chorobą. Mam wrażenie, że każdy z wielkich pianistów, zapoznawszy się ze składem warszawskiego jury, postąpiłby podobnie, nie chcąc kompromitować się publicznie poprzez fakt równania swojej klasy z poziomem Libańczyka, czy Bułgarki. Nie zwrócono się do żadnego z wielkich artystów, „zapomniano” o Beneditim, Serlinie, Arrau, że nie wspomnę o wyklętym Rubinsteinie.

Oczywiście nie można wymagać, by lista jury zawierała jedynie nazwiska sław. Chodzi jednak o to, by kilka znakomitości — samym faktem udziału w pracach komisji sędziowskiej — podniosło autorytet jury i samego Konkursu.

Wydaje się, że skompletowanie jury, które w listopadzie ubiegłego roku do góry nogami zdołało wywrócić prawidłowość wyników Konkursu, było niezmiernie wygodnym posunięciem dla polskich pedagogów. Wdzięczność zaproszonych jurorów mogła gwarantować wyższą punktację Polaków, umożliwić tworzenie bloków itp. Tym tylko bowiem można tłumaczyć oczywiste, a zupełnie niezasłużone, faworytowanie naszych kandydatów a tendencyjne obniżanie not groźnym konkurentom.

Ubiegłoroczne jury skompromitowało się nie tylko niekompetencją i tendencyjnością. Żenującymi imprezami były koncerty jurorów. Szczególnie przykro było obserwować twarze kandydatów Konkursu, którzy słuchając gry swoich sędziów wymieniali znaczące spojrzenia, a niejednokrotnie krztusili się ze śmiechu. Kompromitacją była szumna inauguracja Konkursu, podczas której jeden z polskich jurorów publicznie w gmachu Filharmonii Narodowej ćwiczył IV Symfonię Szymanowskiego. Sądzę, że już wówczas wielu kandydatów z pewną nieufnością poczęło odnosić się do składu jury.

Powiedziałem na wstępie, że takiej ilości znakomitych pianistów ubiegających się o palmę pierwszeństwa w Konkursie jeszcze w Warszawie nigdy nie mieliśmy. Sądzę, że gra niektórych młodych pianistów po prostu — choć wydać się to może nie-

prawdopodobne — nie mieściła się w akademickim i ciasnym pojmowaniu muzyki przez jury. Ramki, w które polscy pedagodzy usiłują od lat wtłoczyć muzykę Chopina, nie były zdolne pomieścić gry szczególnie utalentowanych kandydatów. Na zasadzie wdzięczności, a może sugestywnej fikcji „polskiej szkoły chopinowskiej”, wielu zagranicznych jurorów własne kryteria ocen upodobniło do polskich. Rezultat był opłakany.

Program talentów rozpoczął się od I etapu. To tu upolowano wybitnie utalentowane nasze polonijne rodaczki Janinę Fiałkowską i Marię Dianę Golabek. To tu, w I etapie w obłudny sposób obniżono punktację Niemcowi Zachariasowi i największemu chyba talentowi pianistycznemu, jaki zdarzyło mi się w ogóle słyszeć, Amerykaninowi Jeffreyowi Swannowi. Wydaje mi się, że kilku członków jury już od pierwszych przesłuchań zorientowało się, jakie niebezpieczeństwo grozi ze strony Amerykanów Axa i Indjica. Publiczność często zapomina o tym, że Konkurs składa się z trzech etapów, a ostateczny rezultat osiąga się dzięki łącznej punktacji wszystkich — jurorzy o tym pamiętają doskonale... Już na wstępie, w I etapie obniżyć można noty najgroźniejszym, a wysoko punktować własnych faworytów.

Najbardziej rzucającym się w oczy rezultatem masakry, dokonywanej pod osłoną regulaminowej tajemnicy, było niedopuszczenie do przesłuchań finałowych Zachariasia i Swanna. Młody, 18-letni Amerykanin kompletnie osłupiał, kiedy ogłoszono wyniki II etapu — tego rekordu jury chyba nic nie będzie w stanie pobić. Utrącenie Swanna było prawdziwie karkołomną sztuką. Następnego dnia wokół Filharmonii, a nawet wewnątrz niej studenci porozlepiali pracowicie wykaligrafowane plakaty: „Swann zwyciężcą — jury do domu!” Nic dodać, nic ująć.

Na szczęście nie zdołano — choć niewiele brakowało — pozabawić I nagrody świetnego, dojrzałego amerykańskiego pianisty Garricka Ohlssona. Oczywiście jury mogło dokonać i tego eksperymentu, obawiam się jednak, że wówczas publiczność mogłaby zdemolować Filharmonię. Kapitałnych Amerykanów Indjica i Axa sklasyfikowano na 4 i 7 pozycji, plasując przed nimi kandydatów, którzy nawet za lat kilkanaście nie będą grać tak jak Ax i Indjic podczas przesłuchań.

Nie wierzę w to, co po Konkursie głośno mówili kandydaci i obserwatorzy zagraniczni, że ich zdaniem porażka Amerykanów i Niemca Zachariasia była efektem odgórnego, politycznego nakazu. Wydaje się, że przyczyny są proste: skład jury, dość giętko pojęta etyka jurorów i idiotyczne faworyzowanie polskich kandydatów.

Aby w pełni przedstawić obraz ostatniej chopinowskiej afery, należy cofnąć się o kilka miesięcy poprzedzających Konkurs. Zabrało się wówczas trzech panów, aby na podstawie nadesłanych zgłoszeń decydować o tym, czy można kandydatów zakwalifikować, czy nie, do Konkursu Chopinowskiego. Ta trójka nieomylnych składała się z kompozytora, bardzo miernego pianisty i pedagoga oraz dyrektora Towarzystwa im. Fryderyka Chopina. Od-

rzucono wówczas — na jakiej podstawie nie wiem do dziś — kandydaturę około 40 osób. Sprawa trafiła do Międzynarodowej Federacji Konkursów Muzycznych, która zaprotestowała kategorycznie, choć po niewczasie, przeciwko podobnym praktykom.

Bardzo trudno jest zdobyć dobrą opinię, natomiast utracić ją znacznie łatwiej. Ranga Konkursu Chopinowskiego wydaje się być poważnie zagrożona. Sądzę, iż dwie zasadnicze sprawy wpłynęły ubiegłego roku na to, że Konkurs stał się widowiskiem żałosnym. O nieodpowiednim składzie jury już wspomniałem, lecz nawet wówczas kiedy zasiadać w nim będą prawdziwe autorytety, gruntowne uzdrowienie sytuacji zagwarantować może tylko system jawnej punktacji. Tu już nie można będzie robić szwindelków, ani grzeczności „ja tobie, ty mnie”, trzeba będzie wykazać się prawdziwą wiedzą muzyczną oraz artystycznym i humanistycznym rozumem.

Za niespełna 5 lat odbędzie się kolejny IX Konkurs im. Fryderyka Chopina. Wiele trzeba uczynić, by przywrócić tej imprezie zaćmiony głupotą i organizacyjnymi błędami należny jej blask. Symptomatyczna stała się reakcja polskiej krytyki i publicystyki muzycznej, która niemal jednogłośnie określała niektóre konkursowe wydarzenia mianem skandalu. Rozważa się obecnie w Polsce możliwości zmian regulaminowych. Proponuje się korekty repertuarowe, zmianę systemu punktacji. Sądzę jednak, że bez obiektywizmu i dobrej woli bezpośrednich organizatorów Konkursu — Towarzystwa im. Fryderyka Chopina — nie ma co marzyć o poprawie. Oczywiście interwencji czynników nadzorczych: Ministerstwa Kultury i Wydziału Kultury K.C. nie da się uniknąć — nawet impreza muzyczna z założenia jest polityczną — niechże ten wpływ będzie jednak najmniejszy.

Jerzy KOWALSKI

Komunikaty

KONKURS LITERACKI

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH NA UCHODŹTWIE I POLSKIE
KOMPANIE WARTOWNICZE I TECHNICZNE W NIEMCZECH
ogłaszają KONKURS NA POWIEŚĆ
z życia polskiej emigracji od 1940 roku do chwili obecnej.

Konkurs jest otwarty dla każdego Polaka piszącego po polsku. Nagrody ufundowane przez Polskie Kompanie Wartownicze i Techniczne w Niemczech:

- I. — £ 150
- II. — £ 100

III. — £ 65

IV. — £ 50 (przez Związek Pisarzy Polskich)

Ponadto, Związek Pisarzy postarał się, żeby prace nagrodzone lub wyróżnione ukazały się w odcinkach powieściowych *Dziennika Polskiego* w Londynie (według wyboru redakcji) za osobnym, jednorazowym honorarium.

Warunki konkursu:

1. Powieść prozą, 250-300 stron maszynopisu (quarto) pisana po jednej stronie, z podwójnym odstępem i marginesem.
2. Na konkurs mogą być nadsyłane tylko prace oryginalne, nigdzie dotychczas nie publikowane (nawet w fragmentach).
3. Prace pisane ręcznie nie będą rozpatrywane.
4. Prace muszą być podpisane tylko godłem; nazwisko i adres autora mają być załączone w zapieczętowanej kopercie, oznaczonej tym samym godłem.
5. Prace należy nadsyłać listem poleconym na adres: Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, 20 Princes Gate, London, S.W.7. z zaznaczeniem „Konkurs Związku Pisarzy”.
6. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 stycznia 1972 r. (obowiązuje data stempla pocztowego).

KLUBY PRZYJACIÓŁ KULTURY

KANADA

28 marca 1971 r. Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury w Toronto zorganizowało w miejscowym domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów wieczór, poświęcony teatrowi polskiemu w czasie okupacji. Wieczór opracowała i przygotowała artystka dramatyczna p. Irena Habrowska-Jellaczyca. W obszernym wprowadzeniu omówiła ona dzieje teatru, w latach 1939-44, na ziemiach okupowanych przez Niemcy i przez Sowiety. Prelekcja ilustrowana była wierszami Adama Mickiewicza, Cypriana Norwida i Jerzego Lieberta oraz fragmentami dramatów Stanisława Wyspiańskiego, które należały do stałego repertuaru teatru podziemnego. W zaprezentowanych scenach *Warszawianki* i *Wesela* wystąpili: p.p. Irena Habrowska-Jellaczyca (Maria, Rachel), Aleksandra Jopek (Anna) i p.p. Lucjan Ciucios (Ułan), Michał Olbryski (Poeta, Jasiek), Tadeusz Szeliga (Chochół) oraz absolwenci szkoły im. A. Mickiewicza (tłum). Wiersze recytowali: p.p. A. Jopek (*Pieśń do ziemi naszej* Norwida), Ewa Wróblewska (*Rok 1812*) i inż. arch. Maciej Jaroszyński (*Piosenka do Warszawy* Lieberta), który zaprojektował także oprawę plastyczną spektaklu. Konferansjerkę prowadziła p. Ewa Taubenfligel. Wieczór wywołał duże zainteresowanie, a licznie zgromadzona publiczność bardzo przychylnie oceniła udane występy sceniczne nagradzając wykonawców gorącymi oklaskami.

SZWECJA

Dnia 8 marca r.b., w trzecią rocznicę początku Wydarzeń Marcowych w Warszawie odbyło się zebranie Klubu Przyjaciół Kultury. Z referatem o „roli emigracji w życiu Polski” wystąpił Gustaw Herling-Grudziński. W zebraniu wzięło udział ponad 70 osób. Dyskusja toczyła się wokół centralnej tezy referatu o roli emigracji jako katalizatora rozwoju krajowej myśli społecznej. Na zebraniu wyłoniono komitet, który ma przygotować zebranie konstytucyjne Klubu i opracować plan pracy na przyszłość.

Korzystając z pobytu w Szwecji p. Gustawa Herlinga Grudzińskiego zorganizowano w Uppsali w dniu 9 marca spotkanie ze studiującą tam młodzieżą emigracyjną. W drugim słynnym szwedzkim mieście uniwersyteckim, Lund, odbył się wieczór dyskusyjny w domu docenta doktora Zygmunta Łakocińskiego. Na wieczór ten przybyli także czytelnicy Kultury w Malmö.

Książki

Szok przyszłości

„Mamy przed sobą okres równie traumatyzujący jak ewolucja, jaką musieli przejść nasi przodkowie zmieniając się ze stworzeń morskich w lądowe. ...Ludzie, którzy zdołają się zaadaptować, zaadaptują się; którzy nie zdołają, przewegutują na niższym szczeblu rozwoju lub zginą, wyrzuceni na ląd przez fale” — stwierdził niedawno Lawrence Suhm, socjolog z uniwersytetu w Wisconsin.

Naczelną tezę omawianej książki¹ jest twierdzenie, że okres ten już się rozpoczął i autor jej usiłuje określić charakter, zakres i siłę rażenia eksplozji „jutra świata”, jaka dokonuje się wśród nas. Przyspieszenie procesu rozwojowego cywilizacji i tempa zmian kondycji ludzkiej przeszło na naszych oczach tak bardzo „z ilości w jakość”, że słowo „eksplozja” ma znaczenie niemal dosłowne, a tytułowy „szok przyszłości” został zastosowany w książce w sensie wręcz lazaretowo-klinicznym.

Moda na futurologię i rozmaite rewelacje spod znaku „czy wiecie, że...” stała się od pewnego czasu dość irytującą sztampą („każde czasy są przełomowe” napisał 50 lat temu Irzykowski) — ale ta książka zasługuje na uwagę nie tyle ze względu na barwne wizje przyszłości, którymi z reguły każda tego rodzaju praca śmieszy, tumani i przestrasza, ile dlatego, że Toffler stara się m.in. wyjaśnić to, co dzieje się *hic et nunc*: wariactwa konfekcyjne i intelektualne, koegzystencję komputerów i astrologii, a przede wszystkim: fakt wzrastających możliwości ludzkości *qua* ludzkości i równie wyraźne poczucie pogłębiającej się niemożności ludzkości *qua* zbiorowiska indywiduów z krwi i z mięsa. „Pękł, że tak powiem, kolektywny walor” można by to określić słowami Miłosza, lub też przyjąć — w terminach diagnozy Tofflera — że przeżywamy kryzys adaptacyjny, czyli właśnie „szok przyszłości”.

Należy stwierdzić od razu, że ilość i rodzaj uwagi poświęconej

1. Alvin Toffler, *Future Shock*, Random House, New York, 1970.

(lub „poświęcalnej”) temu *best-seller*'owi po obu stronach Atlantyku zależy od miejsca, w którym się *Future Shock* czyta. Czynnikiem aktualizującym — lub odwrotnie „jeszcze-nas-to-mało-wzruszającym” — jest prawdopodobieństwo, zakres i tempo zmian otaczającego nas świata. W Stanach Zjednoczonych, oczywiście autora, gdzie spiętrzenie kontrastów, zróżnicowania, zmian i w ogóle — mówiąc z polską po amerykańsku — *praablems* (koniecznie przez trzy a!) jest chlebem powszednim — bynajmniej nie słodkim — książka porusza zagadnienia jak najbardziej NOW. „W naszym społeczeństwie 'naturalny bieg rzeczy' polega na tym, że rytm przemian ulega stałemu przyspieszeniu, doprowadzając ludzi i instytucje do ostatecznych granic ich zdolności adaptacyjnych” — zauważa Erik Erikson, w książce poświęconej problemom młodzieży w Stanach Zjednoczonych; istotnie, w tym kraju zagadnienie codziennej adaptacji dotyczy każdego — w Ameryce futurologia sięgnęła bruku.

Reakcja na książkę w innych regionach świata będzie niewątpliwie inna: w Europie Zachodniej tematyka jej należy do spraw o statusie „tak, niewątpliwie, istotnie, wkrótce” — ale wciąż jeszcze można wrócić do tego samego domu na ten sam befsztyk z frytkami i pocieszyć się, że *tout finira bien par avoir une fin* (czyżby?!); na terenach euro-azjatyckich, na tle geologicznych przesunięć, trudno dostrzegalnych jednostkowym okiem na co dzień, może nawet wywołać irytację: *vide* wypowiedź bohatera jednej z nowel Mrożka: „wy powiadacie: postęp, postęp! — a nam tu krasnale do barszczu szczają!”.

Można by więc zastanawiać się, gdzie — między owym chlebem a barszczem — plasuje się „prawdziwa” aktualność książki. Toffler stawia bez wahania na amerykański chleb utrzymując, że stanie się on powszednim na skalę globalną prędzej niż się spodziewamy.

Wspomniano wyżej, że wartość omawianej książki polega m.in. na jej walorach wyjaśniających współczesność. Wyjaśnić coś to znaczy odwołać się do ogólniejszej teorii — tak jak wyjaśniamy spadanie pojedynczego kamienia odwołując się do prawa grawitacji, stanowiącego część teorii fizycznej. Teoria Tofflera — jeśli ją zaakceptujemy — wyjaśnia nawet wspomniane wyżej różnice w „relewantności” książki w zależności od miejsca na naszym globie. Według autora „Szoku przyszłości” na świecie współistnieją obok siebie trzy epoki: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Około 70 % mieszkańców świata należy jeszcze do cywilizacji pastersko-rolniczych. To ludzie przeszłości — ich sposób życia, pracy, poziom wiedzy — słowem ich świat — kurczy się stale, ustępując cywilizacji *przemysłowej*, takiej jaką zna 25 % ludzkości — z przewagą przemysłu nad rolnictwem, z czasem mierzonym zegarem i syreną fabryczną, a nie porami roku; cywilizacja ludzi posegregowanych na wąskie specjalności i otoczonych *rzeczami*. Przez nich i wśród nich zaczął się coraz wyraźniejszy proces, najczęściej nazywany drugą rewolucją *przemysłową*, a który Toffler woli nazywać początkiem *ery super-*

przemysłowej. Jej akcesoriami są: rosnąca automatyzacja, zwiększona *mobility* ludzi i instytucji, pęczniejące *quantum* krążącej w świecie informacji — oraz świadomość, że świat zmienia się coraz prędzej. Coraz widoczniejsza staje się nieliczna jeszcze grupa *ludzi przyszłości*: techników, menadżerów, naukowców, coraz prędzej zmieniających stanowiska, kontynenty i przyjaciół. Ludzi tych najwięcej spotyka się w Ameryce i to na dość określonych szlakach: północnym — wiodącym w stronę amerykańskich centrów naukowych i przemysłowych Wschodniego Wybrzeża, a południowym — ku coraz prędzej rozwijającej się i zagęszczającej Kalifornii. Styl ich życia, myślenia i pracy — oraz „styl bycia” instytucji z którymi są związani stanowi dla Tofflera kierunkowskaz, według którego orientuje swoje prognozy na przyszłość i swoją diagnozę współczesności.

Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość nie są jedynie jednostkami diachronii: jako warunki życia i koncepcje świata współistnieją synchronicznie, choć granice pomiędzy nimi stają się coraz cieńsze: akceleracja rozwoju sprawia, że *przyszłość nadchodzi coraz prędzej* i coraz częściej znajduje nas na miejscu — nieprzygotowanych. Ta często niepożądana konfrontacja to właśnie szok przyszłości. By określić dokładniej, na czym on polega i w jaki sposób złagodzić siłę jego uderzenia przyjrzyjmy się, jak owa przyszłość ma wyglądać.

Według Tofflera epokę super-przemysłową, w którą wkraczamy, można scharakteryzować trzema kluczowymi terminami: *efemeryda*, *innowacja*, *róznicowanie*. Słowo „efemeryda” stosuje się do otoczenia, do „przedmiotów postrzegania”, jakby to określiła XIX-wieczna filozofia; subiektywnie oznacza to wrażenie przewizorium wszystkiego dookoła („gdziekolwiek się znajdujemy, jesteśmy tylko lokatorami pokojów umeblowanych” jak to określił Harold Churman). Starając się zdefiniować ściślej pojęcie efemerydy Toffler zauważa, że to co nazywamy zazwyczaj „światem” składa się z pięciu elementów (żywiółów!): rzeczy, miejsc, ludzi, instytucji i idei; można mówić o *poziomie efemerydy*, mierzonym trwałością naszego *stosunku* do tych elementów. Tzw. dzisiejsze czasy charakteryzują się zwiększoną — i stale przyspieszającą — rotacją relacji: człowiek — człowiek, człowiek — rzecz, itd.; innymi słowy wspomniane przedmioty postrzegania „używają się” szybciej obecnie — współczesne społeczeństwo jest coraz bardziej cywilizacją „rzeczy do wyrzucenia”. Od puszek od konserw i Kleenexów zaczynając a na samochodach kończąc — rzeczy „służą”, po czym się je wyrzuca. Dzieje się tak niewątpliwie dlatego, że automatyzacja produkcji obniża cenę przedmiotu poniżej ceny renowacji — dzięki czemu nowe buty kosztują taniej niż naprawa starych — ale także następuje przesunięcie w psychologicznej koncepcji przedmiotu: coraz mniej istotna staje się „esencja”, a coraz bardziej *funkcja*. Dom jest miejscem, w którym mieszka się z rodziną — skoro rodzina się powiększy,

należy dom powiększyć, tzn. przebudować lub kupić inny. Zachowujemy tylko funkcję domu — a nie dany kompleks cegieł. Stosujemy zasadę *modularności*: kosztom wymiany części zachowujemy całość (w naszym przykładzie „dom” jest całością: funkcji *plus* konkretnej budowli — wymieniamy tę ostatnią, zachowując nadal funkcję).

Dom jest dobrym przykładem, ponieważ jest to „przedmiot” wręcz symboliczny — także w Ameryce — i jego posiadanie było zawsze oznaką i „generatorem” stabilizacji i zakorzenienia. Nie przypadkiem szczyt „liryki domowej” w Anglii (Tennyson) przypada na połowę XIX wieku — okres rewolucji przemysłowej i przymusowych migracji ludności z miejsc rodzinnych do miast. W Stanach Zjednoczonych kult własnego domu był kontynuacją tradycji angielskiej, a dodatkowo wyraziście utrwalił się jako symbol schronienia i bezpieczeństwa w czasie Wielkiej Depresji. Obecnie, przywiązanie do domu zaczyna się zmniejszać: według danych autora omawianej książki jeszcze w 1955 roku *apartment buildings* stanowiły jedynie 8% całej działalności budowlanej w Stanach; w 1964 już 24%, a w 1969 roku po raz pierwszy w historii tego kraju budowano ich więcej niż „osobniaków”. Dominować zaczyna tendencja do nie-wiązania-się, z powodu zwiększającej się *mobility* ludzi pracujących w super-przemysle, tzn. nowych i na nowych zasadach zorganizowanych kompaniach. Żart firmowy wśród pracowników IBM — największego producenta komputerów — tłumaczy nazwę kompanii jako skrót od „I've Been Moved” — „zostałem przeniesiony”. Tendencja do wynajmowania zamiast posiadania zatacza coraz szersze kręgi: Hertz'a *Rent-a-car* dostarcza już milionom ludzi samochodów w czasie i miejscu przez nich wybranych — oszczędzając kłopotów związanych z kupowaniem, konserwacją, a w końcu pozbywaniem się własnego samochodu. Wspomniana IBM wynajmuje komputery, podobnie Xerox — maszyny do kopiowania; na dłuższą metę zasada ta może zrewolucjonizować ekonomię, zmieniając radykalnie stosunek producenta do wytwarzanego towaru: bodźcem do osiągnięcia istotnie maksymalnej jakości przedmiotu stanie się nie tylko konkurencja, ale przede wszystkim groźba masowego powrotu wypożyczonych przedmiotów w wypadku, gdyby klienci nie byli z nich zadowoleni. W ostatecznym rozrachunku następuje nie tylko przyspieszenie rotacji stosunku człowiek-rzecz, ale i sam charakter tej relacji ulega zmianie: własność, określona w prawie rzymskim jako *ius utendi et abutendi* ulega rozszczepieniu na składniki podstawowe, dając *ius utendi* podnajemcy, a troskę o niebezpieczeństwa *abutendi* wytwórcy.

Można by dyskutować nad pozytywami i negatywami tych zmian; Toffler zauważa, iż wielu krytyków „dzisiejszych czasów” zachowuje się tak, jakby nie potrafili pojąć zasady, że nie można zjeść ciastka i mieć ciastko: ci sami, którzy ubolewają nad „cywilizacją rzeczy” i zmaterializowaniem, białają równocześnie nad „odpersonalizowanym” stosunkiem do tychże rzeczy. Odpersonalizowanie jest ceną, jaką płaci się za *mobility*, ta zaś jest nieod-

łącznym składnikiem cywilizacji efemerydy. Coraz częściej zmieniająca się technologia, organizacja i cele produkcji powodują, że personel coraz częściej *musi* przenosić się z miejsca na miejsce; świadomość, że za dwa lata, rok lub 3 miesiące już nas tu nie będzie, powoduje że ludzie starają się urządzić tak, by móc odejść bez nadmiernych kłopotów — materialnych i psychologicznych. Emigrant, koczownik i podróżnik mają inną mentalność niż ludzie osiadli: fakt, że w ciągu jednego tylko roku (marzec 1967 — marzec 1968) prawie 37 milionów Amerykanów zmieniło miejsce zamieszkania nie pozostaje bez śladu, zwłaszcza w dziedzinie poglądu na to, co potocznie nazywa się „normalnym życiem”. Dla przeciętnej Europejczyka „wykorzenie” Amerykanów wydaje się czymś dziwnym, nieludzkim, a w najlepszym razie — godnym politowania. Toffler wskazuje jednak na fakt, że i Europa staje się terenem wędrówek nowych koczowników — wystarczy choćby wspomnieć o setkach tysięcy „Gastarbeiter” z Południowej Europy. *Mobility* z konieczności staje się po pewnym czasie punktem widzenia. Ernst Dichter, amerykański autor tytułu w dziedzinie badań nad motywacją, pisze o mieszkańcach krajów u progu ery super-przemysłowej: „większość z nich najada się już do syta i ma przyzwyczajony dach nad głową. Teraz po zrealizowaniu tego odwiecznego marzenia ludzkości szukają nowych satysfakcji. Pragną podróżować, odkrywać, korzystać z większej niezależności, co najmniej fizycznej. Samochód stał się ruchomym symbolem ruchliwości”. W pewien sposób spełnia się futurystyczna prowokacja Marinettiego: „Samochód jest piękniejszy od Nike z Samotraki”.

Powiedzieliśmy, że efemeryda polega na coraz szybszej rotacji stosunku człowieka do „żywiółów”; jednym z nich są sartrowscy „inni” — i jednym z głównych zarzutów (przeciw komu właściwie?) jest „odhumanizowanie” relacji człowiek-człowiek. Zatrzymajmy się na chwilę nad tym zagadnieniem: raz, bo jest ciekawe samo w sobie, dwa, bo dobrze ilustruje racjonalnie-empiryczną postawę Tofflera.

Odpersonalizowanie „przeciętnych” kontaktów międzyludzkich (przysłowiowy „uśmiech stewardessy”) jest faktem. Nieuchronność tego faktu podkreślił już Max Weber, zauważając, że w dużym mieście człowiek *nie może* wchodzić z bliźnimi w równe intymne kontakty co członek małej grupy, po prostu dlatego, że kontaktów tych jest *za dużo*. Przed kilku laty jeden z socjologów z MIT poprosił swych słuchaczy o notowanie liczby wszystkich nowych osób, z jakimi zetkną się w ciągu 100 dni: cyfra ta wahała się od 500 do 2.500. Jest fizyczną — a w każdym razie psychofizyczną — niemożliwością utrzymywać stosunki „totalnego zaangażowania” z taką masą ludzi: prowadziłoby to do „totalnej dezintegracji”, czyli po prostu szaleństwa osoby, takiego wyczerpu próbującej. Należy zgodzić się ze zdaniem angielskiego teologa Harveya Coxa, że człowiek nie tylko ma prawo, ale nawet „powinien utrzymywać z większością ludzi, jacy znajdują się na jego drodze, stosunki mniej lub bardziej bezosobowe — właśnie po to,

by zachować zdolność wyboru pewnych przyjaźni, które ma zamiar kultywować i rozwijać”.

Fakt ten na ogół nie jest brany pod uwagę przez zwolenników „globalnego zaangażowania w drugiego człowieka”. Toffler zauważa, iż spełnienie tego ideału („jedna wielka rodzina”, etc.) nie tylko prowadziłoby do zaburzeń naszej równowagi wewnętrznej, ale przede wszystkim ograniczałoby bardzo naszą wolność; a właśnie większość pisarzy, skarżących się na powierzchowność związków międzyludzkich znajduje się równocześnie w szeregach gorliwych obrońców wolności jednostki. Sentymentalizm w traktowaniu natury ludzkiej („dobry dziki” Rousseau) przesłania fakt, że każde zaangażowanie powiększa liczbę oczekiwani i nadziei rewanżu — a zatem i presji w tym kierunku. Ludzie żyjący w bardziej „zintegrowanych” grupach — np. na prowincji — znają aż za dobrze totalitaryzm takich grup i liczbę konwencji, jakim muszą się poddać w zamian za „akceptację”, czy choćby jako tako neutralną postawę otoczenia.

Obserwowana dehumanizacja świata „na zwiększonych obrotach” jest w terminach Tofflera jeszcze jednym zastosowaniem zasady modularności: nasze stosunki z wzrastającą liczbą ludzi w otoczeniu opieramy głównie na ich „funkcjach”, np. kupując buty traktujemy sprzedawcę w sklepie właśnie jako sprzedawcę butów — i kończymy naszą „relację międzyludzką” z chwilą wyjścia na ulicę. Oczywiście można powiedzieć, że człowiek w tym układzie staje się jeszcze jedną „rzeczą do wyrzucenia” — ale w końcu jest to tylko negatywnie zabarwione sformułowanie nieuchronnego faktu, że tylko za tę cenę potrafimy w ogóle żyć na naszym przeludnionym globie — i być może cieszyć się większą wolnością osobistą. Każda cywilizacja ma swoją „skalę trwania”, tj. średnią trwania danej czynności lub stanu. Konflikty między cywilizacjami lub generacjami mają za podłoże m.in. różne skale trwania (dla przeciętnego Francuza Amerykanie są barbarzyńcami, pożerającymi w 10 minut sandwicza, zamiast delectować się jedzeniem przez półtorej godziny — co z kolei dla normalnego Amerykanina jest idiotyczną stratą czasu w środku dnia). W cywilizacji pre-technologicznej czas trwania „normalnego” pobytu w jednej miejscowości wynosił całe życie — bo ludzie rodzili się i umierali w tej samej wiosce; ten sam „czas trwania” w Stanach Zjednoczonych wynosi obecnie średnio 4 lata i ulega stałemu skracaniu. Podobne różnice „skali trwania” istnieją w dziedzinie stosunków międzyludzkich, co jest szczególnie widoczne w „epoce efemerydy”; drogą przedwczesnej ekstrapolacji można dojść do konkluzji o „zaniku wszelkich więzów między ludźmi” — co nie jest prawdą. „Ostrożny optymista” Toffler zwraca uwagę na pozytywny aspekt zjawiska przyspieszenia: dzięki modularnym stosunkom z ludźmi mamy większe możliwości wyboru. Można by znów mówić o zwiększonej wolności, polegającej na odchodzeniu od dość smutnej reguły, że jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Na tym tle interesująco wygląda obserwacja angielskiego psychologa Sargant Florence’a, któ-

ry obliczył, iż na to, by człowiek o wykształceniu uniwersyteckim mógł zawrzeć 20 naprawdę ciekawych i wzbogacających przyjaźni, potrzeba „wyboru naturalnego” spośród miliona ludzi. W przed-super-przemysłowej skali trwania mało kto mógł liczyć na takie możliwości i kontentował się „poprzestawaniem na małym”.



Dotychczasowa prezentacja przewodniej linii książki podkreśliła główną — zdaniem Tofflera — tendencję przyszłości: ku rozluźnieniu, efemerydzie. Obraz ten stoi w zupełnej sprzeczności z tradycyjnymi wizjami, od Kafki poczynając a na Marcuse i Jacques Ellul'u kończąc: od rozwoju świata ku kamiennej superbiurokracji, a w najlepszym razie ku „milionom jednakowych czystociutkich człowieczków w milionach jednakowych, czystociutkich domeczków” Aldousa Huxleya. Toffler twierdzi, że zamiast tego dzisiejsza biurokracja ustąpi miejsca *ad-hocracji*: coraz luźniejszym, tymczasowym grupom roboczym, przypominającym organizowane w przodujących przemysłach *task forces*, prowadzące poszczególne *projects*, a następnie rozwiązywane. Może się to jeszcze wydawać odległą muzyką przyszłości, ponieważ biurokracja z samej definicji (np. u Maxa Webera) jest strukturą o tendencji do „trwania wiecznie” — niemniej w ramach cywilizacji super-przemysłowej jest ona — zdaniem Tofflera — skazana na zagładę. Kluczowym problemem rozwoju wszelkich „układów” współdziałających z otoczeniem — a więc ludzi i instytucji — jest szybkość krążenia informacji; przeważnie mówi się tu o „gotowości do podejmowania trafnych decyzji”. W tradycyjnej biurokracji informacja ze świata zewnętrznego (bodziec) przebywa długą drogę wzwyż, na szczyt pionowej hierarchii, po czym odbywa tę samą drogę w odwrotnym kierunku (*plus* decyzja do wykonania) do organów, które wprowadzają decyzję w życie (reakcja). W warunkach efemerydy ilość bodźców zwiększa się nieustannie i kanały komunikacyjne — a także ośrodek podejmującej decyzje stają się coraz bardziej przeciążone. Zdolności reakcji i adaptacji takich układów nieustannie się zmniejszają (por. prawo Parkinsona).

Wobec zwiększonych możliwości przekazania czynności rutyniarskich maszynom (komputery) i przy równoczesnym podwyższeniu kosztu czasu żywych ludzi — jedynych istot, zdolnych do podejmowania *nowych* decyzji — jedyną rozsądną drogą wydaje się oddelegowanie decyzji na niższe szczeble, a ściślej mówiąc, likwidacja szczebli „jako takich” i tworzenie autonomicznych ośrodków dyspozycyjnych tam, gdzie są w danej chwili potrzebne. Taki jest sens neologizmu „ad-hocracja”.

Trudno oczywiście ustalić, kiedy taka zmiana nastąpi, faktem jest jednak rosnąca tendencja do zwiększania kadry *decision-makers* w przodujących przemysłach; ekonomista amerykański, George Kozmetsky, ocenia że w roku 2001 przedsiębiorstwa typu

nie-rutyniarskiego będą zatrudniały ok. 65 % siły roboczej Stanów Zjednoczonych.

Można sobie wyobrazić wpływ tych zmian na ludzi: zanik sztywnej hierarchii, gdzie każdy miał swoją niszę, i od której zależał chleb, masło i status „ludzi organizacji” — za cenę bezwzględnej lojalności, *vel* — często — serwilizmu, pozwoli na zwiększenie wolności osobistej; pojęcie *posady* znacznie ustępować pojęciu *zawodu*, a raczej *drogi zawodowej*, wiodącej od jednej efemerydy do drugiej. Można spodziewać się większego rozwoju ducha pionierskiego, ponieważ paraliżująca obawa przed klęską winna również osłabnąć — w świecie efemerydy niepowodzenie jest też tylko efemerydą.

Człowiek i świat oddziaływują na siebie; w książce pada często słowo *dialektyka* (można by je zastąpić terminem „sprzężenie zwrotne”) — czytelnik zapytuje wreszcie: gdzie jest więc początek, a gdzie koniec? Co jest motorem — czy też „decydującym ogniwem” — tego procesu? Wydaje się, że kluczowym pojęciem jest rosnąca *informacja* — w bardzo szerokim sensie. Dr Robert Hilliard, członek federalnej Komisji do Spraw Komunikacji, stwierdził niedawno: „Przyjmując tempo, w jakim powiększa się obecnie ludzka wiedza, z chwilą gdy dziecko dziś urodzone opuści uniwersytet, suma jej będzie 4-krotnie większa niż obecnie. Z chwilą gdy ukończy ono 50 lat, wiedza ta będzie 32-krotnie większa i 97 % jej będą stanowiły odkrycia dokonane od dnia jego narodzin”. Jest rzeczą oczywistą, że świat tak nasycony informacją nie pozostaje w miejscu. Drugą — obok efemeryczności — cechą ery super-przemysłowej jest *innovacja*: nie proste spiętrzenie „rzeczy i spraw”, a pojawienie się nowych. Wymieńmy dla przykładu kilka perspektyw na dość „nieodległą” przyszłość:

- opanowanie oceanów jako źródła surowców i przestrzeni życiowej; powstanie podmorskich miast; przystosowanie się ludzi do życia w tym nowym świecie.
- rewolucja w biologii: możliwość „projektowania” genów, zmiany „naturalnych cech” człowieka; zacieranie się granicy między *science-fiction* a rzeczywistością: możliwość sztucznej hodowli zaprogramowanych embrionów, produkcji homunculusów o żądanych własnościach fizycznych i psychicznych, tworzenie hybryd mechaniczno-biologicznych.
- dalszy rozwój informatyki: wręcz nieograniczone możliwości automatów „myślących”, por. istniejący już projekt OLIVER (*On-Line Interactive Vicarious Expedier and Responder*: rodzaj podręcznego komputera-sekretarki, przypominającej o urodzinach przyjaciół, zapłaceniu rachunków i włożeniu ciepłych skarpet: możliwość przekształcenia go w zminiaturyzowane alter-ego, wszczepione pod skórę czaszki);
- rewolucja w dziedzinie „odwiecznych spraw międzyludzkich” — w związku z rewolucją biologiczną możliwość nabywania gotowych dzieci na starość, rodziców „kolektywnych”, wielodzietnych rodzin homoseksualnych, „rodziców zawodowych” etc.

Innowacja — to jest: nieregularność, „nienaturalność”, niepewność, nieoczekiwane spowoduje że świat jutra będzie światem szalonego *zróznicowania*. Znowu prognoza odmienna od wizji „pessimistów przyszłości”. Toffler twierdzi, że obraz zgłajchsztaltowanego „społeczeństwa robotów” (obsesji Witkacego!) jest nieuzasadnioną, krótkowzroczną transpozycją obecnej ery przemysłowej — w przyszłość. Jego zdaniem możliwości wyboru rosną, nie maleją; problemem przyszłości będzie raczej paraliż nadmiarem. Przykładem konkretnym może być wzrastająca ilość możliwych wyborów samochodu: nie tylko określonej marki i koloru, ale też dzięki zasadzie modularności, możemy określić jakie wybrany przez nas np. seledynowy Mustang ma mieć motor, ogumienie i hamulce.

Czołowym zagadnieniem stanie się *hyper-wyбір*: stylu życia. Toffler zwraca uwagę, że nawet dziś nie można już mówić o kulturze „masowej”, tylko o kulturze dla wielu publiczności. Tzw. masy nie da się porównać z bezkształtną plazmą, a raczej z zespołem tkanek, złożonych z indywidualnych i zindywidualizowanych komórek. W teorii zasada modularności pozwala na olbrzymie możliwości kombinacji elementów „stylu życia” — ale w rzeczywistości obserwujemy tendencje do wyboru *kompletów* możliwości, które dla postronnego obserwatora są wskaźnikami przynależności do pewnych grup (-ek), zaś dla samego „podmiotu” są tym, co potocznie określa się jako osobowość lub „identyczność”. Obserwując mijających się na ulicy np. członka gangu motocyklowego i fajkowo-tweedowego naukowca zgadujemy natychmiast że za różnicą stroju i akcesoriów kryją się różnice w skalach wartości, celach życiowych i ocenie rzeczywistości.

Styl to człowiek, mówiono dawnej. Przynależność do pewnej „sekty” — grupy ludzi połączonych wspólnym stylem — daje poczucie *belonging* i „bycia wśród swoich”; ceną za to jest totalitaryzm grupy. Wybór stylu determinuje szereg dalszych wyborów — stąd termin *hyper-wyбір* — np. mieszkania, poglądów politycznych, rozrywek, i wszelkie odstępstwa karane są mniej lub bardziej silnie indukowanym poczuciem odpadania od dawnej grupy. W świecie o wysokim poziomie efemerydy zarówno istnienie samych grup jak i czasu przynależności do nich ulega skróceniu i coraz częściej staje się wędrowka z jednej „sekty” do drugiej. Na pierwszy rzut oka może to stwarzać wrażenie „dezintegracji społeczeństwa” lub „kryzysu identyczności” — oba te zarzuty przeciw kondycji ludzkiej w erze super-przemysłowej są często wysuwane. Toffler zgadza się, że świat współczesny daje mniej stabilizacji psychicznej — w jego terminach: kontynuacji jednego stylu przez całe życie — natomiast daje nową wolność: wyboru stylu, który nam najbardziej odpowiada. Zamiast korzeni, świat super-przemysłowy oferuje obfitość „komórek do wynajęcia”.

Dotychczasowa prezentacja przebiegała pod znakiem „jest

dobrze, będzie lepiej" — co bynajmniej nie odpowiada doznaniom większości mieszkańców współczesnego świata. Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Odpowiedź na to zawarta jest w tytule książki: wszystkie te zmiany — potencjalnie na lepsze — powodują *stress* u przeżywających obecną mutację ludzi. Każda akcja wywołuje reakcję; mnogość akcji „zewnętrznych”, bombardujących nas zwiększoną nową informacją wymaga coraz większego wysiłku adaptacyjnego. Niepokój, poczucie zagrożenia, wrażenie utraty kontroli nad otoczeniem, chęć redukcji liczby koniecznych decyzji, wrogość wobec zmian, tendencja do „zamknięcia się w skorupie”, *malaise* i *chandra* — to wszystkie objawy „szoku przyszłości”. Przyjrzyjmy się klinicznemu opisowi „jednostki chorobowej”, związanej z przenosinami na nowe miejsce zamieszkania (najpospolitszy *casus* konieczności adaptacji); James S. Tyhurst, psychiatra z *University of British Columbia* ustalił, że wśród imigrantów można zaobserwować trzy wyraźne fazy tego procesu: „Początkowo dana osoba interesuje się bezpośrednio teraźniejszością, stara się znaleźć pracę, zarobek i dach nad głową. Stadium temu towarzyszy nerwowość i zwiększona aktywność psychomotoryczna”. Następną fazą, zwana „przybyciem psychicznym” „...charakteryzuje się rosnącym przynębieniem i depresją, towarzyszą jej często natręctwa i zaburzenia somatyczne, zamknięcie się w sobie, utrudniająca działalność na zewnątrz, a także objawy wrogości i podejrzliwości wobec otoczenia. Wrażenie odmienności od reszty i bezsilności pogłębia się — całe to stadium odznacza się wyraźnie złym samopoczuciem. Ten okres mniej lub bardziej głębokich zaburzeń może trwać od jednego do wielu miesięcy”.

Potem następuje trzecia faza: mniej lub bardziej udanej adaptacji; z wyjątkiem wypadków skrajnych, u których opisane wyżej symptomy występują w coraz ostrzejszej formie, prowadząc do zupełnej degradacji psychicznej, tj. do pojawienia się anormalnego „materiału myślowego” i utraty poczucia rzeczywistości. Oznacza to, że pewni ludzie nie adaptują się wcale. Ci zaś, którzy to potrafią, nie są już całkiem tacy sami jakimi byli poprzednio.

Powyższy opis przytoczyłem z myślą o czytelnikach — emigrantach: któż z nich tego nie zna?! Fakt, że zmiany trybu życia są „obiektywnym” przeciążeniem organizmu a nie „chimerą” słabejszy, został potwierdzony badaniami dwóch psychiatrów nowojorskich, T. H. Holmes'a i R. Rahe: badając współzależność zmian życiowych (narodziny dziecka, śmierć w bliskiej rodzinie, zmiana zawodu) i liczby zachorowań w ciągu następującego roku stwierdzili oni, że szanse zachorowania osób, plasujących się wśród górnych 10% na „skali zmian” są prawie 100% większe niż osób z dolnych 10% skali.

W wymiarze fizycznym *stress*, wywołany zmianą tłumaczy się jako przeciążenie dwóch systemów alarmowych: nerwowego i wydzielania wewnętrznego. Wszelka, nawet drobna, zmiana w „codziennosci” docierających z zewnątrz bodźców powoduje „zjeżenie się” wewnętrzne: zwiększone przekrwienie mózgu, podwyż-

szone tętno etc. Jeśli taka „reakcja oczekiwania” musi utrzymywać się dłużej — wskutek napięcia psychicznego — dołącza się do tego zwiększone wydzielanie pewnych substancji organicznych, np. adrenaliny. Przy nadmiernie częstym i silnym pobudzeniu organizmu do tych reakcji — stymulacja fizyczna lub/i psychiczna — następuje przedwczesne wyczerpanie i zużycie go. Stymulacja jest zwiększonym dopływem informacji do mózgu. Tzw. rytm życia — przyjęty za normalny „wymiar trwania” — o którym była mowa wyżej, i podobne zjawiska wyznaczają rodzaj optymalnego dla danego organizmu dopływu informacji. Odchylenia w górę i w dół powodują na dłuższą metę zaburzenia o wyraźnie patologicznym charakterze. Ze zjawiska tego korzystają od niepamiętnych czasów rozmaici specjaliści od „prania mózgów”: pozbawienie człowieka jego normalnej racji informacji (np. przez zamknięcie w ciemnej izolatce) lub przeciążenie go nad miarę (brak snu, niekończące się przesłuchania, brutalne traktowanie), prowadzą do stanów nie różniących się w praktyce od „normalnej” schizofrenii, tj. stanu „złej asocjacji wyobrażeń i faktów” (Prof. James G. Miller).

Takie złe kojarzenie obserwowano w czasie eksperymentów, podczas których poddani im ludzie mieli za zadanie reagować na zmiany w dopływie informacji, np. przez naciskanie odpowiednich kombinacji guzików na tablicy rozdzielczej w wypadku pojawienia się na przesuwającej się taśmie pewnych kombinacji kolorowych kostek. W wypadku zbyt wolnego tempa taśmy uwaga słabła, następowała senność i rozkojarzenie, prowadzące w rezultacie do błędów; błędy też zwiększały się przy nadmiernym przyspieszeniu taśmy — ludzie poddani eksperymentowi nie mogli nadążyć, popadali najpierw w złość, potem w apatię, w końcu zupełnie dawali za wygraną. Ich reakcje psychiczne (obraz w elektroencefalografie) i zachowanie nie różniły się od schizofrenii; i istotnie, ostatnio wysunięto teorię, że choroba ta polega właśnie na zaburzeniach w dopływie informacji do mózgu: „szum” w nerwach chorych powoduje podobne rozkojarzenia przy „normalnym” tempie życia, co u ludzi zdrowych w wypadku nadmiernego przyspieszenia taśmy.

W sposób bardzo uproszczony można powiedzieć, że „przyspieszający” świat ery super-przemysłowej jest taką właśnie taśmą — i poddaje nas podobnym przeciążeniom. Nasze reakcje zależą od naszych zdolności adaptacji, tj. sprostania przyspieszeniu — to zaś jest uwarunkowane wiekiem, wychowaniem, środowiskiem i perspektywami na przyszłość; różnice te na płaszczyźnie społecznej rezultują jako *generation gap*, tendencje liberalne lub konserwatywne itd., dość ściśle skorelowane z pewnymi grupami społecznymi, *vel* „stylem życia” (por. np. obowiązkową „lewi-cowość” młodych środowisk uniwersyteckich w Stanach).

Jest rzeczą interesującą, że „szok przyszłości” daje pewne dość koherentne typy zachowania obronnego; Toffler wyróżnia 4 takie postawy:

1) *odmowa akceptacji zmiany* — postawy: „cały świat zwa-

riował", „nic nowego pod słońcem", „s żiru bieszutsja", lub „niech na całym świecie wojna".

2) *specjalizacja* — akceptacja pewnych zmian (np. w technice zawodowej) przy równoczesnej negacji zmian „w ogóle"; częste w sferach technicznych.

3) *powrót do środków „niegdyś skutecznych"*, np. metod policyjno-zamordystycznych (*law and order*) lub „dawnej prostoty" (tendencje anarcho-kolektywistyczne). Zarówno u pravicowców jak lewicowców tego pokroju widać wyraźną nostalgię za „dawnymi dobrymi czasami", por. pre-technologiczne akcesoria goszysztów (chodzenie boso, XIX-wieczne stroje — druciane okulary! — terroryzm w stylu „Tajnego Agenta" Conrada, kult „Che" Guevary — kojarzącego się z dżunglą i partyzantką). Wrogość wobec „technologicznego", tj. logiczno-empirycznego podejścia do spraw społecznych: tendencja do rozwiązań „na wycucie", apologia „dawnych cnót", irracjonalizm i mistycyzm.

4) *super-uproszczenie*: bezkrytyczna akceptacja wszystkich proponowanych rozwiązań, czy to będzie egzystencjalizm, astrologia czy mac-luhanizm; „głód ideologii", czyli dążenie do uproszczenia za wszelką cenę: Toffler umieszcza tu większość ekstremistów, dla których słowo „rewolucja" jest magicznym kluczem do wszystkich trudności.

Wszystkie te postawy mają jedną cechę wspólną: fałszują rzeczywistość. Na krótką metę mogą pomagać w indywidualnej adaptacji — lub raczej: przetrwaniu — ale na dalszą komplikują sprawy jeszcze bardziej, doprowadzając do ich spiętrzenia, tak, że późniejszy *impact* staje się jeszcze dotkliwszy. Nie redukują zresztą napięcia — pozostaje świadomość, że za cienką ścianką naszego „odgrodenia się" kłębi się świat, którego nie rozumiemy, boimy się i nie akceptujemy. Przy takiej postawie wobec otoczenia zazwyczaj dominować składniki emocjonalne, poza-racjonalne lub wręcz irracjonalne. Małe bodźce wywołują niewspółmierne reakcje, „środki zaradcze" mają coraz mniej wspólnego z rzeczywistością i doświadczeniem. *Japan Times* ocenia, że „nigdy przedtem nie obserwowaliśmy takiej fali manifestacji o wyraźnie psychopatycznym podłożu"; Daniel P. Moynihan — ex-doradca prezydenta Nixona — stwierdził wręcz: „Stany Zjednoczone wykazują te same objawy co człowiek w stanie załamania nerwowego". Zdaniem Tofflera nie ma powodu do *Schadenfreude* u mieszkańców reszty globu: jest to bowiem cena faktu, że Stany pierwsze wkroczyły w erę super-przemysłową — i pierwsze doznają „szoku przyszłości".

Ostatnia część książki nosi tytuł „Jak przeżyć?". Odpowiedź jest mniej zdecydowana, niż sama diagnoza. Trudność wynika stąd, że zarówno superindustrializm jak i reakcja nań są zjawiskami nowymi — *wynalezionymi*, i że środki zaradcze na „działanie uboczne" należy również dopiero wynaleźć. W każdym razie środki te winny należeć do przyszłości, nie do przeszłości — bowiem nie ma naprawdę innego wyjścia. W życiu indywidualnym

Toffler proponuje szukanie nowych „sfer stabilizacji" — nowych czynności rytualnych, przyzwyczajzeń i rozrywek. Należy pogodzić się z faktem, że życie jest sekwencją mniejszych i większych szoków i według tego układać swój życiowy budżet „sił i środków".

W dziedzinie społecznej należy stworzyć urządzenia, ułatwiające i *uczące* adaptacji; konieczna będzie np. daleko idąca reforma nauczania, którego system wciąż jeszcze tkwi korzeniami w przeszłości, lub w najlepszym razie w erze przemijającej: przemysłowej (specjalizacja, koncepcja „gwizdka i komendy"). Przy-szła szkoła winna położyć nacisk raczej na technikę zbierania i klasyfikowania danych, nie na ich ustalone raz na zawsze *quantum*.

Całe cywilizacje znajdują się wkrótce przed hyper-wyborem: cywilizacja opartą na bombie atomowej, manipulacją przyrodą i LSD będzie inna od cywilizacji, która rozwinie się w kierunku powiększania inteligencji ludzkiej, środków anty-agresyjnych i produkcji tanich sztucznych serc. Już obecnie rysuje się konieczność pewnego rodzaju *polityki nauki*, tzn. ustalenia priorytetów badań, a na dalszą skalę — konieczność strategii rozwoju społecznego. Podobnie jak w ekonomii, *laisser-faire*yzm zdaje egzamin jedynie do pewnego momentu po czym musi zostać zastąpiony planowaniem. Toffler wierzy, że przyszłość jest w pewnym stopniu przewidywalna — i że możliwa jest zamiana pewnych *możliwości* w *prawdopodobieństwa*. Jeśli tak jest istotnie — i jeśli rozwój tych możliwości jest mniej lub bardziej automatyczny i wynikający z „natury rzeczy" ludzkość — zbiorowisko jedynych istot zdolnych do podejmowania nowych decyzji — musi odpowiedzieć na niecierpiące zwłoki pytanie: dokąd *chcemy* iść?

M. BRONSKI

« Uzupelniony » Poradnik Bibliograficzny

Kiedy, opierając się na własnym doświadczeniu (zmuszona byłam przerwać swoje studia na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego jako studentka piątego roku), twierdząc, że w Polsce nawet czysto naukowe, nie wspólne, zdawałoby się, nie mające z polityką książki i opracowania nie mogą być uważane za źródła informacji obiektywnej i sumiennej, niezależnej od zarządzeń i instrukcji aktualnych wielkorządców partyjnych — spotykam się ze strony swych rozmówców na Zachodzie na ogół z niedowierzaniem. Chciałabym zatem zilustrować swoje twierdzenie przy-

kładem. Przykład ten nie pochodzi z zakresu mojej specjalności naukowej, ale z dziedziny o szerszym zasięgu i większej popularności, co czyni go chyba bardziej jeszcze charakterystycznym i przekonującym.

Oto mam przed sobą dwa wydania książeczki Janusza Stradeckiego „O Julianie Tuwimie. 1894-1953”. Podtytuł: Poradnik bibliograficzny. Wydawca: Biblioteka Narodowa, Instytut Bibliograficzny. Informacja dodatkowa na odwrocie karty tytułowej: Zredagowano w Zakładzie Bibliografii Zalecającej (?). Wydanie pierwsze — Warszawa 1964, stron 38 i 2 nlb. Wydanie drugie „rozszerzone i uzupełnione” — Warszawa 1969, stron 58 i 2 nlb. Tytuły rozdziałów w obu wydaniach te same: „O Julianie Tuwimie”, „Twórczość Juliana Tuwima”, „Literatura o Julianie Tuwimie”. Wystarczy, jeśli porównamy, jak wygląda w obu wydaniach dział „Tuwim w poezji” z rozdziału ostatniego.

W wydaniu pierwszym dział ten liczy 25 pozycji, w wydaniu drugim — 21. W rubryce „Wiersze o Tuwimie i poświęcone Tuwimowi” w „uzupełnionym” wydaniu wypadły dwie pozycje: wiersz Sławomira Mrożka „O panu Złodziejńskim” (w wydaniu pierwszym pozycja 71) i wiersz Stanisława Wygodzkiego „Lokomotywa” (w wydaniu pierwszym pozycja 77). Również dwie pozycje pominięto w rubryce „Pamięci poety”: jedna to wiersz tego Stanisława Wygodzkiego „Na śmierć Tuwima” (w wydaniu pierwszym pozycja 88), drugą jest wiersz Eugeniusza Żytomirskiego „Ostatnie dni” (w wydaniu pierwszym pozycja 89).

Wszyscy trzej pisarze, jak wiadomo, opuścili kraj i potępili politykę uprawianą w ostatnim okresie przez rządzących Polską ludzi. To wystarczyło, aby napisane przez nich w dawnych latach, poświęcone Tuwimowi utwory skreślono z publikacji naukowej, należącej do serii wydawanych przez Bibliotekę Narodową w Warszawie *poradników bibliograficznych*, a więc wydawnictw, których fałszowanie jest czymś zupełnie niewiarygodnym, czymś, co nie mogłoby się wydarzyć w żadnym cywilizowanym kraju świata. Ale, jak widać, nie dotyczy to krajów komunistycznych.

Stanisław Wygodzki w numerze 4/271 *Kultury* zobrazował inne, choć podobnego rodzaju, fałszerstwa, dokonane w nowym wydaniu „Małej Encyklopedii Powszechnej PWN”.

Jasną jest rzeczą, że ten sposób preparowania encyklopedii jest również niedopuszczalny. Jednakże każda encyklopedia jest w pewnym sensie wyborem haseł dokonanych mniej lub bardziej subiektywnie przez jej redakcję.

Skoro poruszyłam już temat encyklopedii, chciałam przy okazji uzupełnić informacje Wygodzkiego spostrzeżeniem, że w ostatnim, XII tomie WEP nie tylko brak Józefa Wittlina, Wata czy Wygodzkiego (o sobie Wygodzki nie wspomina, ale pewna jestem, że w nowym wydaniu Małej Encyklopedii jego też nie ma), lecz już nawet Stefana Żółkiewskiego, którego nazwisko w tomie I tejże Encyklopedii wymienione jest wśród członków jej Komitetu Redakcyjnego.

Maja KUBIAK-ŻYTOMIRSKA

Humor krajowy

O ZSSR

Lenin, Mikołaj II i Napoleon rozmawiają z Gomułką:

Lenin: — Towarzyszu Gomułka! Gdybyśmy w 1905 roku mieli taką klasę robotniczą, jak wy w grudniu 1970 — nie musielibyśmy z rewolucją czekać do 1917 roku!

Mikołaj II: — Gaspadin Gomułka! Gdybym ja miał taką policję jak Pan w grudniu 1970 roku — nigdy by w Rosji nie doszło do rewolucji!

Napoleon: — Monsieur Gomułka! Gdybym ja miał taką prasę jak Pan, nikt nigdy by się nie dowiedział o mojej klęsce pod Waterloo...



W przeddzień 53 rocznicy Rewolucji Październikowej donoszą Breżniewowi, że Lenin zniknął z mauzoleum na Czerwonym Placu. W Politbiurze popłoch. Dyrektywa szefa KGB, Antropowa: „Zamknąć granice, kontrolować trumny i podłużne pakiety”.

Trzy dni później Antropow melduje: „Lenina nie znaleziono”.

Na czwarty dzień Breżniew otrzymuje depezę z Zurichu: „Wszystko prze-myślałem. Musimy zacząć od nowa. Lenin”.



Breżniew z Nixonem odbywają konferencję na szczycie. Nazajutrz przy śniadaniu opowiadają sobie sny.

Breżniew: — Panie Prezydencie, miałem tej nocy piękny sen. Widziałem Biały dom, nad nim powiewała czerwona chorągiew z sierpem i młotem, a na frontonie widniał wielki transparent z napisem: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”.

Nixon: — To ciekawe, ja tej nocy miałem sen zupełnie podobny. Widziałem Kreml, nad którym powiewał czerwony sztandar...

Breżniew: — U nas tak zawsze...

Nixon: — Z sierpem i młotem...

Breżniew: — Zgadza się.

Nixon: — Widziałem również napis...

Breżniew: — Jaki napis?

Nixon: — Niestety nie mogłem przeczytać, był po chińsku...



Po zamachu oficera armii czerwonej, Ilina na Breżniewa u bram Kremła generałowie opowiadają to zdarzenie marszałkowi Budionnemu, weteranowi bolszewickiej kawalerii z czasów rewolucji:

— Wiecie Siemion Michajłowicz, dziś strzelali do Leonida Iljicza Breż-

niewa...

— Strzelali — zawołał Budionny. — A dlaczego nie szabłą?



Po zamachu na Breżniewa KGB przesłuchuje Ilina:

— Czy celowaliście do towarzysza Breżniewa?

— Tak.

— Jak to się stało, że wy, oficer, nie trafiliście?

— To nie moja wina, jak tylko wyciągnąłem rewolwer, wszyscy się na mnie rzucili krzycząc: „Ja strzelę, ja strzelę...”



— Dlaczego zamach na Breżniewa nie udał się?

— Bo kula Ilina odbiła się od czoła Breżniewa.

Koszmary sen Breżniewa

Pierwszy Sekretarz Związku Sowieckiego widział jak na Czerwonym Placu młody Czech jadł chińskimi pałeczkami macę...

— Co będzie jeżeli na Saharze zapanuje komunizm?

— Przez pierwsze 25 lat nic, a potem... zabraknie piasku...

O PRL

Najgorsze są wiatry na Wybrzeżu. Są tak silne, że szyszki w Warszawie spadają...



Robotnik do robotnika:

— Może zapalimy?

Zapytany ogląda się i mówi:

— Nie widzę w pobliżu żadnego domu Partii...



Mówią, że w związku z odmową robotników wzięcia udziału w święcie 1 Maja, na czele skromnego pochodu kroczył osławiony kpt. Czechowicz niosąc transparent z napisem: „Szpion jedynym obrońcą narodu”.



— Jaka jest główna cecha pana Wycecha?

— Że się pisze przez „ch”.



Bodźce materialne

1. Powrót taty bez zapłaty.
2. Debaty na temat wypłaty taty.
3. Protest taty na wypłatę.
4. Wyrzucenie taty z chaty.
5. Tym chata bogata co ukradnie tata.
6. Powrót taty z za kraty.

Zebrata Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-3-71

Stanisław Witold Balicki został odwołany ze stanowiska dyrektora generalnego w Ministerstwie Kultury i Sztuki w PRL. ■ W Gdyni zmarła dnia 11 marca rb., w wieku lat 59, artystka-malarka Maria Wlazłowska-Epstein. ■ W Szczecinie toczy się proces 20-tu pracowników wojewódzkiego przedsiębiorstwa przemysłu mięsnego, oskarżonych o kradzież 21.000 kg. mięsa wartości około miliona złotych.

17-3-71

W Polsce, w Żydowie (woj. Koszalińskie), uruchomiono elektrownię wodną o mocy 150 megawatów. Powstała ona we współpracy z Czechosłowacją.

22-3-71

W Polsce podniesiono ceny skupu żywca wieprzowego i wołowego oraz mleka. Podwyżki jednak są niewystarczające i należy wątpić, czy będą skutecznym bodźcem dla podniesienia produkcji. ■ PRL zakupiła w Rumunii 40 lokomotyw spalinowych. Nie mają one systemu ogrzewania i dlatego nie mogą funkcjonować zimą. ■ Poseł na Sejm PRL Kozubski zgłosił interpelację, że polityka stosowana wobec rzemiosła spowodowała ostatnio zamknięcie 6.000 zakładów, które zatrudniały 23.000 pracowników.

28-3-71

Były polski statek flagowy „Batory” został sprzedany do Hongkongu na złom.

29-3-71

We Wrocławiu zmarł, w wieku 64 lat, wybitny polski antropolog, Adam Wanke. ■ Władimir Bukowski został aresztowany w Moskwie. Brał on udział wraz z dwoma innymi obywatelami sowieckimi w potajemnym nagraniu programu telewizyjnego, który był wyświetlany w lipcu ub. roku w Stanach Zjednoczonych. ■ Jeden z wybitniejszych młodych intelektualistów sowieckich, historyk Piotr Jakir, syn generała Jakira zamordowanego w 1937 roku przez Stalina, wystosował z okazji XXIV Zjazdu sowieckiej partii komunistycznej list otwarty do członków biura politycznego i delegacji zagranicznych rewelując „niebezpieczną tendencję odradzania się metod stalinowskich w Związku Sowieckim — szczególnie w dziedzinach kultury, sztuki, historii, literatury i w pamiętnikarstwie”.

31-3-71

Prof. Tadeusz Kotarbiński, jeden z najwybitniejszych polskich filozofów, obchodzi 85-te urodziny.

1-4-71

W najbliższym czasie zachodniemiecka Lufthansa otwiera dwa połączenia tygodniowo z Warszawą, a amerykańska Pan-American inauguruje linię Nowy Jork - Glasgow - Warszawa. PLL-„LOT” uruchamiają w bieżącym roku linię Warszawa - Wiedeń - Tunis oraz linię Warszawa - Ateny - Bagdad z ewentualnym wydłużeniem do Karaczi i Bombaju. Ponadto „LOT” zakupił w Związku Sowieckim trzy samoloty odrzutowe typu IL-62 o zasięgu lotu do 9.000 km. Samoloty te mają być dostarczone w 1972 i 1973 r. Będą one eksploatowane na planowanych liniach transkontynentalnych „LOT-u”. ■ Łódzka milicja wykryła w 1969 r. 91 bimbrowni. W ub. roku wykryto ich

215. ■ W Katowicach rozpoczęła się rozprawa przeciwko sprawcom próby porwania samolotu „LOT”, Rudolfowi Olmie i jego współnikom. Inny sprawca porwania samolotu, R. W. Zolotuch, powrócił do Polski z Wiednia, po odbyciu częściowej kary, wymierzonej mu przez sąd austriacki. ■ Czeska prasa partyjna informuje o ogromnym spadku udziału robotników w partii. Mianowicie w 1952 do partii należało 42,5 % robotników zatrudnionych bezpośrednio w produkcji, w 1962 stan ten zmniejszył się do 36 %, a według danych z 1. I. 1971 do 26,1 %. Po wymianie legitymacji partyjnych pogorszyła się struktura wieku: średni wiek członków partii z 47-miu lat w 1970 r. wzrósł do 49-ciu lat w 1971 r. ■ PRL znajduje się na drugim miejscu (po NRD) wśród partnerów handlowych Związku Sowieckiego. ■ W Szczecinie skazano na 10 lat więzienia Mariana Gdańskiego, który usiłował wprowadzić do Szwecji statek pasażerski kursujący między Szczecinem a Świnoujściem. ■ Gen. Grzegorz Korczyński, niedawno dymisjonowany wiceminister spraw wojskowych, został ambasadorem PRL w Algierze. ■ Wydawnictwo „Czytelnik” w Warszawie zapowiada publikację odnalezionego XXI tomu „Dzienników” Żeromskiego. Obejmuje on okres od 10. VI. do 18. X. 1890. W zbiorze znajdującym się w posiadaniu Biblioteki Narodowej brakuje jeszcze pięciu tomów (IV, VII, VIII, X i XVI). ■ W pierwszym kwartale br. około 5.000 obywateli polskich pochodzenia niemieckiego wyjechało do Niemiec Zachodnich w ramach układu polsko-niemieckiego. ■ Cenzura czeska ocenzurowała scenę w sztuce Czechowa „Wujaszek Wania” żądając skreślenia repliki: „Po wydarzeniach w miesiącu sierpniu...”. Ponieważ akcja sztuki ma miejsce w lipcu i sierpniu, więc cenzura wykreśliła cały akt. ■ *Głos Szczeciński* informuje o złej jakości pieczywa w Szczecinie i jego niewystarczającej ilości. Szczecińskie Zakłady Piekarnicze przystępują do budowy nowej wielkiej piekarni. Zacznie ona funkcjonować w... 1976 roku. ■ Czeski minister spraw wewnętrznych otrzymał od pierwszego sekretarza partii Husaka polecenie przygotowania trzech obozów koncentracyjnych (Jachimow, Pribram i trzeci nad rzeką Sazawa). W obozach tych zostaną osadzeni przewencyjnie wszyscy oskarżeni o udział w „wiośnie praskiej” w 1968 roku. Mają oni być internowani na okres zjazdu partii czeskiej, który odbędzie się w Pradze Czeskiej w końcu maja rb. Już są przygotowane trzy listy zawierające 30, 200 i 1.000 nazwisk. Przypuszcza się, że internowanie przeciągnie się do końca roku — jeśli na jesieni zostaną ogłoszone wybory.

3-4-71

Władysław Tatariewicz, wybitny historyk sztuki i filozof, obchodzi 85-tą rocznicę urodzin. ■ Georg Leber, minister transportu i poczt NRF, odbył konferencję w Warszawie z Kardynałem Wyszyńskim. P. Leber jest jedną z wybitniejszych postaci niemieckiego świata katolickiego. Rozmowa dotyczyła prawdopodobnie biskupstw na Ziemiach Zachodnich.

4-4-71

Andriej Amalrik, który w listopadzie 1970 roku został skazany na 3 lata więzienia w Związku Sowieckim, ciężko zachorował w czasie przenoszenia go z więzienia do obozu pracy na Syberię. Jest leczony w szpitalu więziennym w Nowosybirsku, gdzie od dziesięciu dni znajduje się w stanie nieprzytomnym.

5-4-71

Pismo Związku Ukraińskich Literatów *Zowteń*, wychodzące we Lwowie, drukuje od połowy 1969 roku w odcinkach „Na wysokiej połoninie” Stanisława Vincenza. Zapowiedziane jest wydanie książkowe. Charakterystyczne, że na „Wysokiej połoninie” nie może się ukazać w Polsce — rzekomo dla niez-

drażniania stosunków z Ukrainą. ■ Polska huta miedzi „Głogów” dała pierwszą partię miedzi katodowej.

7-4-71

Sąd Wojewódzki w Katowicach skazał na 25 lat więzienia Rudolfa Olmę, który usiłował 26. VIII. 1970 r. porwać samolot PLL „Lot”. Współoskarżeni Leon Olma i Maria Kanikuła zostali skazani na 4 i 2 lata więzienia. ■ Jak wiadomo pieniądze krajów Europy Wschodniej nie są wymieniane na mocną walutę. Kraje te zatem stale poszukują możliwości zdobywania dewiz. Czechosłowacja nie jest wyjątkiem. Obecnie każdy ex-obywatel czeski, który chce pojechać z wizytą do rodziny w kraju, względnie zaprosić ją na Zachód, musi uprzednio zrzec się obywatelstwa. Obowiązany jest przedstawić bądź swój dawny paszport emigracyjny, bądź zaświadczenie o pozbawieniu go obywatelstwa. Opłata wymagana obecnie za te dokumenty waha się od 500 do 1.000 dolarów, w zależności od stopnia wykształcenia osoby która wyemigrowała. Do powyższej kwoty dochodzą jeszcze dodatkowe koszty. Ci, którzy uzyskują wizy do Czechosłowacji omijając wspomniane przepisy, narażają się na bardzo poważne przykrości w kraju urodzenia. Powyższe zarządzenie pozwała władzom czeskim na zdobywanie zarówno dewiz, jak i adresów dawnych i nowych emigrantów, którzy nie są w stanie oprzeć się czy to tęsknocie za krajem, czy za rodziną, i decydują się na wizytę w kraju.

10-4-71

Rada Ministrów PRL przyznała pracującym matkom wychowującym dzieci do lat 14-tu dwa wolne, płatne dni w roku.

11-4-71

Zmarł w Warszawie, w wieku 81 lat, prof. Zbigniew Drzewiecki, wybitny pianista i pedagog.

12-4-71

W ciągu marca br. ponad 1.000 Żydów obywateli sowieckich mogło wyemigrować do Izraela. W ciągu stycznia rb. wyjechało tylko 50, w lutym zaś 150 osób. Sprawami Izraela w Związku Sowieckim zajmuje się ambasada holenderska.

14-4-71

Al. Sołżenicyn złożył podanie o wydanie jego nowej książki „Sierpień 1914”. Sekretarz Związku Pisarzy Sowieckich, G. Markow, zapytany o to na konferencji prasowej odpowiedział, że nie może nic na ten temat powiedzieć, gdyż nikt jeszcze nie czytał maszynopisu powieści.

15-4-71

Jak informuje PAP od 16 kwietnia zostanie zlikwidowana sprzedaż leków za dewizy w banku P.K.O. Lekarstwa te można będzie nabywać za okazaniem recepty w aptekach leków zagranicznych, podległych Min. Zdrowia i Opieki Społecznej. Natomiast w banku P.K.O. w dalszym ciągu znajdować się będą różnego rodzaju maści, proszki, odżywki i kosmetyki, dotychczas sprzedawane bez recept.

16-4-71

Zakończyło się 9-te plenium PZPR. Uchwalono, że VI-ty Zjazd partii odbędzie się o rok wcześniej, a więc w końcu rb. Wyłoniono komisję składającą się z 94-ch osób, która ma przygotować program zjazdu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-3-71

W Nowym Jorku Orion Press wydał książkę Wiktora Woroszyńskiego „The Life of Mayakowsky” w przekładzie Bolesława Taborskiego. ■ W Londynie zmarł, w wieku 76 lat, August Torma, minister pełnomocny i poseł Estonii w Londynie w ciągu ostatnich 36-ciu lat. Anglia i Stany Zjednoczone nie uznały *de iure* aneksji państw bałtyckich przez Związek Sowiecki i utrzymały przedwojenne poselstwa tych krajów. ■ Prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, dr Eugene Kusielewicz, zabrał niedawno głos w sprawie dyskryminacji polskiej grupy etnicznej. Ostatnio Fundacja Forda stworzyła fundusz w wysokości 250.000 dolarów na rozwój studiów etnicznych. Program ten umożliwi opracowanie około 80 prac doktorskich na ten temat. Nie obejmuje on jednak z niezrozumiałych powodów Amerykanów włoskiego pochodzenia, którzy są największą grupą etniczną w Stanach, ani grupy etnicznej polskiej, lub innej europejskiej grupy etnicznej. ■ Związek Sowiecki zakupił w Kanadzie 248 tysięcy ton mąki za ceną 250 milionów dolarów z przeznaczeniem dla Kubę. ■ Związek Harcerstwa Polskiego w Ameryce obchodził 60-ciolecie swojej pracy na gruncie amerykańskim. W sierpniu 1971 ma być zorganizowany zlot harcerzy polskich z udziałem około 300 harcerzy z terenu Anglii, Kanady, Belgii, Francji, Australii i Argentyny.

18-3-71

Prezydent August Zaleski w Londynie ogłosił zarządzenie, wyznaczające na następcę prezydenta Prof. Dr. Stanisława Ostrowskiego. P. Ostrowski był w ostatnich latach przed wojną prezydentem miasta Lwowa. Był on wywieziony w czasie wojny do Związku Sowieckiego i skazany na 8 lat przymusowej pracy, po układzie Sikorski-Majski był w 2-gim Korpusie, a po wojnie starszym ordynatorem 3-go szpitala w Penley. ■ Charakterystyczne. Polsko-Narodowa Spółnia w Ameryce (Kościół Narodowy) ogłasza program planowanej wycieczki swych członków do Polski w lipcu br. Wycieczka ma trwać 2 dni w Londynie. W szczegółowym programie wycieczki jest nawet przewidziane asystowanie przy zmianie warty przed Buckingham Palace, nie przewiduje się natomiast zwiedzania polskich instytucji kulturalnych, naukowych czy młodzieżowych.

20-3-71

W Hartford, Connecticut, USA, odbyło się organizacyjne zebranie Polaków, Czechów i Ukraińców mające na celu stworzenie towarzystwa przyjaźni. Przewodniczył zebraniu dr Turuła, wybitny działacz ukraiński z Chicago. ■ Koło Techników Polskich w Victorii (Australia) w wyniku konkursu stypendialnego im. Pawła Strzeleckiego na rok 1971, przyznało 6 stypendiów dla polskich studentów z Australii. ■ Na walnym zebraniu Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych nadano przez aklamację Zygmuntovi Nagórskiemu, Sr. godność honorowego prezesa Towarzystwa. Prezesem Towarzystwa został wybrany Jan Morelowski.

23-3-71

Od 15 lutego do 20 marca rb. koncertował w Montrealu, w ramach występów zorganizowanych przez „Jeunesses musicales”, kameralny zespół z Warszawy „Musica nova di Varsavia”. Zespół występował 20 razy grając niemal wyłącznie utwory polskich kompozytorów, od Chopina do Pendereckiego. W skład zespołu wchodziła laureatka konkursów muzycznych: Marta Gozdecka — fortepian, Krzysztof Jakowicz — skrzypek, Jerzy Artych — baryton. ■ Orga-

nizacje polonijne ze Zw. Młodych Polek w Chicago na czele wybrały seniorkę polskiej sceny w USA, Lidję Pucińską, „najwybitniejszą Polką roku 1970-71” za jej zasługi artystyczne i społeczne. ■ Polski Klub Artystyczny w USA wybrał w konkursie na najbardziej obiecujący talent literacki wśród młodzieży polonijnej w wieku szkolnym — Ryszarda Prycnała. ■ W Domu Kombatanta Polskiego w Chicago, przedstawiciele 18-tu organizacji kombatanckich dyskutowali stworzenie wspólnej organizacji Polskich Kombatantów w Chicago. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej, uzyskawszy wstępne poparcie amerykańskich organizacji kombatanckich, wznowił starania o przyznanie przez rząd amerykański praw weterańskich żołnierzom polskim z pierwszej i drugiej wojny światowej, którzy walczyli w szeregach armii sprzymierzonych — w drugiej wojnie pod dowództwem Gen. Eisenhowera, któremu podlegały polskie jednostki walczące na zachodzie Europy.

25-3-71

Artur Międzyrzecki, znany poeta przebywający na rocznym stypendium International Writers Centre przy Uniwersytecie w Iowa wygłosił na wydziale sławistycznym Uniwersytetu w Toronto odczyt o współczesnej poezji polskiej. Poprzednio wygłosił on odczyt na ten sam temat na Uniwersytecie w Ottawie.

26-3-71

W lokalu YMCA w Paryżu została otwarta wystawa rysunków tańców polskich Karola E. Osten-Sacken. ■ Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór w setną rocznicę urodzin Andrzeja Struga. Wygłosili odczyty prof. Zygmunt Markiewicz i prof. Lucjan Krawiec. Wieczór odbył się w lokalu Biblioteki Polskiej. ■ W Niemczech Zachodnich nakładem Classen Verlag, Hamburg/Düsseldorf, wydano książkę Jerzego Putramenta „Der Keiler” (polski tytuł „Odyniec”).

27-3-71

W Monachium, z inicjatywy syndykatu dziennikarzy polskich w Niemczech, odbył się wieczór literacki, zorganizowany w połączeniu z wystawą książek i czasopism polskich w NRF. Odczyt o literaturze polskiej w Niemczech wygłosił Tadeusz Nowakowski.

29-3-71

Paryski tygodnik *Le Nouvel Observateur* podaje, że we Francji znajdują się 3 miliony cudzoziemców, w tym 130 tysięcy Polaków. Pismo twierdzi, że ilość nowych emigrantów Polaków jest nieznaczna, a ci którzy mieszkają we Francji od dłuższego czasu są praktycznie zasymilowani. ■ Płk Kazimierz Lenard, pełniący funkcje Dyrektora Wykonawczego Kongresu Polonii Amerykańskiej, został członkiem Krajowego Komitetu doradczego, mającego na celu zorganizowanie powrotu do życia cywilnego demobilizowanych żołnierzy. Do Komitetu wchodzi siedmiu ministrów i stu przedstawicieli agencji rządowych, przemysłu i świata pracy. W ciągu najbliższych dwunastu miesięcy prawie milion żołnierzy ukończy czynną służbę wojskową. Poważny procent stanowią członkowie oddziałów wycofanych z Wietnamu. Oblicza się, że co czwarty żołnierz podejmie z powrotem przerwane studia. Inni będą szukali pracy. Komitet Doradczy opracuje program dodatkowego przeszkolenia zawodowego i odpowiedniej akcji na rynku pracy.

1-4-71

15 lat temu zmarł w Nowym Jorku poeta i żołnierz 2 Korpusu, Jan Olechowski. ■ W Sztokholmie ukazał się nr 1 Biuletynu *Nasze czasy*, wydawanego przez Związek Żydów Polskich w Szwecji. Numer m.in. zawiera artykuł Jakuba Goldsteina, stwierdzający, że *Kultura* w przeważającej części

lansuje opinie, iż w Polsce nie ma antysemityzmu, oraz oświadczenie, że Związek nie utrzymuje żadnych stosunków z polskimi organizacjami kombatanckimi w Szwecji i że nie był reprezentowany na odczytce dr. J. Lewandowskiego, wygłoszonym w Klubie *Kultury* w Sztokholmie. ■ W polskiej sekcji Państwowej Rozgłośni Kanadyjskiej CBC nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika. Po 9 latach Tadeusz Sypniewski został przeniesiony do innego działu, a na czele sekcji stanął p. W. Zbik, pracujący w niej od założenia. ■ Polski pianista, Tadeusz Kerner, zamieszkały obecnie w New Yorku, koncertował w Toronto na zaproszenie Federacji Kobiet Polskich w Kanadzie, która publicznym koncertem muzyki polskiej uczciła 15-lecie założenia swojej organizacji. ■ Artysta malarz Witold Kuryłłowicz w krótkim okresie czasu miał dwie wystawy w Toronto, w tym jedną w galerii Eatona. ■ W Montrealu odbyła się wystawa polskich malarzy, zamieszkałych i pracujących w tym mieście. Wzięło w niej udział 15-tu artystów, którzy wystawili 77 prac. ■ Stowarzyszenie Akademików Polskich w Chicago zorganizowało wieczór recytacji współczesnej poezji polskiej. Recytatorem był artysta z Polski, Wojciech Siemion.

3-4-71

W Carleton University w Ottawie odbył się cykl publicznych odczytów na temat „Religion and Atheism in the Soviet Union and Eastern Europe”. Cykl rozpoczął O. Prof. Inocenty Bocheński wykładem pt. „Marksizm-leninizm i religia”. Jest to już szósta seria publicznych odczytów, dotyczących zagadnień świata komunistycznego organizowanych przez ten uniwersytet. ■ W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie PRL prowadzi ożywioną akcję na rzecz wyjazdów do Polski na studia. Uniwersytety w Krakowie i w Warszawie przygotowały odpowiednie programy dla studentów polonijnych. Niezależnie przygotowano program dla nauczycieli szkółek niedzielnych oraz instruktorów tańców i pieśni ludowych. Na terenie Kanady tą akcją zajmuje się p. Domaradzki.

6-4-71

Zmarł w Nowym Jorku, w wieku lat 88, Igor Strawiński. ■ Od pewnego czasu Warszawa zabiega o sprowadzenie zwłok gen. W. Sikorskiego do Polski. Wdowa po Generale postawiła jako warunek złożenie trumny na Wawelu. Zaproponowano jej Aleję Zasłużonych na Powązkach w Warszawie, na co się p. Sikorska nie zgodziła. Podobno obecnie zaproponowano Katedrę Św. Jana w Warszawie i w tej sprawie toczą się pertraktacje. W publicystyce krajowej usiłuje się przedstawić Generała jako zwolennika dalekoidącego porozumienia z Rosją — z aluzjami że to właśnie było powodem jego tragicznej śmierci. A więc po sprawie odbudowy Zamku w Warszawie druga z kolei ofensywa propagandowa. W perspektywie — wizyta papieża.

7-4-71

23 turystów węgierskich — z 4-ch organizowanych wycieczek — poprosiło o azyl w Austrii. Ta znaczna liczba jest zapewne wynikiem zwiększonej ilości wycieczek w okresie Wielkanocy. ■ W Toronto, w sali koncertowej Massey Hall odegrano „Piszę Św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego. Dyrygował Elmer Kiser. ■ Orkiestra symfoniczna rozgłośni Canadian Broadcasting Corporation odegrała w ramach koncertów muzyki współczesnej symfonię Witolda Lutosławskiego. ■ Władze PRL nie przedłużyły prawa pobytu w Polsce korespondentowi paryskiego *Le Monde*, p. Bernardowi Margueritte. Redakcja *Le Monde* prawdopodobnie zrezygnuje z korespondenta w Warszawie, powierzając sprawy polskie swemu korespondentowi w Wiedniu. ■ W Royal Ontario Museum w Toronto została otwarta wystawa nowoczesnego malarstwa emaliowego Bronisławy Michałowskiej, która

obok obrazów na kafelkach wystawiła szereg malowanych obiektów ceramicznych. Muzeum po raz pierwszy zezwoliło na wystawę indywidualną polskiej artystki. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej zaprosił Sen. E. Muskie, potencjalnego kandydata na prezydenta USA z ramienia partii demokratycznej, na głównego mówcę w obchodzie Konstytucji 3-go Maja, jaki corocznie odbywa się w Chicago przy udziale ponad 100 tys. osób.

8-4-71

Sen. E. Muskie udzielił poparcia organizacjom liberałów, które przygotowują w bm. manifestację w Washingtonie na rzecz zakończenia wojny w Wietnamie.

9-4-71

Insel Verlag w Frankfurturcie wydał książkę Kazimierza Brandysa „Der Marktplatz”, w przekładzie Klausu Staemmlera. ■ W Stanach Zjednoczonych, na skutek kryzysu finansowego wyższych uczelni, następuje ograniczenie studiów sławistycznych, a przede wszystkim studiów polonistycznych, które są likwidowane w Princeton, Filadelfii i w Bolder (Colorado). ■ W Mysore (Indie) zmarła Wanda Dynowska-Umadevi, działaczka na polu zbliżenia Polski i Indii.

14-4-71

14 marynarzy polskich ze statków rybackich, które zawinęły do Halifaxu, zwróciło się do władz kanadyjskich z prośbą o azyl. ■ Miesięczny *Biuletyn Statystyczny Narodów Zjednoczonych* podaje, że w roku 1990 ludność Chin będzie wynosiła ponad miliard ludzi. Indie osiągną tę cyfrę w roku 2000. ■ W galerii „Il Fauno” w Turynie, otwarcie wystawy gwaszów Jana Lebensteina, która będzie trwała do 4 maja rb.

15-4-71

W Londynie odbyło się drugie nadzwyczajne walne zebranie członków Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Celem zebrania było przeprowadzenie zmian statutowych. ■ Polskie Koło kulturalno-artystyczne w Melbourne zorganizowało wieczór autorski Andrzeja Chciuka dla uczczenia 25-lecia jego pracy literackiej.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Waclaw IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze,

Londyn, 3 kwietnia 1971 r.

Dziś pocztą otrzymałem z Księgarni SPK nabyty tam egzemplarz *Zeszytów Historyczny* nr 19, w którym został ogłoszony list prof. Zygmunta Jundziła do prezydenta Zaleskiego z 29 maja 1952 roku w sprawie Józefa Mackiewicza. Zarówno w nocie redakcyjnej, jak i w nagłówku omyłkowo podano, że był to list do „prezydenta Raczkiewicza”. Prezydent Raczkiewicz zmarł 6 czerwca 1947 roku.

W podanej za tekstem listu krótkiej biografii prof. Jundziła pominięto, że był on senatorem R.P. w latach 1930-1935 (Marszałkiem Senatu był wtedy Władysław Raczkiewicz, późniejszy Prezydent R.P.).

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Paweł JANKOWSKI

Niestety jest jeszcze i inny przykry błąd. Mianowicie w życiorysie prof. Z. Jundziła podano omyłkowo że „został posłem i wicemarszałkiem Sejmu Wileńskiego” co odnosi się do Br. Krzyżanowskiego, patrona i przyjaciela Jundziła, a nie do niego samego. (*Redakcja*)

Drogi Panie Redaktorze!

Washington, 7 kwietnia 1971 r.

„Korespondent” w liście z kraju do Gustawa Herling-Grudzińskiego i sam Gustaw Herling-Grudziński w swej odpowiedzi na ten list (*Kultura* z marca 1971, Nr 3/282, str. 58, wiersze 26-30, względnie str. 66, wiersze 4-6) zdradzają nieznajomość historii polskiego podziemia twierdząc zgodnie, że nie wydało ono dekretu ustanawiającego karę śmierci za wydanie w ręce okupantów obywatela polskiego narodowości żydowskiej. Taki dekret został wydany i na jego podstawie sądy podziemne orzekły szereg wyroków śmierci, wykonanych następnie przez zastrzelenie. O treści i wykonaniu tych wyroków społeczeństwo polskie było informowane przez obwieszczenia Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC), a następnie Kierownictwa Walki Podziemnej (KWP) ogłaszane w prasie konspiracyjnej.

Gdyby „Korespondent” zadał sobie trud przeczytania wydanej w kraju, a więc dla niego łatwo dostępnej książki Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny „Ten jest z ojczyzny mojej” (wydanie drugie rozszerzone Wydawnictwo Znak, Kraków, 1969), wówczas na str. 923 znalazłby tekst oświadczenia KWC grożącego surowymi karami nawet za samo szantażowanie Żydów, zaś na stronkach 932-940 obwieszczenia o wykonaniu szeregu wyroków śmierci na Polakach za szantażowanie i denuncjowanie Żydów.

Z drugiej strony, gdyby Gustaw Herling-Grudziński poświęcił odpowiednią uwagę książce Kazimierza Iranka-Osmeckiego pt. „Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939-1945”, wydanej w Londynie przez Księgarnię Polską ORBIS w roku 1968, wówczas na str. 256 znalazłby tekst tego sa-

mego oświadczenia KWC, zaś na str. 258-261 obwieszczenia o tych samych wyrokach.

W mej książce „W Imieniu Rzeczypospolitej” (Instytut Literacki, Paryż, 1954), po podaniu na str. 256 tekstu wspomnianego oświadczenia KWC, stwierdziłem następnie dosłownie: „Równocześnie z odezwą KWC wydało zarządzenie nakazujące stosowanie kary śmierci w tego rodzaju wypadkach”, po czym wymieniał kilka wykonanych w związku z tym wyroków śmierci.

Jeśli tacy luminarze, jak „Korespondent”, o którym Gustaw Herling-Grudziński mówi, że jest osobą znaną w polskim świecie kulturalnym, i sam Gustaw Herling-Grudziński zdradzają nieznajomość spraw podziemia, w których niemniej wypowiadają się nader autorytatywnie, to co się dziwić zwykłym śmiertelnikom, a cóż dopiero obcym?

Ścisłam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBŃSKI

b. szef Kierownictwa Walki Cywilnej.

Drogi Panie Redaktorze.

Do wiadomości o dorocznym posiedzeniu Polskiej Rady Jedności w Stanach Zjednoczonych podanej przez *Kulturę* z marca br., nr 3/282, w dziale „Wydarzenia miesiąca”, str. 151, zakradł się chochlik drukarski i zniekształcił jedno nazwisko. Zamiast E. Leszczyński, powinno być E. Kleszczyński. Uprzejmie proszę o sprostowanie.

Ścisłam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Chicago, 29 marca 1971.

Uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie sprostowania. Pan E. Żagiell w październikowym (1970) wielce poczytnej *Kultury* (paryskiej) w dziale „Sąsiedzi” w artykule „Polacy na Litwie”, w rozdziale „Zapomniane braterstwo broni”, na str. 57 i 58, w ślad za pismem emigracyjnym *Lietuvos Keliu*, przypominając, że w ramach Wojska Polskiego na Syberii w 1918-20 istniał batalion litewski pod dowództwem por. Lenkiewicza (Linkusa-Lenkiewiczusa), popełnia — przypuszczam że razem z *Lietuvos Keliu*, 3 nieścisłości:

1) Baon Litewski liczył w rzeczywistości znacznie mniej niż — jak to podaje p. E. Żagiell — 600 żołnierzy i 20 oficerów.

2) Napisano: „Współpracę ułatwił fakt, że polskim dowódcą był płk Czuma, sam Żmudzin spod Szwekszny”. W rzeczywistości dowódcą W.P. na Syberii był płk W. Czuma (późniejszy generał) nie Żmudzin a Małopolanin, legionista II Karpackiej Żelaznej Brygady. Natomiast Żmudzin był podległy mu płk K. Rumsza (późniejszy generał) dowódca 5 Syb. Dywizji.

3) Batalion Litewski w czasie działań, w listopadzie 1919 roku, pełniąc służbę w osłonie linii kolejowej na st. Czerepanowo na południe od Nowo-Nikołajewska (Nowo-Sybirsk) przeszedł na stronę oddziałów bolszewickich, ale „nie skończyło się to maskrą, egzekucją 15 oficerów itd.” — jak podaje p. E. Żagiell. Według źródeł polskich kilku opornych więźniów, a jednego oficera zraniono, czy zabito.

Ze względu na chęć nie zaostrzania stosunków polsko-litewskich, Polacy piszący swoją historię o W.P. na Syberii w 1918-20 r. ograniczali się do bardzo lakonicznych wzmianek o tym tragicznym epizodzie. Dla żołnierzy Polaków 5 Syb. Dyw. zdrada Baonu Litewskiego, jedynego oddziału z całego W.P. na Syberii, była ciężkim przeżyciem. Osobiście, pragnąc zweryfikować ten wypadek od strony litewskiej, starałem się uparcie w ciągu kilkunastu lat nawiązać w tej sprawie kontakt z Litwinami — bez rezultatu. Po skompletowaniu dodatkowych wiadomości o pełnych losach Baonu Litewskiego zostaną one opublikowane.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy mego poważania.

Stefan Witold WOJSTOMSKI
wiceprezes Związku Sybiraków
— Dział Historyczny

Chicago, kwiecień 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

W styczniowym numerze *Kultury* zamieścił Pan artykuł p. Jolanty Dworzeckiej pod nieco nieodpowiedzialnym tytułem „Division: Blaski, cienie i nadzieje”. Nieodpowiedzialnym dlatego, iż tytuł sugeruje o wiele więcej niżli p. Dworzeczka napisała, i o wiele więcej niżli pani Dworzeczka była w stanie napisać. Ze względu na świadomie niepełny charakter tego listu pozwolę sobie zrezygnować z głębszych uzasadnień wierząc jednocześnie, że wcześniej czy później będę mógł je wyłuszczyć.

Bardzo uważnie przedyskutowałem wraz z grupą swoich kolegów artykuł p. J. Dworzeckiej. Budził on w nas bowiem i budzi bardzo kontrowersyjne uczucia!

Autorka zaprodukowała doskonałą znajomość pióra i swego zawodu w ten nieco pikantny, a jakże krajowy i jakże paxowski sposób! Umiejętność uogólnień, tak świetnie p. Dworzeckiej znana, pozwoliła jej rozwickać bezbłędnie kilka sytuacji i wyprowadzić właściwe wnioski, kompletnie ją natomiast zawiódła w momencie, gdzie musiałaby pominąć aluzje i niedomówienia sięgające do konkretów. Tych, jak widać, p. Dworzeczka zbyt wiele nie znała.

Sama krytyka polonijnego środowiska w Chicago jest zjawiskiem pożądanym. Krytyka zaś zjadliwa, pogardliwa i beznadziejna nakłania do ostrożności — i to nie w stosunku do adresata. Z wieloma punktami i problemami poruszonymi przez p. Jolantę Dworzeczką zgadzamy się i skłonni nawet jesteśmy do bicia braw. Niektóre jednak kwestie budzą naszą opozycję. Toteż bardzo byśmy chcieli, by p. J. Dworzeczka zdecydowała się na dyskusję z nami! Chcemy zaznaczyć, że łamy *Dziennika Związkowego* stoją przed p. Dworzeczką otworem. I dla ułatwienia dołączamy do naszego listu kopię wypowiedzi redaktora *Dziennika Związkowego*, p. J. Krawca, w której zawarł on swoje zastrzeżenia co do wiadomości wykorzystanych przez p. J. Dworzeczką i co do sposobu ich zbierania. Niechaj autorka artykułu odeprze wpiętych te racje.

Chcemy wierzyć, iż uczciwość i rzetelność nie pozwoli p. J. Dworzeckiej milczeć. Niecierpliwie też na jej odpowiedź czekamy!

Polish Daily ZGODA
DZIENNIK ZWIĄZKOWY
W imieniu „Działu Młodych”
Leszek MIRSKI

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel. 40-73, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, « Polish Voice », 1089 Queen St., W. Toronto, Ont.; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarzewski, 2402 Chermoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posnylak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponis Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 201 - BOGDAN CZAYKOWSKI

POINT-NO-POINT

(Poezje)

Str. 96.

Cena F. 10 (dol. 2,25; sh. 18/6)

TOM 202 - SERIA « DOKUMENTY »

POZNAŃ 1956 GRUDZIEŃ 1970

m.in.

Tom zawiera następujące opracowania:

KRONIKA WYDARZEŃ: GRUDZIEŃ 1970 - LUTY 1971 —
BIUROKRATYCZNYCH RZĄDÓW CIĄG DALSZY — SYLWETKI
NOWEJ EKIPY — POZYCJA KOŚCIOŁA — POZNAŃ 1956.

Str. 228.

Cena F. 18,50 (dol. 4,00; £ 1.60)

TOM 203 - ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Str. 480.

Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 4.30)

Ukaże się w maju 1971

TOM 204 - WITOLD GOMBROWICZ

TEATR

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH”
(IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA —
ŚLUB — OPERETKA)